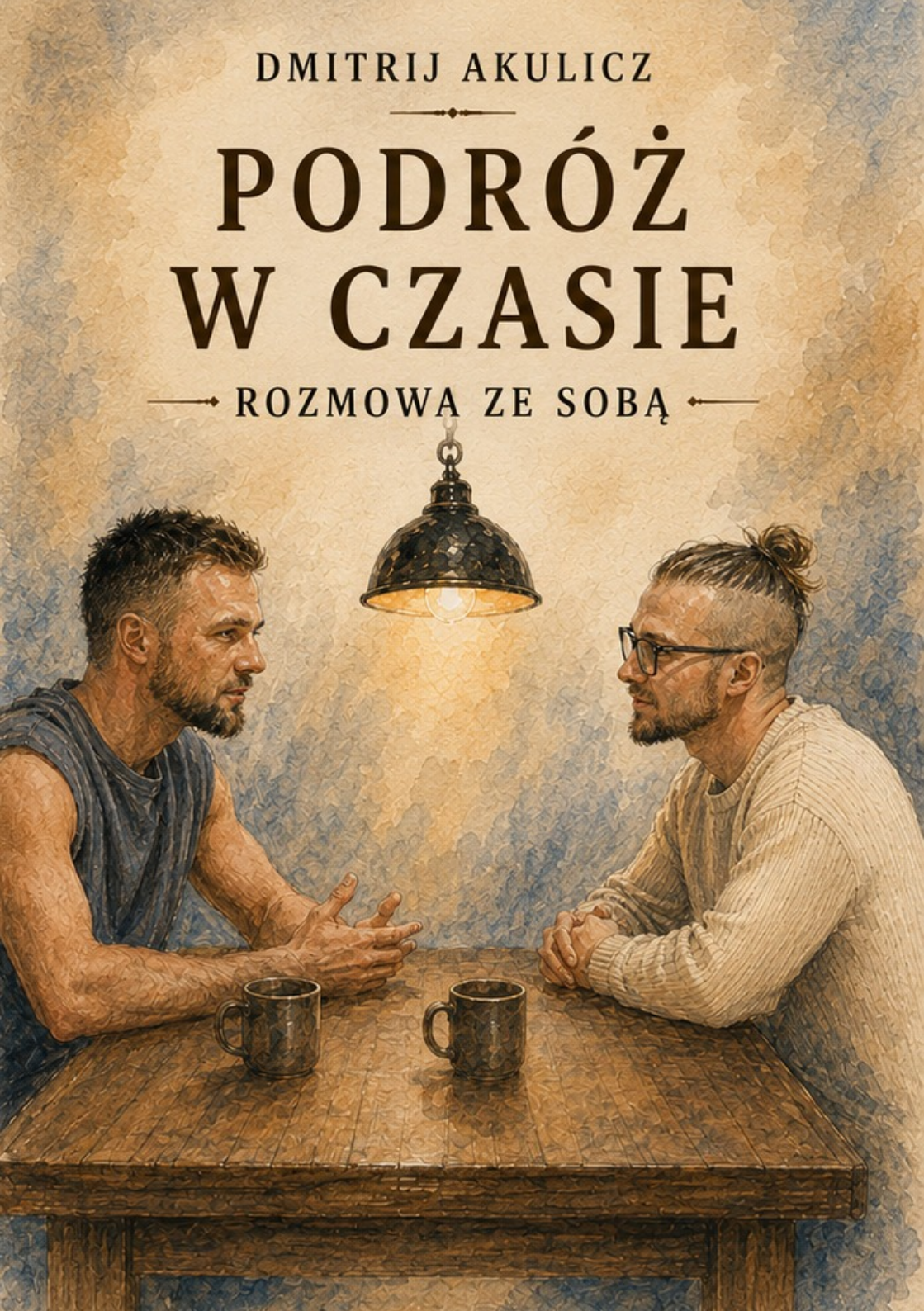
DMITRIJ AKULICZ

PODRÓŻ W CZASIE

ROZMOWA ZE SOBĄ



PODRÓŻ W CZASIE

Rozmowa ze sobą

Dmitrij Akulicz

DEDYKACJA

Pewnego razu moja żona powiedziała mi coś. W ogóle dużo mówi, ale akurat to zapisałem sobie w notesie:

— Jak śmiesz mieć dar pisania czegoś i się tym z innymi nie dzielić? To po prostu niesprawiedliwe!

* * *

Tak właśnie zrodził się pomysł, żeby zebrać to, co napisałem, i kiedyś się tym podzielić — bo rzeczywiście, było w tym coś nie fair... Dziękuję ci za ten impuls, kochanie!

SPIS TREŚCI

Wstęp
1. Dwa słowa
2. M i M
3. W drogę
4. Nie będę się bał
5. Światy
6. Geniusz wolności
7. Dlaczego
8. Pani
9. Zaproszenie w gości
10. Lęki
11. Batyskaf
12. Góry
13. Proszę, uspokój się
14. Grudzień
15. Więzienie
16. Żyjemy wczoraj
17. Tam, za obłokami
18. Czara
19. Rozmowa z bratem
20. Poznanie
21. Starość
22. Samsara
23. Wieczny duch
24. Nasi ukochani
25. Sen
26. Cykl
27. Inspiracja
28. Nie budujcie zamków z piasku

29. Szczęśliwy
30. Do babci
31. A niebo też ma ręce

WSTĘP

W dzieciństwie zafascynował mnie pomysł z filmu „Powrót do przyszłości”. Wydawało mi się, że podróż w czasie jest możliwa tylko dzięki maszynie, uderzeniu pioruna i precyzyjnemu wyliczeniu prędkości. Lata później odkryłem, ku swojemu zaskoczeniu, że ona naprawdę istnieje. Po prostu wygląda zupełnie inaczej.

Kiedyś wydawało mi się, że ta książka będzie po prostu zbiorem wierszy. Potem zrozumiałem: wiersze to tylko część historii. Fotografia potrafi zachować twarz człowieka, miejsce, światło, chwilę. Ale prawie nigdy nie opowiada, co działo się wewnątrz. O czym człowiek myślał. Czego się bał. W co miał nadzieję. Dlaczego akurat ten moment chciał zachować.

Chyba właśnie dlatego kiedyś powstały te wiersze. Pisałem je przez wiele lat, jeden po drugim, w różnych okresach życia. Za każdym razem wydawało mi się, że piszę o kimś innym — o kobiecie, o bracie, o Bogu, o tłumie, o świecie wokół. Naprawdę wiersze nigdy nie były próbą opisania wydarzeń. **Stały się dźwiękiem tych fotografii, które życie zdążyło zrobić na długo przed tą książką.** Tym, czego nie potrafi oddać żadne zdjęcie.

Czytając je ponownie po latach, zrozumiałem: prawie wszystkie były zaadresowane do mnie. Nie do tego, kim byłem w chwili pisania. Ale do tego, kim dopiero miałem się stać. Młody ja, sam o tym nie wiedząc, zostawiał sobie listy.

Po latach postanowiłem wrócić do tych wersów. Ale nie po to, żeby wyjaśnić czytelnikowi, co wtedy miałem na myśli. Sam zapragnąłem spotkać się z człowiekiem, który je napisał.

Tak powstały wstępy. Przywracają okoliczności, zapachy, ludzi i miejsca, z których zrodziły się te wiersze.

Potem powstały dialogi. Nie komentarze do tekstu, lecz rozmowa dwóch wersji tego samego człowieka. Jednego, który jeszcze nic nie wie o przyszłości. I drugiego, który wreszcie może obejrzeć się wstecz i spróbować zrozumieć, dlaczego wszystko potoczyło się właśnie tak.

Dlatego ta książka nie jest zbiorem wierszy z komentarzami. **To próba odbudowania więzi między sobą z przeszłości a sobą dzisiejszym.**

Za tymi wierszami stoi zwyczajne życie: rodzina, rozwód rodziców, związki, śmierć bliskich osób, przeprowadzki — Polska, Wietnam — poszukiwanie siebie, muzyka, wiara, psychoterapia, sport. Wszystko to jest w książce. Ale jako tło, a nie jako fabuła. Prawdziwa podróż nie odbywa się między krajami.

Nie będę niczego wcześniej tłumaczył. Ta książka w ogóle jest zbudowana na aluzji, a nie na wyjaśnieniu, i wstęp nie jest tu wyjątkiem. Powiem tylko jedno: to, co dalej wygląda jak wiersze i rozmowy po nich, jest w istocie rozmową jednego człowieka z samym sobą w różnych momentach jego życia.

A jeśli gdzieś na kolejnych stronach natraficie na stare fotografie, wiedzcie: nie są tu po to, żeby zilustrować historię. **Wręcz przeciwnie. Historia jest potrzebna po to, żeby te fotografie w końcu zabrzmiały.**

Pierwszy list już czeka.

ROZDZIAŁ 1

Dwa słowa

Długo się zastanawiałem, gdzie właściwie zaczyna się koniec związku. Nie w głośnej awanturze. Nie w zdradzie. Nie w trzaśniętych drzwiach. **Wydawało mi się, że wszystko zaczyna się dużo wcześniej — w momencie, gdy między dwojgiem ludzi przestają padać najprostsze słowa.**

Byliśmy razem wiele lat. Z zewnątrz wyglądało to całkiem zwyczajnie: praca, dom, plany, wyjazdy, rozmowy. Ale wewnątrz stopniowo narastało wrażenie, że coraz częściej rozmawiamy o życiu, a nie ze sobą nawzajem.

Po rozstaniu minął rok. Cały rok prawie się nie kontaktowaliśmy. A jeśli już, to albo szorstko, albo przez prawnika.

Bardzo wtedy chciałem zrozumieć, co właściwie się stało. Nie znaleźć winnego. Nie wymyślić ładnego wytłumaczenia. Po prostu ustalić, w którym momencie dwoje ludzi przestało się słyszeć. I im bardziej próbowałem odpowiedzieć na to pytanie, tym częściej wracałem do jednej myśli: może przez cały ten czas brakowało nam tylko dwóch słów. Nie jakichś szczególnych. Nie magicznych. Po prostu takich, które człowiek mówi nie dlatego, że musi, lecz dlatego, że inaczej się już nie da.

Wtedy wydawało mi się, że wiersz jest właśnie o tym. Teraz już nie jestem pewien. Ale wtedy właśnie

się narodził.

— — —

Dwa słowa

Chcę powiedzieć tak wiele i tak głośno,
lecz huragan myśli wyrwał mi słowa.
Rozrzucił je daleko w szalonym wirze.
Zostały tylko te dwa najsilniejsze.

Razem mogłyby zwalić lawinę, tsunami,
wybuch wulkanu i samego Armagedonu,
i świat, niewzruszenie stojący na trzech słoniach,
przewrócić do góry nogami, bez zbędnych słów.

Są święte, a nie jakimś modnym sloganem,
który podbił listy przebojów.
Są jak dwie łzy uronione przez Boga,
które oczyszczą dusze tych, co je pojmą.

— — —

Przez długi czas wydawało mi się, że rozumiem te wersy.

— Naprawdę?

Nawet od razu nie pojąłem, kto zadał to pytanie.

— Oczywiście.

— To powiedz te dwa słowa.

Uśmiechnąłem się. A raczej… uśmiechnął się on. Ten, który kiedyś napisał ten wiersz.

— Wtedy wydawało mi się, że wiem.

— A teraz?

— Teraz też wiem.

— To dlaczego nie powiesz?

— Bo wtedy zniknąłby cały wiersz.

Zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.

— Jeśli powiem je za wcześnie, czytelnik przestanie szukać swoich własnych. A może jego dwa słowa wcale nie będą się pokrywać z moimi.

Zamyślił się. Wygląda na to, że ta odpowiedź go nie zadowoliła.

— Czyli nie ma odpowiedzi?

— Jest. Ale nie musi być taka sama dla wszystkich.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Dziwne. Nagle zrozumiałem, że on wciąż patrzy na te wersy jak na próbę ratowania związku. A ja widziałem w nich już coś zupełnie innego.

— Wiesz...

— Co?

— Wydaje mi się, że wcale nie pisałeś do niej.

— To znaczy?

— Pisałeś do człowieka, którego sam wtedy traciłeś.

Patrzył na mnie długo.

— Do siebie?

— Tak.

— To czemu tego nie widziałem?

— Bo niektóre wiersze rodzą się wcześniej, niż przychodzi zdolność ich zrozumienia.

Spuścił wzrok. Potem cicho zapytał:

— Czyli… przez cały ten czas próbowałem odzyskać nie ją?

— Ją też. Ale dużo mocniej próbowałeś odzyskać samego siebie.

Znów zapadła cisza.

— A jednak… jakie one są? Te dwa słowa.

Spojrzałem na niego i nieoczekiwanie się uśmiechnąłem.

— Nie dzisiaj.

— Czemu?

— Bo jeśli teraz powiem swoje, czytelnik może nie zdążyć znaleźć własnych. A wydaje mi się, że to byłoby niesprawiedliwe.

Kiedy pisałem ten wiersz, wydawało mi się, że jest poświęcony związkowi. Teraz myślę inaczej. **Każdy związek prędzej czy później staje się rozmową człowieka z samym sobą.** Ktoś inny może odejść. Może przestać kochać. Może nigdy cię do końca nie zrozumieć. Ale spotkanie z samym sobą się nie kończy.

Tak do końca go nie zapytałem: gdyby jednak wypowiedział teraz te dwa słowa — czy bym je rozpoznał?

ROZDZIAŁ 2

M i M

Po kolejnej lekturze „Mistrza i Małgorzaty” zamknąłem książkę z tym samym, znajomym odczuciem: chyba tym razem w końcu wszystko zrozumiałem. Dostrzegłem powiązania, których wcześniej nie zauważałem, rozgryzłem bohaterów, wyczułem główną myśl.

I niemal od razu przypomniałem sobie babcię. Kiedyś, po pierwszej lekturze, zapytałem ją, o czym naprawdę jest ta książka. Zapaliła papierosa, usiadła wygodniej, spojrzała gdzieś w sufit — i od razu zrozumiałem, że odpowiedzi w dwóch zdaniach nie będzie.

— Czytam ją co trzy, cztery, pięć lat — powiedziała. — I za każdym razem wydaje mi się, że w końcu coś zrozumiałam. A potem czytam jeszcze raz i rozumiem, że nie rozumiem nic.

To zdanie zostało ze mną. Chyba właśnie dlatego, gdy po latach znów wydawało mi się, że tym razem naprawdę rozgryzłem Bułhakowa, obok pewności od razu pojawiła się wątpliwość. Może kolejne zrozumienie to tylko nowa warstwa? Może książka pozostaje żywa właśnie dlatego, że nie pozwala raz na zawsze postawić w sobie kropki?

Najpierw nazwałem wiersz wprost — „Mistrz i Małgorzata” albo nawet „Mistrzowie i Małgorzaty”. Potem usunąłem prawie wszystko i zostawiłem tylko

dwie litery: „M i M”. Chciałem, żeby tytuł niczego z góry nie tłumaczył. Żeby czytelnik wszedł w tekst, nie wiedząc, co dokładnie kryje się pod tymi literami, i dopiero w ostatnim wersie dostał klucz — a nie gotową odpowiedź.

W tamtym czasie interesowała mnie nie tyle fabuła powieści, co ludzie wokół niej. Prawie wszyscy czytali tę książkę w szkole albo później. Wielu wracało do niej, oglądało ekranizacje, zapamiętywało kwestie. Przy każdym stole zawsze znajdował się ktoś gotowy błysnąć znajomością Bułhakowa. Ale coraz częściej wydawało mi się, że sam fakt przeczytania stał się ważniejszy niż samo czytanie. **Książka zamieniła się w znak kulturowy, w potwierdzenie własnego wykształcenia.** Można się nią było popisać, nie zadając sobie pytania, po co w ogóle została napisana i co w niej wciąż dotyczy osobiście ciebie.

Interesował mnie Woland. Nie jako diabeł i nie jako efektowna postać, w którą wcielił się Basiłaszwili, lecz jako ktoś, kto uważnie przygląda się ludziom i próbuje odnaleźć wśród nich choć trochę osobowości. Niekoniecznie wielkich, sławnych czy bogatych. Chociaż takich, którzy rozumieją własną naturę, słyszą swoje powołanie i idą za nim, mimo wyrzeczeń, strachu i możliwości nagłej śmierci.

Mistrz zyskuje swój osobisty spokój nie za pozycję w społeczeństwie. Przynajmniej próbował stworzyć to, czego nie mógł nie stworzyć. Przeszedł przez strach, odrzucenie, ruinę — ale w pewnym momencie okazał się jednak człowiekiem, który dokonał wyboru. A

wokół mnie namnożyło się mnóstwo nowych „mistrzów” i „małgorzat”, chętnie przymierzających do siebie piękne imiona, ale niemal niezdolnych do zrobienia czegokolwiek prawdziwego.

Wtedy jeszcze chętniej patrzyłem na zewnątrz niż do wewnątrz. Łatwiej było zauważyć cudzą pustkę, cudzą hipokryzję, cudzą gotowość, by chować się przed rzeczywistością za książkami, ekranami, rozmowami i ścianami własnego mieszkania. Ale nawet wtedy chyba rozumiałem: jeśli postawię się poza opisywanym światem, wiersz stanie się kłamstwem. Też byłem jego częścią. Też mogłem usadowić się pod własnym dachem, dobrze zjeść, odciąć się od tego, co się dzieje, i rozprawiać o wielkiej literaturze. Też mogłem wziąć znajomość z wybitnym dziełem za dowód własnej głębi.

Nie chciałem wymieniać wszystkiego, co się z nami dzieje. Wydawało mi się, że wystarczy pokazać zamknięte mieszkanie, monitor, żaluzje, trasę między kuchnią a toaletą, nieustanny strumień tego, czym nas karmią. A potem zadać pytanie. Nie na początku — tam zabrzmiałoby zbyt wprost. Na końcu, kiedy czytelnik zdąży się już trochę oswoić z tym światem i może nie od razu zrozumie, że przez cały ten czas nie było mowy o kimś obcym.

Tak powstał ten wiersz.

— — —

M i M

Dziś dla wielu życie straszniejsze niż śmierć,
a zamiast aniołów wokół latają diabły.
Energię czerpiemy z ekranu monitora,
przed słońcem chowamy się za żaluzją i firaną.

Dziś stęchły rozkład naszych mieszkań
dyktuje nam trasę: kuchnia — toaleta.
Strumień aspołecznych ekskrementów
podają nam na śniadanie, obiad i kolację.

No cóż, wojna — a co, nie zasłużyliśmy?
Od hipokryzji już dawno mnie mdli.
I słusznie mówi bohater Basiłaszwilego —
eh, namnożyło się i Mistrzów, i Małgorzat.

— — —

Przeczytałem te wersy ponownie po latach. Nie zmieniły się, ale głos, którym zostały napisane, brzmiał teraz jakby z daleka. Było w nim więcej pewności, więcej irytacji i, chyba, więcej gotowości do osądzania. Ale nie mogłem nazwać go obcym. Co więcej, niektóre z jego pytań wciąż były moimi.

Wystarczyło zatrzymać się na ostatnim wersie, żeby między nami zaczęła się rozmowa.

— Naprawdę myślałeś, że zrozumiałeś Bułhakowa?

— Tak. Jak zwykle po dobrej książce: zamykasz ją i przez jakiś czas jesteś pewny, że widzisz teraz całość.

— A słowa babci cię nie powstrzymały?

— Powstrzymały. Ale nie na tyle, żebym zrezygnował z pewności. Raczej zostawiły w niej rysę.

— Dlatego usunąłeś pełny tytuł?

— Nie tylko. Chciałem, żeby czytelnik nie dostał dzieła Bułhakowa, zanim dotrze do ostatniego wersu. Żeby „M i M” z początku mogło znaczyć cokolwiek.

— Ale przecież i tak prowadzisz go do konkretnej myśli.

— Prowadzę. Ale nie chcę tam ciągnąć na siłę.

— W wierszu jest dość mało łagodności.

— Bo byłem zły.

— Na ludzi, którzy popisują się przeczytanymi książkami?

— Na nich też.

— A na siebie?

Cisza.

— Teraz rozumiem, że tak. Inaczej wers o wojnie byłby nieuczciwy.

— „Nie zasłużyliśmy?” brzmi niebezpiecznie. Jakbyś mówił, że ludzie zasługują na śmierć.

— Nie. Nie mówiłem o konkretnych ludziach i nie usprawiedliwiałem wojny. Chodzi o nagromadzoną hipokryzję, obojętność, dobrowolną odmowę zauważania tego, co się dzieje. O świat, który długo udaje, że nic strasznego się nie dzieje, a potem dziwi się konsekwencjom.

— Ale sam siedziałeś w tym świecie, pod swoim dachem.

— Właśnie. Nie stałem nad nim. To, że usadowiliśmy się i smacznie jemy w cieniu własnego dachu, to tylko

punkt wyjścia. Dlatego to pytanie dotyczy też mnie. Chyba przede wszystkim mnie, inaczej po prostu ustanowiłbym się sędzią.

— To czemu nie wyjaśniłeś tego wszystkiego w wierszu?

— Bo wyjaśnienie zamknęłoby pytanie. Chciałem, żeby czytelnik doszedł do niego sam.

— A jeśli zrozumie inaczej?

— To zrozumie inaczej. Może głębiej niż ja. Autor niekoniecznie wie wszystko, co napisał.

— To po co w ogóle teraz opowiadać tę historię?

— Nie po to, żeby unieważnić cudzą interpretację. Mogę opowiedzieć, z czego wyrósł tekst. Ale nie mogę ogłosić, czym musi się stać dla innego człowieka.

— Wychodzi na to, że szukałeś czytelnika, który zgodzi się na chwilę pozostać wewnątrz niezrozumienia?

— Tak. Nie takiego, który od razu się ze mną zgodzi. Takiego, który przynajmniej odważy się pomyśleć.

— Znalazłeś?

— Prawie nikogo.

— „Prawie” to niewiele.

— Nie. „Prawie” to już nie „nikogo”. Dla mnie to ogromny sukces.

— A Woland? Mówiłeś, że szukał osobowości.

— Wtedy tak mi się wydawało.

— A teraz?

— Teraz myślę, że to ja ich szukałem.

— Znalazłeś?

— Czasami. W innych. Czasami w sobie. Ale za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że w końcu znalazłem, przypominam sobie babcię.

— I rozumiesz, że nic nie rozumiesz?

— Rozumiem, że będę musiał przeczytać jeszcze raz.

Ten wiersz narodził się na przecięciu pewności i wątpliwości. Młodemu mnie wydawało się, że zrozumiał Bułhakowa i dostrzegł chorobę otaczającego świata. Dzisiejszy ja zauważam coś innego: tekst okazał się skierowany nie tylko na zewnątrz.

Znajomość książek, fabuł i cytatów nie czyni z człowieka osobowości. **Osobowość zaczyna się tam, gdzie to, co przeczytane, zamienia się w pytanie o własne życie.**

Zamknąłem książkę i odstawiłem ją z powrotem na półkę — na to samo miejsce, gdzie stała przez wszystkie te lata, tylko teraz odrobinę ciaśniej wśród reszty.

ROZDZIAŁ 3

W drogę



Czasem wydaje mi się, że niektóre wersy rodzą się nie w chwili, gdy trafiają na papier. Lecz wcześniej. Albo później. Możesz przez lata pamiętać sens wiersza i być całkowicie pewny, że wiesz, skąd się wziął. A potem pewnego dnia zaczynasz o nim mówić — i nagle przypominasz sobie coś zupełnie innego.

Właśnie tak stało się z tym tekstem. Z początku wydawało mi się, że jest o poszukiwaniu, o religiach, o duchowości, o próbie zrozumienia, co kryje się pod pięknymi słowami i gotowymi odpowiedziami. Ale im dłużej rozmawialiśmy, tym wyraźniej pamięć wyciągała zupełnie inny dzień.

Sprzedawałem mieszkanie. Postanowiliśmy wyjechać do Wietnamu. Niemal całe życie, które tak długo budowaliśmy, stopniowo znikało z domu.

Jako pierwszy zdjąłem ze ściany telewizor. Duży. Piękny. Pięćdziesiąt pięć cali. Kiedyś długo go wybierałem, szukałem odpowiedniego modelu, przykręcałem uchwyt, kilka razy mierzyłem wysokość, żeby wisiał idealnie równo.

A potem nagle złapałem się na prostej myśli: „Ale ze mnie głupiec… Przecież prawie go nie oglądam”. Stałem pośrodku pustoszejącego mieszkania i patrzyłem na przedmiot, który kiedyś wydawał się ważnym zakupem. I nagle zrozumiałem, że w ogóle nie chodzi o telewizor. **Ile jeszcze takich rzeczy jest w moim życiu? Ile decyzji podjąłem tylko dlatego, że tak wypada?** Ile celów okazało się piękne tylko z zewnątrz?

Właśnie wtedy po raz pierwszy zapragnąłem zadać sobie pytanie, które później znalazło się w wierszu. Nie „co jest słuszne?”. Lecz „co jest prawdziwe?”.

— — —

W drogę

W pięknie iluzorycznej rzeczywistości
oddalamy się coraz bardziej od prawdy.
Między ścianami tej samej skrajności.
Przebić je mogą tylko mądre myśli.

Skąd je wziąć? Z mroku telewizora?
Z jego cali ogromnego ekranu?
Jeden idzie do apteki z receptą,
inny szuka jakiegoś zacisznego kąta,

by kontemplować swój świat w spokoju,
chowając wzrok przed zewnętrznym chaosem.
Chcemy boskiej czułości
i trochę mniej cuchnącego patosu.

Zagrajcie, deszcze-perkusiści,
wodą po napiętych nerwach.
Żeby odeszły myśli-oszuści,
zatruwające rozum bajkami.

Codzienne, przyzwyczajone uczucia
i pragnienia, co za nimi idą,
niekończące się i nieprzyzwoite —
nie mogę już słuchać waszych jęków!

Kilometry nieprzedeptanych ścieżek…
A ja tu, u rodzinnego progu.
Wszystkie wątpliwości pękły jak baloniki —
i znowu czas wyruszać w drogę…

— — —

Jeszcze przez chwilę patrzyłem na ostatni wers. „I znowu czas wyruszać w drogę…”

— Pojechałeś?

Uśmiechnąłem się. A raczej… uśmiechnął się on.

— Oczywiście.

— Bałeś się?

— Bardzo.

— Ale i tak sprzedałeś mieszkanie.

— Tak.

— Telewizor też?

Roześmiałem się.

— Wyobrażasz sobie, że właśnie od niego wszystko się jakoś zaczęło.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Od telewizora?

— Nie. Mnie też długo wydawało się, że od telewizora. Naprawdę — od uczucia, że życie stało się do niego podobne. Duże. Piękne. Prawidłowo przymocowane do ściany. I prawie zawsze wyłączone.

Długo milczał. Potem cicho powiedział:

— Czyli wiersz nie jest o drodze?

— Jest o drodze. Ale nie takiej, po której się jedzie.

— To o jakiej?

Zamyśliłem się.

— O takiej, na którą człowiek decyduje się dopiero wtedy, gdy przestaje wierzyć, że zewnętrzny porządek oznacza wewnętrzne życie.

Kiwnął głową. Zdaje się, że po raz pierwszy w całej rozmowie niczemu się nie sprzeciwiał. Potem zapytał:

— I jak? Było warto?

Spojrzałem gdzieś obok niego — tam, gdzie były już Wietnam, Bali, góry, morze, ludzie, których wtedy

jeszcze nie sposób było sobie wyobrazić, wszystkie rozmowy, które dopiero miały się wydarzyć. I uśmiechnąłem się.

— Gdyby nie tamten dzień… W ogóle byśmy teraz nie rozmawiali.

On też się uśmiechnął. I po raz pierwszy wydało mi się, że przestał szukać ostatecznej odpowiedzi. Bo zrozumiał najważniejsze. **Czasem wystarczy po prostu zdjąć telewizor ze ściany.**

Przez długi czas wydawało mi się, że ten wiersz jest poświęcony poszukiwaniu prawdy. Teraz myślę inaczej. Narodził się w chwili, gdy przestałem trzymać się kurczowo dawnego życia.

Najbardziej zdumiewające jest to, że zrozumiałem to nie wtedy, gdy pisałem. Lecz wiele lat później — podczas rozmowy o własnym tekście. Pamięć chyba właśnie tak jest zbudowana. Nie oddaje wszystkiego od razu. Czeka na właściwe pytanie. I dopiero potem otwiera drzwi, o których istnieniu sam już dawno zapomniałeś.

ROZDZIAŁ 4

Nie będę się bał

Z pamięcią dzieje się dziwna rzecz: prawie nigdy nie oddaje najpierw tego, co najważniejsze — najpierw wracają okoliczności. Przypomina się kraj, przeprowadzka, sprzedane mieszkanie, nowe życie w Wietnamie, strach przed utratą pracy, próby znalezienia zajęcia, które kiedyś stałoby się zawodem. Wydaje się, że właśnie to było najważniejsze. Ale wystarczy porozmawiać jeszcze trochę — i okazuje się, że to wszystko było tylko dekoracją. **Prawdziwa rozmowa toczyła się gdzie indziej — w środku.**

Wtedy dużo myślałem o swoich błędach: o ludziach, których kochałem inaczej, niż chciałbym teraz, o przypadkowych związkach, o marihuanie, która czasem stawała się sposobem ucieczki nie tyle od świata, co od samego siebie, o niekończących się próbach znalezienia odpowiedzi na zewnątrz. I zdumiewające jest to, że teraz, po latach, prawie nie chcę się spierać z tamtym człowiekiem. Kiedyś wydawało mi się, że powinien był postępować inaczej. Teraz myślę inaczej: gdyby nie on, dzisiejszego mnie też by nie było.

Chyba właśnie dlatego ten wiersz zaczyna się nie obietnicą, że stanę się lepszy, lecz obietnicą, że przestanę się bać.

— — —

Nie będę się bał…

I niech samotność zżera mnie żywcem —
już nie będę się bał.
Nie będę dźwigał znienawidzonego krzyża
bezmyślnie, jak wielbłąd.

Marzę, by pojąć, że obok zła
dobro, idąc z nim równym krokiem,
pilnuje, by nikt z wściekłością
nie łajał towarzysza z perspektywy czasu.

Chciałbym wierzyć, że setki bóstw
nie patrzą ze złośliwym uśmiechem
na te szalone i toporne istoty
i nie uważają ich za pomyłkę.

Mam nadzieję, że kiedyś się znudzę
pragnieniem nieustannego cudu.
I niech samotność zżera mnie żywcem —
już nie będę się bał.

— — —

— Długo nie rozumiałem jednej strofy.

Podniósł głowę.

— Której?

— O dobru i złu.

— A co z nią?

— Wydawało mi się, że jest filozoficzna, że rozprawiasz o ustroju świata.

Uśmiechnął się.

— A okazało się?

Milczałem, potem jednak powiedziałem:

— W ogóle nie jest o ustroju świata. Jest o stosunku człowieka do samego siebie.

Słuchał uważnie.

— Pamiętasz ten wers?

„Dobro, idąc z nim równym krokiem,

pilnuje, by nikt z wściekłością

nie łajał towarzysza…”

— Pamiętam.

— Dopiero teraz zrozumiałem, kim jest ten towarzysz.

Nic nie odpowiedział, chyba już się domyślił.

— To ten człowiek, którym kiedyś byłeś. Ten, który popełniał błędy, który pił, który uciekał, który szukał miłości zupełnie nie tam, gdzie trzeba, który się bał.

Zrobiłem pauzę.

— Wiesz, co jest najdziwniejsze? Zawsze wydawało mi się, że dobro powinno walczyć ze złem. A teraz wydaje się… że dobro powinno pilnować, żeby nikt nie poniżał zła.

Zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.

— Ja też wcześniej nie rozumiałem. Jeśli zaczniesz nienawidzić własnej przeszłości, ona nigdzie nie zniknie — po prostu przestanie z tobą rozmawiać. A przecież to właśnie ona kiedyś przywiodła cię tutaj. Błędy nie stają się słuszne, ale przestają być wrogami.

Milczał długo, potem cicho zapytał:

— Czyli… wybaczyłeś sobie?

Pokręciłem głową.

— Nie. To zbyt wielkie słowo. Raczej przestałem osądzać — bo sąd nie zmienia przeszłości, tylko czyni teraźniejszość cięższą.

Pomyślał jeszcze chwilę i nagle się uśmiechnął.

— Czyli wychodzi na to… że naprawdę nie ma się już czego bać.

Ja też się uśmiechnąłem.

— Prawie. Bać się można. Najważniejsze, żeby nie pozwolić strachowi wybierać za ciebie.

Kiedy pisałem ten wiersz, wydawało mi się, że składam sobie obietnicę, iż stanę się odważniejszy. Dziś widzę w nim coś innego: nie chodzi w nim o brak strachu, lecz o odmowę wypowiedzenia wojny samemu sobie.

Wciąż nie uważam wielu swoich postępków za słuszne, ale coraz mniej chcę wydawać wyrok na człowieka, który ich dokonał — bo to właśnie on, popełniając błędy, krok po kroku doprowadził mnie tam, gdzie teraz jestem.

Chyba dlatego szczególnie bliska jest mi dziś myśl, której w chwili pisania tego wiersza nie potrafiłem jeszcze sformułować: dobro nie zaczyna się tam, gdzie zło zostało zniszczone. Dobro zaczyna się tam, gdzie nawet własnej przeszłości pozwala się być częścią drogi.

Czytając to teraz, zauważyłem, że po raz pierwszy nie czuję potrzeby, żeby cokolwiek do tego dodawać.

ROZDZIAŁ 5

Światy

Czasem wydaje mi się, że pamięć jest od nas uczciwsza — nie dlatego, że niczego nie zapomina, lecz przeciwnie: zapomina prawie wszystko. Ale czasem zauważa kłamstwo, zanim zdążysz je dopowiedzieć do końca.

Kiedy zacząłem sobie przypominać ten wiersz, pierwsze, co powiedziałem, brzmiało: „Wtedy niewiele zapisywałem...”. I niemal od razu sam sobie przerwałem. Nie, nie niewiele — w ogóle prawie nic nie zapisywałem. Byłem leniwy. Wydawało mi się, że myśli można po prostu nosić w głowie, że nigdzie nie znikną, że jeśli są naprawdę ważne, same zostaną. Nie zostają.

Właśnie dlatego ten wiersz stał się jednym z pierwszych, które zapisałem świadomie — nie dlatego, że byłem pewny swoich sił, lecz dlatego, że po raz pierwszy zapragnąłem spróbować traktować słowa jak rzemiosło. Nie dla książki, nie dla sceny, nawet nie dla muzyki. Choć gdzieś głęboko w środku żyła już dziwna myśl: a jeśli właśnie przez wiersze kiedyś dojdę do muzyki? Wtedy brzmiało to niemal śmiesznie. Dziś się uśmiecham, bo między tą myślą a trzema nagranymi albumami leżało wiele lat, o których tamten człowiek jeszcze nic nie wiedział.

Ale najbardziej dziwi mnie co innego. Przez całe życie w naszej rodzinie wiersze pisał mój brat: występował, brał udział w konkursach, i dla

wszystkich było oczywiste, że to on jest poetą. A ja, jak mi się wydaje, całe życie rosłem odwrotnie — nie podążając za kimś, lecz odbijając się od niego, nie z chęci udowodnienia czegoś, lecz z chęci znalezienia własnego sposobu patrzenia.

Chyba właśnie dlatego wiersz nazywa się „Światy”. **Nie dlatego, że światów jest wiele, lecz dlatego, że sposobów patrzenia na ten sam świat jest nieskończenie wiele.**

— — —

Światy

Po co, żywiąc urazę do świata,
chowamy się w więzieniu smutku.
I tonąc w strachu, bólu, żalu,
przecieramy nadzieję aż do dziur.

Tym samym zamieniając duszę w ser.
Spędzamy czas przeznaczony na męki,
gubiąc siebie w głupich związkach,
brukamy eter swoim szaleństwem.

I ludzie-etykietki — ten nieudacznik, tamten idol.
A ten zagubił się w rozkoszach.
Inny, ugrzązłszy w wiecznych pojednaniach —
na zewnątrz dawca, w środku wampir.

W uciesze szalejemy, winny temu jest tłuszcz.
Poddawanie się pragnieniom w uprzedzeniach.
I wiecznie tonąc w zazdrości i obelgach,

nieuchronnie schodzisz na sam dół.

Nie zapominaj, przecież tu jesteś dowódcą!
I broń swojego honoru w bitwach,
nie splam go, chowając się w zbrojowni.
Niech twój mundur wisi nie w schowku, lecz na paradzie.

We mgle wojen nie zgub azymutu,
a ciało, poszarpane odłamkami,
zachowaj — bo przyda się do ratowania
innych. Potrzebują dobrego przewodnika.

Zauważcie: przewodnika, nie konwojenta!
Wszędzie pomieszały się definicje.
Nie dziwota, że nasze rojenia
prowadzą nas cudzą drogą do klasztoru.

Szukamy eliksiru wiecznego życia —
wszystko na próżno, spędzamy życie w pogoni.
Śmierć nie jest nam wrogiem, i w ukojeniu
zamieniamy ten świat na inny.

— — —

Jeszcze przez chwilę patrzyłem na tytuł.

— Czemu akurat „Światy”?

Odpowiedział od razu. Jakby pytanie było zbyt proste.

— Bo światów jest wiele.

Pokręciłem głową.

— Nie.

Zdziwił się.

— Co znaczy „nie”?

— Pamiętasz, co przed chwilą powiedziałeś? Kilka razy powtórzyłeś tę samą myśl. „Sposób patrzenia.” „Sposób wybierania.” „Sposób przeżywania.” „Droga idzie od wewnątrz na zewnątrz.” Cały czas mówiłeś o jednym i tym samym.

Zamyślił się. Zdaje się, że po raz pierwszy naprawdę słuchał.

— To znaczy?

— Światy to nie miejsca. To sposoby istnienia. Jeden człowiek może przeżyć dziesięć różnych żyć, ani razu się nie przeprowadzając. A inny — objechać pół planety, ani razu nie opuszczając własnego strachu.

Milczał. Potem nieoczekiwanie się uśmiechnął.

— Ciekawe... Ja sam wtedy tego nie rozumiałem.

— Oczywiście. Inaczej nie napisałbyś tego.

Wskazałem na wers: „Nie zapominaj, przecież tu jesteś dowódcą!”

Roześmiał się.

— Tak... Pamiętam. Naprawdę pisałem to do siebie, żeby potem przeczytać jeszcze raz.

— Właśnie. To nie było hasło. To była instrukcja.

Znów zamilkł. Potem cicho powiedział:

— Wiesz... Wtedy wydawało mi się, że pewnego dnia wszystko zrozumiem i będę mógł prowadzić innych.

Kiwnąłem głową.

— Pamiętam.

— Teraz brzmi to śmiesznie.

— Czemu?

— Bo teraz rozumiem dużo mniej.

Nie wytrzymałem i się uśmiechnąłem.

— Nie. Rozumiesz więcej. Po prostu przestałeś mylić zrozumienie z pewnością.

Patrzył na mnie długo. A potem nieoczekiwanie zapytał:

— Wychodzi na to… że te wiersze nie były potrzebne innym?

Pokręciłem głową.

— Innym też. Ale najpierw — tobie. Zostawiałeś sobie instrukcje. Bardzo bałeś się zapomnieć to, co dopiero zacząłeś rozumieć. I wiesz… niektóre z nich naprawdę zadziałały.

Nic nie odpowiedział. Tylko znów spojrzał na tytuł. I wydało mi się, że po raz pierwszy zobaczył go tak, jak ja widzę go dzisiaj.

Kiedyś wydawało mi się, że ten wiersz opowiada o różnych ludziach. Dziś myślę inaczej: opowiada o jednym człowieku, który raz za razem zmienia własny sposób patrzenia.

Chyba właśnie dlatego pamięć zaczęła tę rozmowę od małego kłamstwa: „Niewiele zapisywałem”. Nie — prawie nic nie zapisywałem. I dokładnie w chwili, gdy uczciwie to przyznałem, wspomnienia zaczęły się

otwierać same.

Teraz wydaje mi się, że dotyczy to nie tylko pamięci. **Każdy prawdziwy ruch zaczyna się tak samo: nie wtedy, gdy człowiek znajduje właściwą odpowiedź, lecz wtedy, gdy przestaje bronić niewłaściwej.**

Za oknem w tej chwili trwał zupełnie zwyczajny wieczór — bez żadnych szczególnych znaków. Może właśnie dlatego go zapamiętam.

ROZDZIAŁ 6

Geniusz wolności

To był chyba pierwszy wiersz, który napisałem świadomie — nie szkic, nie przypadkowa myśl, nie cztery linijki, które później się zgubią. Wcześniej prawie nic nie zapisywałem. I chyba symboliczne jest to, że pierwszym tekstem, który mimo wszystko doprowadziłem do końca, okazał się wiersz nie o sobie, lecz o bracie.

Miałem piętnaście lat. Rodzice właśnie ostatecznie się rozstali po prawie dwudziestu latach dziwnego małżeństwa — awantury, bójki, rozstania, powroty. W tamtym czasie mieszkałem już tylko z mamą, brat osobno. Czasem przyjeżdżał, czasem znikał na długo.

Tamtego wieczoru zadzwonił: „Mały, zaraz będę”. Ale nie przyjechał. Później zadzwonił telefon — rozmawiał ze mną funkcjonariusz, zadawał pytania. Prawie nic nie rozumiałem, ale bardzo dobrze czułem, że każde słowo może coś zmienić, więc odpowiadałem ostrożnie. Rano brat był już w domu — pobity, wyczerpany.

Pamiętam jeszcze jeden dziwny szczegół. Dzień wcześniej nagrałem mu płytę — wtedy jeszcze istniały odtwarzacze CD, długo dobierałem muzykę, chciałem zrobić mu przyjemność. Podczas zatrzymania odtwarzacz chyba rozbili. Albo płytę. Dziś to już mało istotne. Ważne jest co innego: on poszedł spać, a ja usiadłem, żeby pisać.

Dziwnie jest to dziś czytać — minęło dwadzieścia lat, a zaledwie pół roku temu praktycznie przestaliśmy się kontaktować. Zupełnie. Ale wtedy wszystko było inaczej. Jednocześnie go podziwiałem i zupełnie go nie rozumiałem. Pisał wiersze, nie był leniwy, występował, wygrywał — ludziom podobało się to, co robił. A mnie wciąż wydawało się, że czegoś brakuje. Nie talentu, nie wolności. Głębi. Wtedy jeszcze nie potrafiłem wytłumaczyć tego słowa — po prostu czułem różnicę między człowiekiem, który pisze, żeby go usłyszano, **a człowiekiem, który pisze, żeby usłyszeć samego siebie.** Może się myliłem — dziś już nie odważyłbym się mówić o tym z taką pewnością.

Ale właśnie wtedy po raz pierwszy zapragnąłem spróbować sam. Nie po to, żeby stać się lepszym od brata, nie po to, żeby mu coś udowodnić, lecz żeby pójść własną drogą.

Teraz nagle śmieszy mnie pewna przypadkowa gra słów. Całe życie mówiłem przecież, że rozwijałem się „od odwrotnego” [ros. ot obratnogo — czyli „na zasadzie przeciwieństwa”]. I dopiero dziś usłyszałem to inaczej: w rosyjskim słowie obratnogo ukryte jest brat. Chyba rzeczywiście tak jest. Bardzo wiele we mnie wyrosło nie wbrew bratu i nie dzięki niemu, lecz obok niego. On pokazywał jedną możliwość przeżycia życia, ja szukałem innej. I chyba właśnie dlatego jesteśmy sobie nawzajem tak ważni, nawet jeśli nasze drogi dawno przestały się pokrywać.

— — —

W płomień ognia rzucona kula.
Zmięty w kłębek, dawny arkusz.
Równy, ładny, jednym słowem czysty.
Na nim człowiek wykładał swoje myśli.

Myśl czysta jak kropla rosy.
Prostym słowem wstrząsa umysłami.
Mózg łamie każdą przeszkodę.
Serce poznało gorycz straty.

Wspomnienia poruszają pamięć.
Dobre to czy złe uczynki.
Przypomniał sobie radości przeżytych lat,
wyjął paczkę ulubionych papierosów.

Jego radości, smutki mają swoje przyczyny.
Ktoś się urodził, kogoś zamknięto...
Z setki ludzi on jeden — ćma!
W żyłach kipiący strumień życia.

Lubił chadzać drogami ku niebu,
wpatrując się w jasne oczy przyjaciela.
Lubił czytać porą nocną,
sam na sam ze sobą.

Lubił biegać po kałużach w deszczu.
Lubił śpiewać, choć nikt nie słuchał.
Nikomu nie pozwalał się uczyć.
A kto tu sędzia? Brzmiał głos myśli.

Wola nie dawała mu spokoju.
Adrenalina silniejsza niż alkohol.
Nie stawiajcie zdrowemu rozsądkowi kanonów.
Ma własny zbiór praw w głowie.

Nie potrzeba mu ani raju, ani egzotyki!
Nie zastąpi tym narkotyku życia.
Nie da się zmienić natury człowieka!
On jest ćmą — cholernym geniuszem wolności!

— — —

Długo jeszcze milczałem. Potem jednak zapytałem:

— Naprawdę myślisz, że brakuje mu głębi?

Wzruszył ramionami.

— Tak mi się wydaje.

— A jeśli się mylisz?

Zamyślił się. Na długo.

— To... to znaczy, że napisałem ten wiersz nie o nim.

— A o kim?

Spojrzał na mnie. Zdaje się, że po raz pierwszy nie znając odpowiedzi.

Uśmiechnąłem się.

— O sobie. O tym człowieku, którym bardzo się boisz kiedyś stać.

Milczał. Potem cicho powiedział:

— Wiesz... przecież cały czas staram się iść... od odwrotnego.

Nie wytrzymałem.

— Słyszysz?

Zmarszczył brwi.

— Co?

— Ob-BRAT-nogo. W tym słowie chowa się brat.

Przez kilka sekund po prostu na mnie patrzył. Potem nieoczekiwanie się roześmiał.

— Cholera… Nigdy tego nie zauważyłem.

— Myślę, że nikt tego nie zauważył.

Znów spoważniał.

— On się zmieni?

Długo milczałem.

— Tak.

— Będziemy się przyjaźnić?

Milczenie stało się jeszcze dłuższe. Zdaje się, że już sam wszystko zrozumiał.

— Czyli… nie uda się?

Pokręciłem głową.

— Uda się. Tylko zupełnie nie tak, jak teraz sobie wyobrażasz. On na zawsze pozostanie twoim bratem. Ale pewnego dnia będziesz musiał go puścić. Nie dlatego, że przestaniesz go kochać, lecz dlatego, że zrozumiesz: **nie da się przeżyć cudzego życia lepiej niż sam ten człowiek.**

Zastanowił się chwilę, a potem nagle zapytał, czy nie mam ochoty na herbatę — jakbyśmy przed chwilą rozmawiali o pogodzie.

ROZDZIAŁ 7

Dlaczego

Czasem człowiek wraca nie tam, gdzie chce żyć. Wraca tam, gdzie próbuje zrozumieć, dlaczego nie potrafi już żyć jak dawniej.

W tamtym czasie z żoną prawie się nie kontaktowaliśmy od roku, a jeśli już, to albo szorstko, albo przez prawnika. W ciągu tego roku wydarzyło się zbyt wiele. Mieszkanie, które kiedyś było nasze, stopniowo stało się tylko moje — nie dlatego, że wygrałem jakiś spór, lecz dlatego, że przeszedłem przez banki, kredyty, dokumenty, spłaty i w rezultacie oddałem ogromną sumę pieniędzy, od razu wpadając w poważne długi. Nie mogłem mieszkać w tym mieszkaniu. Wynajmowałem inne. Chyba ściany zbyt dobrze zapamiętują ludzi, którzy w nich mieszkali — czasem wracasz do pokoju i odkrywasz, że powietrze wciąż przechowuje rozmowę, której już dawno nie ma.

Ale pewnego dnia mimo wszystko wróciłem. Nie żeby tam zamieszkać — raczej żeby poszukać kąta, z którego mógłbym zacząć wracać. Chodziłem po mieszkaniu, patrzyłem na znajome rzeczy i zadawałem sobie pytania. Dlaczego nie kochamy tych, którzy są obok? Dlaczego szukamy kogoś gdzieś tam, jakby nowy człowiek automatycznie przyniósł nowe życie? Dlaczego zewnętrzna powłoka tak łatwo staje się ważniejsza od tego, kto dochował wierności wspólnym marzeniom? **Chyba właśnie wtedy po raz**

pierwszy naprawdę przyszła prosta i nieprzyjemna myśl: nowy człowiek to te same problemy, jeśli razem z tobą do nowego związku przeprowadzi się ten sam ty.

W tamtym okresie prawie przestałem marzyć. Każdy pomysł wydawał się nierealny. Niezbyt rozumiałem, gdzie jestem, kim jestem i co w ogóle jestem zdolny zrobić dalej, choć rozumem wiedziałem: mam wiedzę, doświadczenie, zawód, zdolność uczenia się i pracy, nie jestem głupszy od człowieka, który już zrobił to, o czym ja dopiero myślę. Ale co innego rozumieć to głową, a co innego uwierzyć w siebie akurat wtedy, gdy jest to szczególnie potrzebne.

Długi stopniowo zamieniły życie w powtarzający się ruch: praca — dom, wypłata — dług, praca — dom. Hałas pieniędzy naprawdę zagłuszał wszystko inne — nie dlatego, że pieniądze były dla mnie najważniejszą wartością, lecz przeciwnie: ich ciągły brak sprawił, że stały się głównym dźwiękiem. Stukały w nocy, nie dawały spać, zamieniały każdy kolejny dzień w kontynuację poprzedniego.

Czasem dosłownie mdliło mnie od samego siebie. Zdarzało mi się to również później: przed ważną decyzją ciało jakby wcześniej niż świadomość rozumiało, że nie da się już żyć po staremu. Raz musiałem zatrzymać samochód — zwymiotowałem prosto na boczną szybę. Innym razem organizm znów zareagował tak, jakby próbował fizycznie wypchnąć na zewnątrz to, czego zbyt długo nie potrafiłem wypowiedzieć ani rozstrzygnąć.

Ale najtrudniejsza okazała się nie samotność, nie pieniądze i nie niepewność. Stopniowo zacząłem rozumieć, jak bardzo byłem obojętny na to, co działo się z żoną. Nie na wszystko, ale na wiele rzeczy — na jej nieszczęście, na łzy, na stany, których nie chciałem widzieć, na myśli i potrzeby, które były dla mnie niewygodne, nieinteresujące albo wydawały się drugorzędne.

Bardzo łatwo jest powiedzieć, że winni są oboje. O wiele trudniej zobaczyć, w czym dokładnie sam brałeś udział. Zacząłem odczuwać, że jej mogło być jeszcze gorzej, bo to właśnie ona pierwsza odważyła się przyznać: tak dalej nie można. Nie zamieniałem jej w tę, co ma rację, a siebie w winnego. Po prostu po raz pierwszy zauważyłem własny martwy punkt.

Często myślimy, że pomagamy człowiekowi, gdy próbujemy rozwiązać za niego wszystkie problemy. Ale czasem pomoc wygląda inaczej. Czasem polega na tym, żeby uczciwie odbić człowiekowi to, co się z nim dzieje. Czasem — żeby wreszcie usłyszeć to, o czym mówi od dawna. A czasem — po prostu się nie odwrócić.

W tamtym okresie chciałem mniej opierać się na czymś jasnym, wzniosłym i słusznym. Wiara w Boga jakby przygasła — nie zniknęła całkowicie, ale przestała być czymś, na czym można pewnie polegać. Chciałem wrócić do czegoś niskiego, cielesnego, zwierzęcego — choćby dlatego, że wydawało się prawdziwe.

A jednak na samym końcu wiersza zostawiłem nadzieję. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że po roku znów się spotkamy, oboje złamani. Nie rozwiedziemy się. Nie odbudujemy dawnego związku. Zaczniemy budować inny. I wiele lat później wciąż będziemy razem. Ale człowiek, który wtedy chodził po pustym mieszkaniu, nie mógł tego wszystkiego wiedzieć. Mógł tylko pytać.

— — —

Dlaczego

To, co dzieje się w moim świecie,
nikomu w ogóle nie tłumaczę.
Chodzę, błądzę po swoim mieszkaniu
i jak dudek powtarzam sobie: „Dlaczego?”

No dlaczego nie kochamy tych, co są tuż obok,
i wciąż szukamy kogoś gdzieś tam?
W stroju od Prady albo z jędrnym tyłkiem,
zamiast tego, kto dochował wierności marzeniom.

No dlaczego czasem nie wierzymy w siebie,
i częściej właśnie wtedy, gdy trzeba by?
Nie jesteś głupszy od bohatera Jima Carreya,
a jeśli się z tym nie zgadzasz, cóż, trudno.

No dlaczego zostajemy obojętni
na cudzą biedę, uśmiechy, myśli, potrzeby?
Naszym sprytnym i wypalonym duszom
potrzeba więcej dreszczyku — pomoc jest przecież nudna.

No dlaczego hałas pieniędzy zagłusza nuty serca,
stuka po nocach, nie sposób odpocząć?
Kto tam? Sto gramów potu, ale ty
przez skurcze wymiotne nie możesz znów zasnąć.

No dlaczego, no dlaczego wciąż pytamy dlaczego,
szalejemy, a Bóg nam nie każe?
Niebo wielkości owczej skórki — dar dla garstki męczenników,
a tym, co mają wiarę, niczego nie poskąpi.

— — —

Przeczytałem ostatnią strofę jeszcze raz.

— Naprawdę wierzyłeś, że wszystko da się odzyskać?

Nie od razu zrozumiał, o co pytam.

— Co znaczy „odzyskać”?

— Ją.

— Tak.

— A dawny związek?

Zamyślił się.

— Chyba też.

— Właśnie tego nie dało się odzyskać.

Spojrzał na mnie nieufnie.

— Czyli jednak się rozwiedziemy?

Pokręciłem głową.

— Nie.

Milczał.

— Spotkamy się znowu?

— Tak.

— Po ilu latach?

— Mniej więcej po roku.

— Będzie czekać?

— Nie. I ty też nie będziesz. Oboje będziecie po prostu próbować jakoś żyć.

— I co się wtedy wydarzy?

Długo szukałem słów.

— Zobaczycie się nawzajem złamani. Bez zwykłego pragnienia udowodnienia, kto miał rację. Bez dawnej pewności, że problem tkwi wyłącznie w drugiej osobie.

— I wszystko się ułoży?

— Nie od razu. I nie tak, jak byś teraz chciał.

— To jak?

— Nie naprawicie starego. Zaczniecie budować nowe.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby próbował zrozumieć, czy powinien się cieszyć, czy bać.

— Wciąż jesteśmy razem?

— Tak.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— A jaki mamy związek?

Uśmiechnąłem się.

— Zupełnie inny.

Wypuścił powietrze. Chyba dopiero teraz zauważył, że przez cały ten czas prawie nie oddychał.

— Czyli nadzieja na końcu nie była daremna?

— Nie była daremna. Ale trochę się myliłeś, myśląc, że wiara oznacza pewność dobrego zakończenia.

— A co oznacza?

— Czasem tylko odmowę postawienia kropki zbyt wcześnie.

Znów spojrzał na wiersz.

— A czemu cały czas pytam „dlaczego”?

— Bo jeszcze nie wiesz, które pytanie jest naprawdę najważniejsze.

— A ty teraz wiesz?

— Może.

Czekał.

— Nie „dlaczego odeszła”. Nie „dlaczego jest mi tak źle”. I nawet nie „dlaczego nie kochamy tych, którzy są obok”.

— To jakie?

— Dlaczego nie widziałem człowieka obok siebie, dopóki nie zniknął?

Spuścił wzrok.

— To brzmi tak, jakby wszystko było moją winą.

— Nie. Można obu wskazać jako winnych i na tym skończyć. Ale zrozumienie nie zaczyna się tam, gdzie rozdzielono winę. Zaczyna się tam, gdzie każde z was zobaczyło swoją część.

— Ona to zobaczy?

— Myślę, że tak.

— A ja?

— Ty już zacząłeś. Inaczej ten wiersz by nie powstał.

Zamilkł. Potem nagle zapytał:

— Marina będzie szczęśliwa?

Nie potrafiłem od razu odpowiedzieć.

— Nie wiem, czy da się kiedykolwiek stać szczęśliwym raz na zawsze. **Ale wiem, że po wielu latach nadal będziesz wymawiał jej imię tak, jakby stało za nim całe życie.**

— Marina...

— Tak. Marina.

ROZDZIAŁ 8

Pani



[Uwaga tłumacza: ten rozdział opiera się na różnicy między formalnym „Pani” a nieformalnym „ty” — w oryginale rosyjskim jest to różnica między Вы i ты. Na szczęście polszczyzna ma dokładnie to samo rozróżnienie, więc wiersz zachowuje pełny sens bez żadnych obejść.]

Czasem wydaje się, że można załamać się tylko w jednym miejscu — że porażka w miłości pozostanie wewnątrz relacji z jedną osobą, a przyjaźń, praca, nowe znajomości i cała reszta będą istnieć jak dawniej. **Ale człowiek nie ma kilku oddzielnych psychik:** nie ma jednej, uszkodzonej, która wchodzi w

interakcję z żoną, i drugiej, całkowicie nietkniętej, przeznaczonej dla wszystkich pozostałych. Psychika jest jedna. A jeśli coś się w niej zawala, pęknięcia stopniowo rozchodzą się we wszystkie strony.

Kiedy przeprowadziliśmy się do Wietnamu, na zewnątrz wszystko zaczęło się układać: nowy kraj, nowe miasto, nowi ludzie. Codzienność stopniowo się ułożyła, życie znów ruszyło do przodu. Z żoną próbowaliśmy budować związek od nowa. Ale razem z nami do nowego kraju przeprowadziło się wszystko, czego jeszcze nie zdążyliśmy zrozumieć i zmienić — dawne lęki, dawne sposoby obrony, dawne żale i moja coraz bardziej widoczna niezdolność do ufania ludziom.

Zacząłem na nowo przyglądać się relacjom nie tylko z żoną, ale i z przyjaciółmi, z bliskimi, z tymi, których uważałem za swoich, przed którymi latami starałem się być dobry. Zawsze istniała we mnie ta potrzeba — podobać się, wspierać, pomagać, nie sprawiać dodatkowych kłopotów. Chyba gdzieś pod nią krył się niedokochany dziecięcy ja, który kiedyś postanowił, że miłość trzeba zasłużyć wygodą.

Po tym wszystkim, co przeżyłem, ludzie zaczęli mnie męczyć. Czasem nie podobało mi się, jak żona traktuje mnie w obecności innych. Czasem sami inni budzili irytację, choć nie robili nic, co mogłoby to w pełni wytłumaczyć. I w pewnym momencie zrozumiałem, że znowu wypycham na wierzch własny egoizm.

Chciałem sprawdzić, co naprawdę czuję. Nie udowodnić jej czegoś, nie napisać pięknego wyznania, nie przekonać się, że związek koniecznie trzeba ratować. Po prostu dotrzeć do prawdy.

Pisanie zawsze było dla mnie rodzajem terapii. Więc zacząłem schodzić w głąb siebie — głębiej, jeszcze głębiej, tam, gdzie sam prawie nigdy nie bywam i gdzie na pewno nie wpuszczam innych. Nie wiedziałem, co znajdę. Nie byłem nawet pewny, czy miłość wciąż istnieje. Po latach wspólnego życia bardzo łatwo pomylić przyzwyczajenie z uczuciem, lęk przed samotnością z oddaniem, zależność z bliskością, wspólną przeszłość z wystarczającym powodem, żeby trwać dalej. Chciałem zrozumieć, czy pod tymi wszystkimi warstwami zostało coś żywego.

A potem zaczęły się pojawiać wersy — jeden po drugim. Nie rozpoznawałem własnego języka: wydawał się przybyły skądś z dziewiętnastego wieku — wzniosły, ceremonialny, niemal teatralny. „Pani”, „sługa Pani”, szafot, syberyjskie śniegi, miecz Damoklesa. To nie była świadoma stylizacja. Uczucie okazało się tak wielkie, że samo wybrało sobie nieznany mi wcześniej głos.

Z początku w tym głosie było niemal nabożne poważanie. Patrzyłem na żonę jak na nieznajomą kobietę, którą właśnie spotkałem, jak na osobę, którą dopiero trzeba poznać. Może właśnie dlatego w wierszu przez cały czas brzmi „Pani” — i nie tylko z szacunku. Naprawdę istniał między nami dystans. Byliśmy sobie bliscy i jednocześnie niemal obcy.

Podziwiałem ją, wypełniałem się jej obecnością i nawet pod jej nieobecność czułem, że wciąż poruszam się dzięki niej. A jednocześnie wyznawałem: „Pani mnie nie zna”. Zresztą sam siebie wtedy też nie znałem — nie potrafiłem wytłumaczyć, co dokładnie czuję i dlaczego jestem gotów iść za tą zmysłową nutą tak daleko.

Ale stopniowo wzniosłe wyznanie zeszło na ziemię — do jej lęków, niepewności, porywczości, bólu, do tego, co po naszym powrocie do siebie odważyła się przede mną obnażyć. Nie tylko opowiedzieć — właśnie obnażyć, pokazać to, co wcześniej było chronione, ukryte albo niezauważane nawet przez nią samą.

Wtedy naprawdę stanąłem przed wyborem: kontynuować czy odejść, zostać nie tylko z tą kobietą, którą można podziwiać, ale i z jej lękami, słabościami, szorstkością i wewnętrznymi ranami. Postanowiłem zostać. Nie uratować jej, nie wyleczyć w pojedynkę, nie uszczęśliwić zamiast niej — choć w samym wierszu mówię o tym jeszcze o wiele bardziej pewnie siebie. Postanowiłem być obok i pracować nad tym razem. Ostatnie słowo mimo wszystko zostawiłem jednak jej.

Przez niemal cały wiersz zwracam się do niej per „Pani”. I dopiero w ostatnim wersie pojawia się „ty”. Nie jako zawłaszczenie — jako zbliżenie. I nawet tam nie mówię: „Bądź ze mną”. Zostawiam jej prawo decyzji.

Chyba właśnie dlatego dawny tytuł — „Ledwie Cię ujrzę, milknę jak niemowa” — zaczął mi się wydawać zbyt wyjaśniający. Usunąłem prawie wszystko, zostawiłem jedno słowo — „Pani”. Zwięzłe, trochę tajemnicze i dokładnie oddające dystans między dwojgiem ludzi, którzy przeżyli już razem większość życia, ale dopiero zaczynają naprawdę się poznawać.

— — —

Pani

Ledwie Cię ujrzę, milknę jak niemowa,
chłonę jedynie Pani zmysłowe dźwięki.
Jakiż to los mi torturę gotował,
by zjawić się bez ostrzeżenia, bez pukania?

Pani mnie nie zna, choć sługa Pani
sam siebie dotąd nie pojął ani na jotę.
Jedynie tę zmysłową nutę,
nie zamoczywszy w miłości nigdy buta,

gotów jestem ścigać, choćby po szyję w bagno,
choćby na zesłanie, w wieczne syberyjskie śniegi.
Cóż tam… życie oddać za spojrzenie z szafotu…
Może nie jestem bogaty, nie sławny jak ktoś inny,

lecz Panią, tylko Panią przyjąłem głębiej niż duszą…
Jeszcze wczoraj Wszechświat wydawał mi się wielki.
Chochlą zbiorę dla Pani wszystkie gwiazdy.
Zaszyję ziejącą Czarną Dziurę.

Ma Pani rację, tak, teraz naprawdę wszystko mogę.
Zniosę Pani strach, nawet jeśli Pani płaczliwa,
trochę porywcza i tnie z ramienia —
cóż, nie potrzeba mi innego kata.

Gotów jestem nadstawić głowę pod Pani miecz
Damoklesa…
i tylko słuchać Pani niepewnej mowy,
i być jej niewyczerpanym bohaterem,
niech każde czułe spojrzenie przychodzi mi w boju.

Pani się przekona — jestem niewymownie silny
i bez wątpienia po to się urodziłem:
by inspirować Panią swoją żelazną wolą
i leczyć Pani naturę z dręczących bólów,

i wiernie strzec Pani wewnętrznego spokoju,
póki starczy mi sił i życia.
Moje zamiary są ze wszech miar poważne,
i, klęcząc, błagam ze łzami:

pozwól mi wypełnić wszystko, co przeznaczył los…
bylebyś tylko zdecydowała się być ze mną.

— — —

Zatrzymałem się na ostatnim wersie.

— Czemu nagle pojawia się „ty”?

Spojrzał na mnie tak, jakby odpowiedź była oczywista.

— Bo ona staje się bliższa.

— Tylko dlatego?

Ponownie przeczytał wers.

— A co jeszcze?

— Przed nim cały czas mówisz „Pani”. Zachwycasz się, służysz, obiecujesz zebrać gwiazdy, zaszyć Czarną Dziurę, znosić strach, leczyć ból i strzec wewnętrznego spokoju.

— Tak.

— A potem przestajesz obiecywać i zostawiasz jej decyzję.

Zamyślił się.

— „Bylebyś tylko zdecydowała się...”

— Właśnie.

— Wychodzi na to, że nie żądam, żeby została?

— Nie. I to chyba najbardziej dojrzały wers w całym wierszu.

Uśmiechnął się kpiąco.

— A cała reszta jest niedojrzała?

— Nie cała. Ale miejscami jesteś bardzo pewny, że potrafisz poradzić sobie z jej życiem lepiej niż ona sama.

— Chcę pomóc.

— Wiem.

— Czy to coś złego?

— Nie. Ale pomoc i ratowanie to nie to samo.

Zmarszczył brwi.

— Przecież nie zostawiam jej samej.

— I nie musisz. Tylko że nie zdołasz zaszyć każdej jej Czarnej Dziury, nie uleczysz żelazną wolą wszystkiego, co boli, i nie musisz cały czas być niewyczerpanym bohaterem.

— To co mam robić?

— Być obok. Nie zamiast niej — obok niej.

Milczał chwilę.

— To brzmi jak coś mniejszego.

— Naprawdę jest to o wiele więcej. Uratować człowieka można we własnej wyobraźni. Zostać obok prawdziwego — dużo trudniej.

Znów spojrzał na tekst.

— Ale ja przecież naprawdę jestem gotów na wszystko.

— Wierzę.

— A ty?

Nie odpowiedziałem od razu.

— Nie.

Zdziwił się.

— Już jej nie kochasz?

— Kocham. Ale teraz rozumiem, że „gotów na wszystko” to niebezpieczne słowa. Czasem kryje się pod nimi gotowość, by samemu zniknąć.

— Czy miłość nie wymaga poświęcenia?

— Czasem wymaga. Ale nie ciągłego samounicestwienia. Inaczej pewnego dnia odkryjesz, że znowu starasz się być dobry dla wszystkich, a w

środku nie zostało już nikogo.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Chodzi o to, że ludzie zaczęli cię irytować?

— To też. Myślałem, że rozczarowałem się wszystkimi wokół. A potem zrozumiałem: nie mam kilku oddzielnych psychik. Ta część mnie, która przestała ufać żonie, nie mogła po prostu wyjść z pokoju przy spotkaniu z innymi ludźmi i ustąpić miejsca tej zdrowej.

— Czyli po naszym rozstaniu przestanę ufać w ogóle wszystkim?

— Na jakiś czas — prawie.

— Jej też?

— Zwłaszcza jej.

Spuścił wzrok.

— To po co to wszystko piszę?

— Żeby sprawdzić, czy pod nieufnością zostało coś prawdziwego.

— Zostało?

— Tak.

Wypuścił powietrze, ale niemal od razu zadał kolejne pytanie:

— I to wystarczy?

— Samo uczucie — nie.

Podniósł głowę.

— Czego jeszcze brakuje?

— Pracy. Uczciwości. Granic. Zdolności widzenia w drugiej osobie nie tylko pięknego drzewa, które wyrosło w tobie, ale i osobnego człowieka, który ma prawo rosnąć we własną stronę.

Milczał chwilę.

— Poradzimy sobie?

— Ze wszystkim — nie. Ze sobą nawzajem — na razie tak.

— Ona wciąż jest ze mną?

— Tak.

— Bo wypełniłem wszystko, co tu obiecałem?

Uśmiechnąłem się.

— Nie. Bo oboje stopniowo przestaliście czuć obowiązek dorównywania tym obietnicom.

Znów spojrzał na ostatni wers.

— Ona się zdecydowała?

— Tak.

— A ja?

— Ty też.

— Na co?

— Nie tylko być z nią. Poznawać ją na nowo i pozwalać jej na nowo poznawać ciebie.

Przesunął palcem po tytule.

— „Pani”…

— Tak.

— A kiedy w końcu przejdziemy na „ty”?

— Chyba nigdy do końca. W każdym bliskim człowieku zawsze zostanie coś nieznanego. **I może właśnie dlatego miłość nie kończy się w chwili, gdy wydaje się, że już wiecie o sobie wszystko.**

Jeszcze raz przesunął palcem po słowie „Pani” — już nie tak, jak dotyka się tytułu, lecz jak dotyka się czegoś żywego.

ROZDZIAŁ 9

Zaproszenie w gości



To był chyba pierwszy wiersz, w którym zapragnąłem nie tyle rozłożyć na czynniki pierwsze kolejny ból, co się z niego wydostać.

Do tego czasu wystarczająco długo grzebałem w przeszłości — w związkach, w rodzinie, w przyjaźni, we własnych błędach, w tym, jak wszystko, co wcześniej się wydarzyło, doprowadziło mnie akurat do tego punktu. Analizowanie siebie jest niezbędne. Ale w pewnym momencie nawet najuczciwsza analiza może zamienić się w proces dla samego procesu. Można w nieskończoność przewracać te same wydarzenia, szukać nowych przyczyn, wskazywać

winnych, usprawiedliwiać, oskarżać, znowu wybaczać — i wciąż pozostawać w tym samym miejscu.

Chyba wtedy po raz pierwszy zabrzmiało we mnie dość wyraźnie: „No, dość już”. Co da mi jeszcze jedno okrążenie? Jeszcze jeden powrót do dawnej urazy? Jeszcze jedna sprzeczka o to, kto, kiedy i dlaczego postąpił źle?

Nie oznaczało to, że przeszłość stała się zła i trzeba ją wyrzucić. Wręcz przeciwnie: było w niej wiele piękna. Świeciło słońce, powietrze wpływało do płuc, obok byli drodzy ludzie. Była radość, miłość, podróże, odkrycia — i te sposoby życia, które kiedyś naprawdę pomagały. Nie chciałem ogłaszać tego wszystkiego pomyłką. **Po prostu zacząłem czuć: to, co kiedyś podtrzymywało, teraz już nie działa.** Można szanować drogę, którą się przyszło, i mimo to pewnego dnia przyznać, że nie chce się nią iść dalej.

Jak z paleniem. Paliłem dziesięć lat — i przestałem. Nie trzeba co rano przeklinać wszystkich tych dziesięciu lat. Można powiedzieć: „Tak, to było. Ale dziś wybieram inaczej”.

Chyba dlatego przeszłość w tym wierszu nie gnije i mnie nie prześladuje. Zostawia słoneczne błyski — piękne odbicia czegoś już zakończonego. I nie narzekam. Naprawdę wszystko było przepiękne. Ale dość. Czas iść dalej.

Do takiego ruchu potrzebowałem deklaracji — czegoś prostego, niemal hasłowego, co można by wypowiedzieć do samego siebie: „Od dzisiaj w was nie

wierzę”. Nie wierzę w nieuctwo, pychę, hardość, zadufanie. Nie dlatego, że ostatecznie je w sobie pokonałem. Raczej dlatego, że przestałem je uważać za niezmienną część własnej osobowości. Postanowiłem wystawić je za drzwi. Ale nawet to wydało mi się za mało. Chciałem włożyć je do butelki i wystrzelić w sine morze.

W tamtym momencie wciąż mieszkaliśmy w Polsce. Dużo mówiliśmy o przeprowadzce, marzyliśmy, żeby znaleźć się tam, gdzie ciepło, gdzie morze i zupełnie inny obraz przed oczami. Chciałem wierzyć, że nowa przestrzeń pomoże zmienić nie tylko to, co mnie otacza, ale i sposób, w jaki patrzę. Oczywiście dziś rozumiem: sama przeprowadzka niczego nie naprawia, człowiek zabiera siebie ze sobą. Ale nowe miejsce potrafi zakłócić przyzwyczajony bezruch, zmusić do ponownego zobaczenia rzeczy, których w domu dawno przestałem zauważać. I byłem gotów pracować dalej, nawet gdyby uporanie się z dawnymi przyczynami żalu miało zająć całe życie.

W wierszu pojawiło się ognisko na dachu świata. Chciałem pogodzić się z sobą: spalić lęk przed porażką, złość na siebie za to, że nie zacząłem wcześniej, osad z tego, czego nie zrobiłem, nie powiedziałem, przegapiłem. A potem rozwiać popiół z wysokości Pamiru.

Zawsze marzyłem o chodzeniu po górach, marzyłem, żeby zobaczyć Himalaje, pobyć w Nepalu. Wtedy były to tylko obrazy w głowie. Dziś byłem już dwukrotnie w Himalajach, dużo chodziłem po górach

Azji, a zupełnie niedawno zszedłem z wulkanu Rinjani na wyspie Lombok. Człowiek, który pisał ten wiersz w Polsce, jeszcze niczego takiego nie widział. Mógł tylko mieć nadzieję, że kiedyś usłyszy zaproszenie. Dziś mogę mu odpowiedzieć: usłyszałem.

— — —

Zaproszenie w gości

Po co te wszystkie spory o przeszłości?
Po co te wszystkie sztywne, wymuszone krzyki?
Zacznę od dziś — jutro będzie lepiej,
gdzie słońce przeszłości zostawi swoje blaski.

I nie narzekam, wszystko było przepiękne.
Z radością wystawię was za drzwi:
nieuctwo, pychę, hardość i zadufanie.
Od dziś w was nie wierzę!

Butelką wystrzelę was w sine morze,
gdzie toną statki w jego głębinach.
Niech utoną w morzu głębiny żalu,
niech będę stary, twarz w zmarszczkach.

Rozpalę ognisko na dachu Świata,
spalę lęk przed porażką i osad złości.
Rozwieję popiół z wysokości Pamiru,
usłyszę od Wszechświata zaproszenie w gości.

— — —

Znów zatrzymałem się na ostatnich dwóch wersach.

— No i co?

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc pytania.

— Zaprosił?

— Kto?

— Wszechświat.

Uśmiechnął się.

— Jeszcze nie.

— Zaprosi.

— Skąd wiesz?

— Bo ja już byłem tam, dokąd ty się dopiero wybierasz.

Milczał przez chwilę.

— Na Pamirze?

— Nie. Na Pamir jeszcze nie dotarłem. Ale dwukrotnie byłem w Himalajach.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— A morze?

— Też będzie go dużo. Aż tyle, że pewnego dnia będziesz siedział na wyspie, wkopując stopy w piasek, i wspominał, jak kiedyś wysłałeś w sine morze butelkę ze swoją przeszłością.

Roześmiał się.

— Ładnie mówisz.

— To ty ładnie napisałeś. Ja tylko zdążyłem sprawdzić, że niektóre z twoich obrazów naprawdę istnieją.

— Czyli wszystko się udało?

Zamyśliłem się.

— Co dokładnie?

— No… Wystawiłem je za drzwi? Nieuctwo, pychę, hardość i zadufanie?

— Nie.

Wyraźnie się zmartwił.

— To o czym w ogóle rozmawiamy?

— Od czasu do czasu wracają. Czasem pukają. Czasem wchodzą bez pozwolenia. Czasem zauważam je dopiero wtedy, gdy już się rozgościły w środku i czują się jak u siebie.

— Czyli nie da się z siebie niczego wyrzucić?

— Nie wiem. Ale teraz wydaje mi się, że nie wystarczy wystawić jakąś część siebie za drzwi i ogłosić, że się w nią już nie wierzy. Trzeba jeszcze zrozumieć, po co się kiedyś pojawiła.

— Znowu analizować?

— Tak. Tylko nie bez końca.

— A gdzie jest granica?

— Chyba tam, gdzie rozmyślanie przestaje pomagać w zrobieniu kolejnego kroku.

Spojrzał na pierwszy wers.

— „Po co te wszystkie spory o przeszłości…”

— Właśnie. Wtedy już poczułeś tę granicę. Jeszcze nie potrafiłeś jej wytłumaczyć, ale byłeś zmęczony zamienianiem bólu w zajęcie na pełny etat.

— Wychodzi na to, że po prostu postanowiłem przestać cierpieć?

— Nie. Tak się nie da postanowić. Postanowiłeś nie robić z cierpienia jedynego dowodu głębi.

Zamyślił się.

— A przeszłość naprawdę zostawi tylko blaski?

— Nie tylko. Zostaną blizny, przyzwyczajenia, lęki, ludzie, których będziesz wspominał zupełnie różnie. Ale zostanie też światło. I z czasem przestaniesz myśleć, że musisz wybrać jedno z dwojga: albo wszystko było piękne, albo wszystko było straszne.

— A jak było?

— Różnie. I to wszystko było twoim życiem.

Ponownie przeczytał trzecią strofę.

— Czemu dwa razy jest głębina? „Gdzie toną statki w jego głębinach. Niech utoną w morzu głębiny żalu…”

— Chyba dlatego, że bardzo chciałem utopić wszystko naraz.

Uśmiechnąłem się.

— A ono umie pływać.

— Żal?

— Zwłaszcza żal. Nie zawsze udaje się go utopić. Ale czasem przestaje być morzem i staje się zwykłą wodą, przez którą można przejść.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Zawsze teraz tak mówisz?

— Niestety, czasem jeszcze gorzej.

Roześmiał się.

— Dobrze. A ognisko? Rozpaliłeś?

Na moment przed oczami stanęły góry, namioty, zimne noce, zbocza Rinjani, dalekie szczyty Himalajów.

— Nie jedno. I nie tylko na dachu świata.

— Lęk przed porażką spłonął?

— Nie. Ale teraz rzadziej czekam, aż zniknie, zanim zacznę.

— A złość?

— Czasem to właśnie ona pomaga zrozumieć, że pora coś zmienić.

— Czyli jej też nie trzeba było palić?

— Może warto było spalić tylko osad. A sam ogień zostawić.

Powtórzył cicho:

— Zaproszenie w gości...

— Tak.

— I co to okazało się za zaproszenie?

Spojrzałem na niego.

— Nie bilet do jednego konkretnego miejsca. Raczej pozwolenie na wyjście z domu.

— Kto go udzielił?

— Ty sam.

— To czemu od Wszechświata?

— Bo czasem własny głos wydaje się zbyt mały, żeby mu uwierzyć. I człowiek nazywa go Wszechświatem.

Zamyślił się na chwilę, po czym zapytał:

— Będę szczęśliwy?

— Czasami.

— A jutro naprawdę będzie lepiej?

— Czasem gorzej.

Skrzywił się.

— Świetne zaproszenie.

— Za to prawdziwe.

— A jednak zgodziłbyś się przejść przez to wszystko jeszcze raz?

Przypomniałem sobie sprzedane mieszkanie, przeprowadzkę, Wietnam, morze, góry, ludzi, których nie dałoby się spotkać, gdybym został w dawnym punkcie, błędy, których można było uniknąć, i odkrycia, które bez tych błędów by się nie wydarzyły.

— Tak.

— Nawet wiedząc, że nieuctwo, pycha, hardość i zadufanie wrócą?

— Teraz przynajmniej wiem, gdzie są drzwi.

Uśmiechnął się.

— Czyli wszystko się udało?

— Nie. Wszystko się dzieje. I to chyba nawet lepiej.

ROZDZIAŁ 10

Lęki

Czasem prawdziwa myśl nie potrzebuje szczególnego miejsca. Nie potrzeba klasztoru, nie potrzeba szczytu góry, nie potrzeba biblioteki pełnej ksiąg mędrców. Czasem wystarczy parking przy sklepie.

Ćwiczyliśmy wtedy jazdę samochodem. Staliśmy na parkingu, gdy podszedł do nas młody mężczyzna. Zawiązała się rozmowa. Wkrótce okazało się, że mieszka na ulicy. Nie pamiętam, żeby było w nim coś szczególnie tragicznego — nie wyglądał na kogoś, kto przyszedł wzbudzić litość albo natychmiast poprosić o ratunek. Po prostu porozmawialiśmy.

To nie było jedyne spotkanie. Po jakimś czasie znów zadzwoniliśmy do siebie, potem jeszcze raz. Coś omawialiśmy. Opowiedział, że przy jednym z hipermarketów zbierają się chłopaki, którym można przywieźć niepotrzebne rzeczy, starą odzież albo jedzenie. Nie wiedzieć czemu zachciało mi się ich nakarmić. Zamówiłem kilka pizz, pojechałem do innej dzielnicy i im zawiozłem. Starałem się nie dawać pieniędzy — wydawało mi się, że to niczego nie rozwiąże, a może tylko pozwoli na krótko utrzymać wszystko po staremu. Chciałem pomóc inaczej: nakarmić, przywieźć rzeczy, porozmawiać. Nie udawać, że zaraz naprawię czyjeś życie, tylko wziąć w nim niewielki udział.

Wcześniej na widok bezdomnego pewnie najpierw pojawiłaby się we mnie litość, poczucie niesprawiedliwości, chęć natychmiastowego wyciągnięcia człowieka z jego położenia. Ale tu było inaczej. Nie sprawiał wrażenia człowieka szczególnie udręczonego własnym życiem. Brudny, czasem głodny, bez mieszkania, poza zwykłym porządkiem społecznym — a jednak zachowywał się zupełnie swobodnie. Mógł mówić, co myślał. Nie martwił się szczególnie, jakie wrażenie zrobi, kto i co o nim powie, gdzie dziś zaśnie i na ile jego sposób życia odpowiada cudzym wyobrażeniom o normalności.

A ja miałem niemal wszystkie zwykłe dobrodziejstwa cywilizacji: dom, pracę, jedzenie, ubranie, możliwość kupowania, planowania i urządzania sobie życia. Ale wewnętrznie nie czułem się wolny. Uderzył mnie właśnie ten odwrócony porządek. Człowieka na ulicy zwykło się żałować. A ja nagle odkryłem w nim coś, czemu można było pozazdrościć. Nie jego bezdomności, nie głodowi, nie brudnym ubraniom. **Brakowi pewnych lęków, które całkowicie mną rządziły.**

Pewnego dnia poszedłem do sklepu kupić jedzenie i rzeczy dla tych chłopaków. Sprzedawczyni pakowała zakupy do toreb. Wokół ludzie śpieszyli się do swoich spraw: ktoś dokładał do zakupów gumę do żucia, ktoś wybierał coś przy kasie, ktoś denerwował się kolejką. Ogromna masa ludzi nieprzerwanie poruszała się tam i z powrotem. Za kilka sekund i ja miałem zniknąć w tej masie.

Zamknąłem oczy. Tylko na chwilę. I sekundy nieoczekiwanie stały się dłuższe niż cały dzień. Zrobiło mi się lżej. Jakbym pośród kas, toreb, metek i cudzych śpieszących się ciał na moment dotknął czegoś prawdziwego. Zdumiewające, że wcześniej bywałem w podobnych sklepach setki, może tysiące razy, i nigdy niczego takiego nie zauważyłem. Wystarczyło jedno spotkanie z bezdomnym, żeby znajomy obraz rozszedł się kręgami, jak woda po wrzuconym kamieniu.

Najważniejsze stało się dla mnie pytanie z wiersza: „Patrząc na niego, nie poczujesz zazdrości. Ale czemu? Przecież on nie zna strachu”. Po pierwszym zdaniu jakby powinna stać kropka — oczywiście, że nie poczujesz, czego tu zazdrościć? I zaraz pojawia się coś niewygodnego: dlaczego? Jeśli wolność jest naprawdę tak cenna, dlaczego człowiek, który stracił niemal wszystko, czasem wygląda na wolniejszego od tych, którzy przez całe życie boją się stracić to, co zgromadzili?

A potem pojawia się wers: „Po co postanowił postawić na sobie krzyżyk?”. Celowo nie precyzuję, kto dokładnie postawił na sobie krzyżyk. On — bo znalazł się na ulicy i jakby zrezygnował z normalnego życia? Czy może człowiek, który na niego patrzy i jest tak spętany lękami, że sam dawno przestał uważać się za zdolnego do jakiejkolwiek zmiany?

Pieniędzy bezdomny prawie nie miał. Ale nie brakowało mu życia. Potrafił mówić, śmiać się, wspominać, opowiadać historie — miał co opowiadać.

I to nieoczekiwanie odróżniało go od wielu ludzi, którzy mają mieszkanie, pracę i pełną lodówkę, ale których życie stopniowo skurczyło się do tego, żeby zjeść, przespać się, znów zarobić i znów coś kupić.

Nie próbowałem romantyzować ulicy. Nie sądziłem, że głód, brud i brak zabezpieczenia czynią człowieka bardziej duchowym. Sam doszedł do takiego sposobu życia — z powodów, których nie mogłem do końca poznać. Próbowałem tylko zobaczyć, czego to spotkanie może mnie nauczyć.

Opowiadał, że śpi w parku pod sosną. Zapamiętałem właśnie to zdanie. Przecież kupujemy miękkie łóżka, żywność z długim terminem ważności i wszystko, co potrzebne do bezpieczeństwa, a potem kładziemy się do tych łóżek zupełnie wykończeni. Zajadamy strach jedzeniem, niepokój — zakupami, niepewność — kolejnymi planami. A rano zaczynamy wszystko od nowa.

Nie wynikało z tego, że żeby się oczyścić, koniecznie trzeba zostać bezdomnym. Nie zamierzałem rezygnować z domu i spać pod sosną. Ale zrozumiałem: **posiadanie domu jeszcze nie znaczy, że człowiek żyje. Tak samo jak brak domu niekoniecznie oznacza, że jego życie się skończyło.** Chyba trzeba było znaleźć coś pośredniego: nie porzucać wszystkiego, ale też nie pozwalać, żeby strach rządził każdym kolejnym dniem. Żyć dziś, teraz, w miarę możliwości tak, żeby nie było nudno. I nie wymyślać sobie nowych nieszczęść, zanim naprawdę się pojawią.

— — —

Lęki

Ja, stojąc w sklepie przy kasie,
zamyśliłem się nad sensem istnienia.
Tam, gdzie tłumy ludzi śpieszą tam i z powrotem,
za kilka sekund i ja mam tam być.

Zamykając oczy, cieszę się tymi sekundami —
ciągnęły się dłużej niż cały ten dzień.
Tak dziwne, że w tym zatłoczonym miejscu
po raz pierwszy złapałem się na tym.

Pięćset tysięcy razy tu bywałem wcześniej
i niczego wokół nie zauważałem.
Tam żebrak, wyciągając rękę z nadzieją,
stał w milczeniu, jakby medytował.

Patrząc na niego, nie poczujesz zazdrości.
Ale czemu? Przecież on nie zna strachu.
Po co postanowił postawić na sobie krzyżyk?
Tak, nie ma pieniędzy — ale nie brak mu życia.

Głodny, brudny, ubrany niemodnie —
takiego wszyscy omijają z daleka.
Za to jego dusza przejrzysta i wolna,
nie panuje nad nią strach — tylko śmierć z kosą.

A my wciąż kupujemy, ale się boimy,
zajadamy strach jeszcze świeżą żywnością.
Potem, wykończeni, kładziemy się do łóżka —

na miękkie posłanie, nie w parku pod sosną.

Żeby się oczyścić, nie trzeba być bezdomnym.
Ale wiecznie się bać też nie ma sensu.
Żyj dziś i teraz, i żeby nie było nudno.
I nie wymyślaj sobie zbędnych nieszczęść.

— — —

Znów spojrzałem na czwartą strofę.

— Naprawdę mu zazdrościłeś? — zapytałem, patrząc na czwartą strofę.

Zamyślił się.

— Chyba tak. Nie temu, żeby znaleźć się na jego miejscu — ale temu, że było mu wszystko jedno. Tak to wyglądało.

Uśmiechnąłem się.

— Czyli zobaczyłeś kilka rozmów i postanowiłeś, że znasz jego wewnętrzne życie?

— Przecież nie twierdzę, że wiem wszystko — zmarszczył brwi.

— Ale piszesz: „Przecież on nie zna strachu”.

— A czego, twoim zdaniem, się boi?

— Nie wiem. I ty nie wiedziałeś. Może strach towarzyszy mu każdej nocy — zimno, przemoc, choroba, policja, głód. My po prostu zobaczyliśmy człowieka, który nie pokazał nam swojego strachu.

Milczał chwilę.

— Czyli ten wers jest błędny?

— Nie. Uczciwie pokazuje, jakim go wtedy zobaczyłeś. Nie obiektywną prawdę o nim. Twój własny wstrząs.

— Jaki?

— Spotkałeś człowieka, który nie miał prawie nic z tego, co uważałeś za niezbędne do normalnego życia. A on wciąż rozmawiał, śmiał się, opowiadał historie. Nie wyglądał na skończonego. A ty, mając wszystko, czego potrzeba, wciąż się bałeś.

Przeczytał ponownie:

— „Po co postanowił postawić na sobie krzyżyk?”

— To dobre pytanie.

— Do niego?

— I do niego. I do siebie.

— Jaki krzyżyk postawiłem na sobie ja?

— Może postanowiłeś, że bez określonej pracy, sumy pieniędzy, mieszkania, związku i aprobaty innych ludzi nie masz prawa uważać się za żywego.

Przyjrzał mi się uważnie.

— A czy to nieprawda?

— Wszystko, co wymieniłeś, jest ważne. Zwłaszcza dom, jedzenie i bezpieczeństwo. Nie trzeba udawać, że wyrzeczenia są piękne. Ale żadna rzecz sama w sobie nie daje człowiekowi pozwolenia na życie.

— Czyli bezdomny jest wolniejszy ode mnie?

— Nie. Wolność w ogóle raczej nie mierzy się ilością majątku. Po prostu zobaczyłeś w nim jedną wolność,

której ci brakowało, a nie zobaczyłeś niewoli, w której on być może żył każdego dnia.

— To go zromantyzowałem?

— Trochę.

— Czyli cały wiersz jest naiwny?

— Częściowo. Ale naiwność nie unieważnia pytania. Czasem pozwala je po raz pierwszy zadać.

Znów spojrzał na wersy o przejrzystej duszy.

— Skąd wiem, że jest przejrzysta?

— Znikąd. Może chciałeś, żeby taka była.

— Dlaczego?

— Żeby udowodnić samemu sobie: można stracić zewnętrzne urządzenie życia i nie zniknąć jako człowiek.

— Czyli był mi potrzebny jako przykład?

— W wierszu — tak. W życiu był osobnym człowiekiem, którego znałeś bardzo krótko. I ważne jest, żeby tego nie pomylić.

Milczał chwilę.

— Chociaż pomogłem normalnie?

— Na tyle, na ile mogłeś. Przywiozłeś jedzenie, rzeczy, porozmawiałeś. Nie udawałeś zbawcy.

— Specjalnie nie dawałem pieniędzy.

— Może to było rozsądne. Może nie. Nie wiemy, czego naprawdę bardziej potrzebował. Ale ważniejsze jest co innego: nie przestałeś pomagać tylko po to, żeby szybciej pozbyć się własnej litości.

Uśmiechnął się kpiąco.

— „Adekwatna pomoc”?

— Tak. Choć teraz jestem ostrożniejszy z tym słowem. To, co wydaje się adekwatne pomagającemu, nie zawsze jest takie dla osoby, której się pomaga.

— To co wtedy robić?

— Pytać. Słuchać. Nie zakładać, że cudze życie staje się zrozumiałe tylko dlatego, że zobaczyliśmy je z zewnątrz.

Spojrzał na pierwszą strofę.

— Ale wiersz mimo wszystko zaczął się nie od niego.

— Nie. Od ciebie przy kasie.

— Czemu akurat tam?

— Bo prawdziwa myśl nie pyta, czy wybrała wystarczająco piękne miejsce. Może pojawić się przy metkach i gumie do żucia, przed wyłączonym telewizorem, na parkingu, w pustym mieszkaniu.

— A na szczycie góry?

— Tam też. Ale góra nie gwarantuje głębi, tak samo jak kasa jej nie przeszkadza.

Zamknął oczy, jakby znów znalazł się w tamtym sklepie.

— Pamiętam te sekundy.

— Ja też.

— Czemu ciągnęły się tak długo?

— Może po raz pierwszy od dawna przestałeś biec razem ze wszystkimi.

— A teraz potrafisz?

— Czasami.

— Co jest do tego potrzebne?

— Zauważyć, że znowu zacząłeś biec.

Otworzył oczy.

— W ostatniej strofie wszystko uprościłem. „Żyj dziś i teraz”.

— Tak.

— To źle?

— Nie. Czasem człowiekowi potrzebne jest proste zdanie, a nie kolejny skomplikowany system. Tylko „żyj teraz” nie znaczy, że trzeba ignorować przyszłość albo realne niebezpieczeństwa.

— To co znaczy?

— Nie przeżywać z góry wszystkich nieszczęść, które jeszcze się nawet nie wydarzyły.

Kiwnął głową.

— „Nie wymyślaj sobie zbędnych nieszczęść”.

— Właśnie.

— Udało się?

Roześmiałem się.

— Nie. Ale teraz przynajmniej czasem zauważam, kiedy znowu je wymyślam.

Znów zamyślił się nad bezdomnym.

— Ciekawe, gdzie teraz jest.

— Nie wiem.

— Już się nie spotkamy?

— Może nie.

— Dziwne. Zmienił moje spojrzenie, a sam pewnie nawet się o tym nie dowiedział.

— Tak bywa częściej, niż się wydaje. Ludzie wchodzą w nasze życie na kilka minut, wypowiadają zwyczajne zdanie — na przykład że śpią pod sosną — i odchodzą. A wokół tego zdania jeszcze przez wiele lat rozchodzą się kręgi.

— Czyli ten wiersz jest o nim?

— Tylko częściowo.

— To o kim?

— O człowieku przy kasie, który nagle zrozumiał, że całe życie kupował bezpieczeństwo, ale tak naprawdę nigdy nie poczuł się bezpieczny.

Powtórzył cicho:

— A bezdomnym być nie trzeba.

— Nie trzeba.

— To co trzeba?

— Przestać brać strach za jedyny dowód na to, że odpowiedzialnie podchodzi się do życia.

— I to wszystko?

— Na początek — wystarczy.

Spojrzał gdzieś tam, gdzie kiedyś stał nieznajomy człowiek z wyciągniętą ręką.

— Miałeś rację.

— W czym?

— Jednak mu zazdrościłem.

— Wiem.

— A teraz wciąż zazdrościsz?

Zastanowiłem się.

— Już nie jemu.

— To komu?

— Sobie samemu z tamtej chwili, który po raz pierwszy na kilka sekund zatrzymał się pośród tłumu i naprawdę zauważył, że istnieje.

ROZDZIAŁ 11

Batyskaf



Czasem głos wewnętrzny się nie kłóci, nie ostrzega, nie namawia, żeby się zatrzymać. Po prostu mówi: „Dobra. Ja na urlop. A ty tu sobie hulaj”. Mniej więcej tak wspominam dziś tamten okres.

Żona odeszła do innego, nie wytrzymawszy tego, jaki wtedy byłem. Minęło bardzo niewiele czasu i znalazłem się w nowym związku. Dlaczego wszedłem w niego tak szybko, trudno dziś wytłumaczyć. Chyba ciało domagało się choć jakiejś kontynuacji życia, a wszystko wewnątrz było już zbyt zmęczone, żeby się opierać — zbyt długo maskowało uśmiech, akceptację, próby wyglądania normalnie i udawanie, że to, co się

dzieje, nie niszczy mnie od środka.

Ta kobieta miała dzieci z różnymi mężczyznami, swoją historię, swoje nagromadzone w tym wieku trudności. Ja miałem swoje. Nie zdążyłem uporać się z żadną z nich. Zamiast tego wynajęliśmy osobne mieszkanie, bo w swoim nie mogłem zostać.

Zaczął się dziwny rok. Dużo pracy. Po pracy — dużo bezsensownego ruchu: alkohol, narkotyki, próby wypełnienia czymś przestrzeni, której nic nie potrafiło wypełnić. Przez krótki czas wydawało się, że to wszystko pomaga zamknąć ból. Ale nic się nie zamykało. Raczej ja sam stopniowo znikałem za tym hałasem.

Zacząłem kłócić się z przyjaciółmi — przy czym nie z ludźmi, których z przyzwyczajenia nazywałem przyjaciółmi, lecz z tymi, którzy naprawdę nimi byli. Jeden z nich mimo wszystko wytrzymał, przyjechał do mnie. Dużo rozmawialiśmy, spędzaliśmy razem czas, i pomógł mi zacząć się wydostawać.

Do tego czasu związek z tamtą kobietą już się skończył. Wróciłem do swojego mieszkania trzydziestego grudnia — następnego dnia miał nadejść Nowy Rok. Przyjechałem z resztkami rzeczy, które jeszcze zostały: coś zniknęło, coś komuś podarowałem, coś sprzedałem niemal za bezcen. Było mi wszystko jedno. W mieszkaniu zostały gołe ściany, sufit i ten sam przeklęty telewizor. Nie rozumiałem, co robić dalej.

Pamiętam łazienkę. Stałem nagi, pochylony przed lustrem, i patrzyłem na własną twarz, na sińce pod oczami, na ciało, z którym obchodziłem się tak, jakby nie należało do mnie, na człowieka, któremu zbyt długo pozwalałem robić ze sobą wszystko. I po raz pierwszy naprawdę się rozpłakałem. Nie cicho, nie pięknie — histerycznie, jakby naprawdę otworzono jakąś śluzę i popłynęła stamtąd rzeka.

W tamtej chwili po raz pierwszy jasno zrozumiałem, jak okrutnie obchodziłem się ze swoim ciałem, umysłem i tym, co zwyczajowo nazywamy duszą. **I obiecałem sobie: już nigdy więcej tak z sobą nie postąpię.**

Ta obietnica nie zmieniła mnie natychmiast w innego człowieka. Nawet po latach wciąż czasem pozwalam ludziom się po sobie wozić. Dawne sposoby przetrwania nigdzie nie zniknęły. Właśnie dlatego dziś chodzę na psychoterapię i wciąż rozpracowuję to, co wtedy zobaczyłem po raz pierwszy.

Ale przy tamtym lustrze kierunek się zmienił. Zacząłem wracać — do siebie, do pisania, do zdolności zbierania myśli i ustawiania ich w rząd. Wewnątrz nazbierało się zbyt wiele odłamków: zbyt wiele złości, bezsilności, wspomnień, które ranily za każdym razem, gdy ich dotykałem. Musiałem wyrzucić te noże na papier.

Płakałem tak, jakby dało się z oczu wypchnąć wszystko to, czego latami nie potrafiłem wypowiedzieć. Wziąłem prysznic. Owinąłem się kocem. I zacząłem pisać.

Chciałem pozbyć się strachu. Ale nawet wtedy chyba czułem: samo wygnanie go nie wystarczy. Jeśli pozwolę mu skryć się w szafie, przeczeka, a potem wróci, gdy znowu osłabię czujność. Więc strachu nie trzeba było przepędzać. Trzeba było go zatrzymać przed sobą i przyjrzeć mu się — nawet jeśli musiałbym stać się dla siebie katem, toporem i plachą. Czasem naprawdę trzeba odciąć gnijącą część. Nie dlatego, że się siebie nienawidzi, lecz dlatego, że chce się zachować resztę.

Tak powstał batyskaf. Nie maszyna do ucieczki, nie sposób na odgrodzenie się od głębi metalowymi ścianami. Wręcz przeciwnie — możliwość świadomego zejścia tam, zanurzenia się na dnie własnej świadomości, spojrzenia w mroczne jaskinie, zobaczenia tego, czego zwykle wygodnie jest nie zauważać.

W mroku naprawdę łatwiej. Tam nic nie razi oczu. Jest tam wielu ludzi gotowych wspólnie wytłumaczyć, dlaczego nic nie trzeba zmieniać. Można żyć w ciemności, nie zadając pytań: pić, pracować, bawić się, znowu pić, znajdować kogoś nowego, tracić starych przyjaciół — i za każdym razem przekonywać siebie, że prawdziwy problem znajduje się gdzieś na zewnątrz. Ale ciemność okazała się też miarą. Dopiero widząc, ile jej we mnie, zdołałem zrozumieć, gdzie szukać światła.

Później powstanie album „Labirynt”. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie kontynuacją tego samego zanurzenia. „Batyskaf” to decyzja, by nurkować.

„Labirynt” to próba sporządzenia mapy tego, co odnalazło się na głębi.

Chyba właśnie wtedy wiersze po raz pierwszy stały się dla mnie czymś więcej niż sposobem wypowiedzenia się. Stały się bojami ratunkowymi. Myśli ustawione w rząd przywracały kierunek. Nie rozwiązywały wszystkiego. Ale pomagały zrozumieć, dokąd płynąć dalej.

I wśród tego wszystkiego, co zobaczyłem, była jedna myśl, której szczególnie chciałem się trzymać: **ty jesteś swoim najlepszym przyjacielem.** Nie jedynym. Nie kimś, kto potrafi poradzić sobie zupełnie sam. Dziś rozumiem, że wiele rzeczy trzeba przeżyć razem z drugim człowiekiem: przyjacielem, bliską osobą, terapeutą. Ale ten, kto jest w środku, i tak musi kiedyś wrócić z urlopu. Bez niego żadna pomoc z zewnątrz nie zdoła dokończyć drogi.

— — —

Batyskaf

Okruchy myśli rzuciłem wszystkie na papier.
Nazbierało się ich tam przez parę setek lat.
Z głowy oczami wycisnąłem całą wilgoć
i, wziąwszy prysznic, owinąłem się kocem.

Jest pragnienie, żeby pozbyć się strachu,
a raczej — nie pozwolić mu skryć się w szafie.
Sam jesteś sobie katem, toporem i plachą.
Jak Jacques Cousteau, właź do swojego batyskafu.

Nim zanurz się na dno głębin świadomości
i dokładnie zbadaj wszystko wokół.
Zwróć uwagę na mroczne jaskinie.
I pamiętaj: ty jesteś swoim najlepszym przyjacielem.

Tak, bywa tam podle, gorzko, strasznie.
Wszystkiego nie da się oddać nawet w tysiącu słów.
Ale wrażenie, że to nie na darmo,
prowadzi do myśli, że jesteś czysty i nowy.

W mroku zawsze wygodniej przebywać:
jest tam więcej ludzi i nie razi oczu.
Uch, znudziła się ta cholerna ciemność, niech ją!
Ale będąc miarą, rozjaśnia nas.

— — —

Znów spojrzałem na drugą strofę.

— Czemu akurat batyskaf?

Wzruszył ramionami.

— Żeby zanurzyć się głębiej.

— A bez niego się nie da?

— Tam jest ciśnienie. Można nie wytrzymać.

— Czyli batyskaf cię chroni?

— Tak.

Pokręciłem głową.

— Teraz wydaje mi się, że robi coś jeszcze.

Spojrzał pytająco.

— Przywraca tego, kto poszedł na urlop.

— Kogo?

— Twój głos wewnętrzny. Tego, który wcześniej mówił, gdzie się zatrzymać.

— Wróci?

— Tak. Ale już nie w dawnej postaci.

— A w jakiej?

— Wcześniej próbował trzymać cię z góry: zakazywał, ostrzegał, przykrywał wszystko uśmiechem i akceptacją. A teraz razem postanawiacie zejść w dół.

Zamyślił się.

— Czyli batyskaf to on?

— Raczej to, co zbudowaliście razem. Żeby się już więcej nie zgubić.

Ponownie przeczytał:

— „Sam jesteś sobie katem, toporem i plachą”.

— Okrutne.

— A czy nie tak jest?

— Czasem tak. Ale bądź ostrożny. Człowiek, który postanowił się uratować, łatwo może zamienić się we własnego oprawcę.

— Ale gnijącą rękę trzeba odciąć.

— Czasem. Ale najpierw warto się upewnić, że naprawdę gnije, a nie po prostu boli.

Zmarszczył brwi.

— Jaka to różnica?

— Ogromna. Chorą część można wyleczyć. Odciętej się już nie odzyska.

— To co dokładnie mam odciąć?

Milczałem chwilę.

— Nie siebie. Sposób, w jaki się ze sobą obchodzisz.

— Alkohol?

— I jego, jeśli staje się sposobem na zniknięcie.

— Narkotyki?

— Też.

— Ten związek?

— Może. Ale najważniejszy jest nawyk myślenia, że twoje ciało, czas i godność można bez końca oddawać w zamian za kilka godzin ulgi.

Spuścił wzrok.

— Przecież naprawdę myślałem, że robi mi się lżej.

— Wiem.

— A robiło się?

— Na kilka godzin. Potem wracałeś jeszcze dalej od siebie niż wcześniej.

Zamilkł.

— Czemu płakałem przed lustrem?

— Bo po raz pierwszy zobaczyłeś nie okoliczności. Siebie.

— Czy wcześniej siebie nie widziałem?

— Widziałeś odbicie. Ale tłumaczyłeś je kobietami, rozstaniem, pracą, przyjaciółmi, samotnością. A tamtego wieczoru między wami nic nie zostało. Ani ubrania, ani ładnej historii, ani usprawiedliwienia. Tylko człowiek i ciało, które niemal doprowadził do

zniszczenia.

Długo nic nie mówił.

— Wstyd mi.

— Mnie też było.

— A teraz?

— Teraz to raczej ból.

— Czy to lepsze?

— Tak. Wstyd mówi: „Jesteś zły”. Ból mówi: „Postąpiono z tobą źle”. Czasem tym kimś byłeś ty sam. Ale nawet wtedy ból zostawia możliwość zmiany stosunku do tego.

Znów spojrzał na wiersz.

— Napisałem, że po zanurzeniu będę czysty i nowy.

— Tak.

— To nieprawda?

— Niezupełnie. Po jednym zanurzeniu nie staniesz się nowym człowiekiem.

— To po co nurkować?

— Żeby przestać za każdym razem brać dno za miejsce, gdzie życie się kończy. Czasem można się od niego odbić.

— Odbiłeś się?

— Wtedy — tak. Ale potem trzeba było nurkować jeszcze wiele razy.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Czyli nic się nie skończyło.

— Nic ważnego zwykle nie kończy się jedną obietnicą przed lustrem.

— Więc moja obietnica była bezsensowna?

— Nie. Wybrałeś kierunek, a nie linię mety.

Powtórzył to w myślach.

— Kierunek...

— Właśnie.

— A „Labirynt”?

Podniosłem na niego wzrok.

— Skąd wiesz?

— Sam przed chwilą wspomniałeś.

Uśmiechnął się.

— Co to takiego?

— Album, który nagrasz za kilka lat.

— Muzyczny?

— Rap.

Roześmiał się.

— Ja?

— Ty.

— A o czym on jest?

— O tym, co tu znajdziesz.

Wskazałem na wersy o mrocznych jaskiniach.

— Wychodzi na to, że batyskaf jednak dopłynie?

— Dopłynie.

— I co będzie na dnie?

— Ty.

— Tylko ja?

— To całkiem wystarczy, żeby się przestraszyć.

Przestał się uśmiechać.

— A żeby się wydostać?

— Też ty. Ale nie tylko.

— Kto jeszcze?

— Przyjaciel, który cię wytrzyma wtedy, gdy ty sam prawie przestaniesz siebie wytrzymywać. Ludzie, z którymi nauczysz się rozmawiać. Terapeuta. Żona, z którą pewnego dnia zaczniesz budować zupełnie inny związek. Muzyka. Wiersze.

— Czyli wers „ty jesteś swoim najlepszym przyjacielem" jest błędny?

— Nie. Po prostu najlepszy przyjaciel nie musi być jedyny.

Milczał chwilę.

— A ty teraz dobrze się ze sobą obchodzisz?

Nie odpowiedziałem od razu.

— Lepiej.

— Ale wciąż czasem pozwalasz innym się po sobie wozić?

— Czasami.

— To niewiele się nauczyliśmy.

— Nauczyliśmy się zauważać to wcześniej.

— I to wszystko?

— Na razie tak.

Wyglądał na rozczarowanego.

— Cztery lata dla tego?

— Czasem cztery lata potrzeba, żeby zobaczyć wzorzec kilka minut wcześniej niż dawniej. Te kilka minut potrafi bardzo dużo zmienić.

Ponownie przeczytał ostatnią strofę.

— Czemu mrok rozjaśnia?

— Bo pokazuje kontrast.

— Czyli bez ciemności nie ma światła?

— Światło jest. Ale człowiek, który długo żył w mroku, zauważa je inaczej.

— To wszystko było potrzebne?

Westchnąłem.

— Nie wiem. I teraz jestem ostrożniejszy z tym zdaniem. Nie wszystko, co się wydarzyło, musiało być potrzebne, żeby coś z tego wynieść.

— Czyli mogłem nie przechodzić przez ten rok?

— Może.

— I zostać tym samym człowiekiem?

— Nie. Innym. Niekoniecznie gorszym. Niekoniecznie lepszym. Po prostu innym.

Zamyślił się.

— Żałujesz?

Znów przed oczami stanęło lustro. Sińce pod oczami. Gołe ściany. Trzydziesty grudnia. Człowiek, który po raz pierwszy szlochał nie dlatego, że go porzucono,

lecz dlatego, że sam porzucił siebie.

— Tak.

— Czego?

— Że zbyt długo cię nie słuchałem.

— Mnie?

— Tego, kto jeszcze przed tym wszystkim zostawiał mi notatki. „Nie bój się”. „Ty tu dowodzisz”. „Wyrusz w drogę”. „Ty jesteś swoim najlepszym przyjacielem”. Budowałeś latarnie morskie, jeszcze nie rozumiejąc, że pewnego dnia będę musiał szukać po nich drogi do domu.

Spojrzał na mnie zupełnie inaczej.

— Znalazłeś?

— Nie do końca.

— Znowu kierunek, a nie meta?

— Znowu.

Uśmiechnął się.

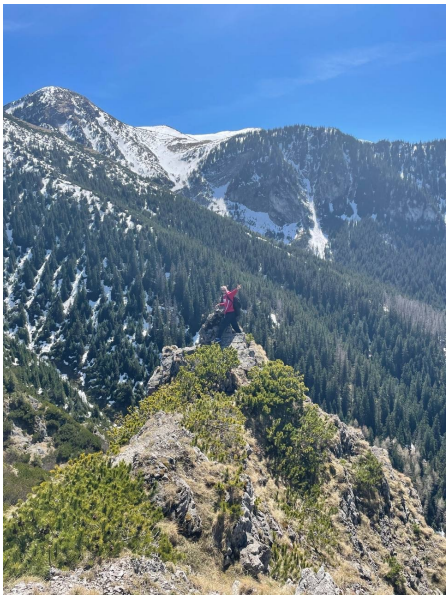
— To może zanurzmy się jeszcze raz?

Spojrzałem w dół. Tam, gdzie wciąż pozostawały niezbadane jaskinie.

— Chodźmy. Tylko teraz nie sam.

ROZDZIAŁ 12

Góry



Czasem, żeby wrócić do siebie, nie trzeba zanurzać się w ciemność. Można przypomnieć sobie miejsce, gdzie kiedyś było spokojnie.

Zawsze marzyliśmy, żeby pobyć w górach, oglądaliśmy zdjęcia, wyobrażaliśmy sobie, jak to tam jest, i przy każdej okazji staraliśmy się wyrwać — jeździliśmy samochodem, braliśmy namiot, zatrzymywaliśmy się na obozowiskach, spaliśmy wśród drzew, kamieni i zimnego powietrza.

Z początku wydawało mi się, że właśnie o jednej z takich wypraw napisałem ten wiersz. Ale pamięć znów zaczęła mnie poprawiać w trakcie opowieści.

Nie — nie powstał w górach. Powstał na brzegu Morza Bałtyckiego.

Do tego czasu z żoną znowu byliśmy razem. Po wszystkim, co się wydarzyło, próbowaliśmy odbudować związek i pewnego razu pojechaliśmy nad morze razem z jej przyjaciółmi. Nie moimi. Odpoczynek miał być czymś lekkim: morze, piasek, ludzie obok, rozmowy. Ale w trakcie zaczęły pojawiać się różne niewygodne sytuacje — jakieś słowa, reakcje, sposób, w jaki się do siebie zwracaliśmy w obecności innych. Dawne wzorce nigdzie nie zniknęły tylko dlatego, że postanowiliśmy zacząć od nowa.

A ja już obiecałem sobie, że nie pozwolę więcej traktować się byle jak, że nie dam sobą pomiatać. Ale między obroną siebie a kolejnym wewnętrznym konfliktem zostawało bardzo mało przestrzeni. Mogłem znowu wpaść w irytację, zacząć śledzić każdy gest, słowo, każdy przejaw braku szacunku — prawdziwy albo tylko tak odebrany.

Pilnie potrzebowałem znaleźć samotność. Nie fizyczną — wokół byli ludzie i nie mogłem się od nich całkowicie odsunąć. **Potrzebowałem samotności wewnętrznej.**

Leżałem na piasku. Obok szumiało morze, ktoś rozmawiał, ktoś się śmiał, odpoczynek trwał dalej. A ja zamknąłem się w sobie i postanowiłem przypomnieć sobie góry. Nie uciec tam na zawsze, nie udawać, że tego, co dzieje się wokół, nie ma. Po prostu na kilka minut odzyskać stan, który kiedyś mi podarowały. Przypomnieć sobie chmury, stare

szczyty, drzewa, strumienie, słońce, słowika — ten świat, który niczego ode mnie nie wymagał.

W „Batyskafie” ruch prowadził w dół: trzeba było zejść w mroczne jaskinie świadomości i spojrzeć na to, czego unikałem. Tutaj było odwrotnie. Rozpuszczałem się w świecie zewnętrznym na tyle, żeby wewnętrzny hałas choć na chwilę ucichł. Chyba to też jeden ze sposobów powrotu do siebie. Nie zawsze trzeba badać ból. **Czasem trzeba przypomnieć sobie piękno.**

Wiersz wyszedł niemal całkowicie obserwacyjny — bez ciężkich pytań, bez oskarżeń, bez próby znalezienia ostatecznej prawdy. Chmury zamieniły się w ogiery, góry — w starców, drzewa — w szczecinę, śnieg — w śmietanę, słowik — w Pavarottiego. Jakbym celowo pozwolił sobie patrzeć prościej: nie tłumaczyć, nie szukać ukrytych przyczyn, nie rozkładać własnego stanu na części. Tylko widzieć. Ze dźwięków i barw stopniowo składał się świat, w którym można było trochę odpocząć.

A na końcu pojawił się dziwny wers: „Miłość — klucze do skrytek bankowych”. Wcześniej mógł się wydawać przypadkowy — czemu nagle bank pośród gór, strumienia, słońca i ptaków? Teraz wydaje mi się, że szukałem miejsca, gdzie można przechowywać przeżyte stany. Nie pieniądze, nie rzeczy, lecz minuty, w których naprawdę czułem się żywy i spokojny. Każda podróż, każdy widok, każdy poranek w górach jakby stawał się wkładem. A potem, w odpowiedniej chwili, można było otworzyć skrytkę i wyjąć stamtąd

trochę ciszy.

Właśnie to zrobiłem wtedy nad Morzem Bałtyckim. Leżałem na piasku, słyszałem ludzi wokół, a wewnątrz otworzyłem jedną ze skrytek. I znalazłem się w górach.

— — —

Góry

Nad nami biegną ogiery,
głaskając ogonami sklepienie nieba.
A góry, starcy-mędrcy,
milczą, odliczając lata.

Drzewa niby szczecina,
wiatr kołysze je tam i z powrotem.
Jak mistrz pędzlem nad obrazem,
krąży nad nimi helikopter.

A promienie jasnego słońca
pieszczą jak dłoń mamy.
Zwiastuny wiosny — gawrony.
Śnieg na szczytach jak śmietana.

Leśnym wężykiem strumień
biegnie, wijąc się między sosnami.
A słowik-Pavarotti —
wciąż proszą go o bis.

Z dźwięków i barw utkany jest świat.
Natura — obrus-samobranka.

Stwórca — mistrz-jubiler.
Miłość — klucze do skrytek bankowych.

— — —

Znów przeczytałem ostatni wers.

— Czemu bank?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Tak przyszło.

— A co leży w tych skrytkach?

— Miłość.

— To jasne. Ale w jakiej postaci?

Zamyślił się.

— Wspomnienia?

— Możliwe.

— O ludziach?

— Nie tylko.

Spojrzałem na niego.

— Przecież nie pisałeś tego w górach.

— Jak to nie w górach?

— Nad Morzem Bałtyckim.

Zdziwił się.

— Nie pamiętam.

— Ja też z początku nie pamiętałem. Byli tam ludzie, przyjaciele żony, jakieś nieprzyjemne sytuacje. Musiałeś pilnie znaleźć miejsce, gdzie nikt nie zdoła

cię zranić.

— I przypomniałem sobie góry?

— Tak.

— Czyli po prostu uciekłem?

— Na kilka minut.

— Czy to dobrze?

— Czasem ucieczka i wytchnienie wyglądają tak samo. Różnica staje się jasna później.

— I co to było?

— Myślę, że wytchnienie. Nie odszedłeś na zawsze, nie zostawiłeś wszystkich na plaży. Po prostu spróbowałeś odzyskać wewnętrzną przestrzeń.

Spojrzał na pierwszą strofę.

— Czyli tych ogierów wtedy nade mną nie było?

— Były inne chmury. Bałtyckie. Ale patrzyłeś na nie przez górskie wspomnienie.

— Czyli wiersz kłamie?

— Nie. Pokazuje nie to, gdzie znajdowało się twoje ciało, lecz to, gdzie w tamtej chwili byłeś ty.

Milczał chwilę.

— Dziwne. Przyjechaliśmy nad morze, a ja napisałem o górach.

— Bo człowiekowi nie zawsze potrzebne jest miejsce, w którym się znalazł. Czasem potrzebny mu jest stan, który przechowuje się zupełnie gdzie indziej.

Znów przeczytał:

— „Miłość — klucze do skrytek bankowych”.

— Teraz słyszysz?

— Chyba tak. Góry leżały w jednej ze skrytek?

— Raczej nie góry. To, jaki byłeś obok nich.

— Spokojny?

— Uważny. Nie zajęty bezustannym ustalaniem, kto i jak się do ciebie odnosi. Po prostu patrzyłeś.

— A miłość co ma z tym wspólnego?

— Może to właśnie ona pozwala zachowywać takie stany.

— Miłość do natury?

— Do natury. Do człowieka. Do siebie. Do samego życia w tych rzadkich sekundach, gdy nie próbujesz go naprawiać.

Zamyślił się.

— Czyli wspomnień można używać jak lekarstwa?

— Czasem. Ale trzeba z nimi też uważać.

— Czemu?

— Można wspominać miejsce, żeby wrócić do siebie. A można — żeby nigdy więcej nie spotkać się z teraźniejszością.

— Jak poznać różnicę?

— Po dobrym wspomnieniu wracasz do bieżącego życia trochę spokojniejszy. Po ucieczce chce się zostać w przeszłości na zawsze.

Rozejrzał się, jakby znów zobaczył plażę.

— Wróciłem?

— Tak.

— I zrobiło się lżej?

— Na jakiś czas.

— A sytuacje z ludźmi się rozwiązały?

— Nie wszystkie.

— To jaki z tego pożytek?

— Nie musisz rozwiązać wszystkiego naraz, żeby kilka minut spokoju miało znaczenie. Czasem tych kilku minut wystarczy, żeby nie zrobić sobie albo komuś jeszcze większej krzywdy.

Kiwnął głową.

— Przecież mówiłem, że nie dam sobą więcej pomiatać.

— Tak.

— I dotrzymałem?

Milczałem chwilę.

— Zacząłeś się uczyć.

— Znowu tylko kierunek?

— Znowu.

Westchnął.

— W żadnej naszej rozmowie nic się nie kończy.

— Bo życie niezbyt lubi ostateczne sformułowania.

— A wiersz się kończy.

— Tekst — tak. Stan, który w nim jest zachowany, można otworzyć jeszcze raz.

Przyjrzał mi się uważniej.

— Jak skrytkę bankową?

— Właśnie.

— A ty wciąż umiesz tam wracać?

Przed oczami pojawiły się już inne góry. Himalaje. Rinjani. Namioty na wysokości. Ciężki plecak. Ból w plecach. Zmęczenie. Chmury pod stopami.

— Teraz nazbierałem więcej.

— Więcej gór?

— Więcej stanów. Nie wszystkie są spokojne. Czasem góry to zimno, ciężar i chęć jak najszybszego zejścia.

— Czyli przestały być lekarstwem?

— Nie. Po prostu stały się prawdziwe. W piętnastu minutach wspomnienia łatwo zostawić tylko piękno. W czterech dniach wędrówki trzeba spotkać się i z własnym ciałem, i ze zmęczeniem, i z irytacją.

— Wciąż lubisz tam chodzić?

— Tak.

— Czemu?

— Bo tam trudniej udawać. Plecak ciężki — to znaczy ciężki. Plecy bolą — to znaczy bolą. Szczyt daleko — to znaczy daleko. Góry nie obchodzi, jak pięknie wytłumaczysz swój stan.

Uśmiechnął się.

— A ten wiersz jest bardzo piękny.

— Tak. Wtedy właśnie tego potrzebowałem.

— Piękno zamiast prawdy?

— Piękno też bywa prawdą. Tylko nie jedyną.

Znów spojrzał na helikopter, słowika i śnieg podobny do śmietany.

— Wszystko tu jest jakieś dziecięce.

— W dobrym sensie. Pozwoliłeś sobie patrzeć bez podejrzenia, że za każdym obrazem musi kryć się trauma.

— I to zadziałało?

— Napisałeś pierwszy niemal całkowicie beztroski wiersz. Więc przynajmniej na chwilę — tak.

Milczał.

— Co jest ważniejsze: zanurzać się w batyskafie czy uciekać w góry?

— Nie wiem. Czasem trzeba zobaczyć ciemność. Czasem przypomnieć sobie światło.

— A jeśli się pomylić?

— Wtedy można w nieskończoność grzebać w sobie, gdy pora po prostu wyjść na zewnątrz. Albo w nieskończoność podziwiać krajobraz, gdy w środku od dawna potrzebna jest pomoc.

— Jak zrozumieć, co jest teraz potrzebne?

— Uczyć się słuchać.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Bardzo konkretna rada.

— Innej na razie nie mam.

Oboje jeszcze raz przeczytaliśmy ostatnią strofę.

— Wychodzi na to, że do dziś korzystasz z tych kluczy?

— Tak.

— I co teraz otworzysz?

Zamknąłem oczy. Morze Bałtyckie stopniowo zniknęło. W jego miejscu pojawiła się górska dolina. Nad nią biegły obłoczne ogiery. Starcy-mędrcy milczeli, odliczając lata.

— Tę skrytkę.

— Żeby się schować?

— Nie. Żeby trochę pobyć w domu.

ROZDZIAŁ 13

Proszę, uspokój się

Uświadomić sobie potrzebę zmiany i zmienić się — to procesy, które czasem dzieli od siebie wiele lat.

Czasem wydaje się, że wystarczy zobaczyć swój problem i następnym razem po prostu postąpić inaczej. Ale człowiek nie przebudowuje się po jednym zrozumieniu, zwłaszcza gdy składa się z ogromnej liczby reakcji, które latami pomagały mu przetrwać — choćby krzywo, choćby zadając ból. Psychoterapia też nie daje magicznej formuły: decyzję i tak trzeba podjąć samemu. **A między słowami „teraz rozumiem” a pierwszym naprawdę nowym czynem czasem leży kilka lat.**

Właśnie o tym dystansie jest ten wiersz. Widziałem już swoje zablokowania, rozumiałem, jakie reakcje prowadzą mnie w to samo miejsce — ale zupełnie nie rozumiałem, jak. Dlatego pierwsze słowa brzmią nie jak rozkaz, lecz jak prośba: „proszę, uspokój się”. Zwracam się do serca, które stuka o żebra w ciemności i niewoli — nie żądając, żeby ucichło ostatecznie, lecz pragnąc, żeby zaczęło chcieć świtów, a nie tylko krzyczeć z bólu.

Byłem wtedy pod wrażeniem książek Joego Dispenzy — myśli, że trzeba przestać bez końca odtwarzać dawnego siebie. Brzmi jasno, ale jak to zrobić nie w książce, lecz w żywej psychice? Dlatego swobodne spadanie w wierszu kończy się nie lotem, lecz uderzeniem o akceptację — a zaakceptować nie

znaczy pięknie wszystko wytłumaczyć i natychmiast się uspokoić. **Czasem akceptacja odczuwana jest dokładnie jak zderzenie z ziemią,** a po niej może przyjść apatia — bo rozstanie z dawnym sobą nie jest proste.

Wola i Wolność w tekście to siostry-bliźniaczki, które pukają w okna, mając nadzieję, że zauważy je Nadzieja. Nadzieję często oskarża się o to, że rozleniwia zamiast skłaniać do działania, ale w najzimniejszych okresach pozostawała jedynym okryciem. Choć samej nadziei jest mało — łatwo schować się za obrazem dobrego człowieka, małego Jezuska, który wszystkim wybacza i nigdy się nie złości. Ale jeśli Bóg naprawdę potrafi wejść do wnętrza ludzkiej świątyni, zewnętrzna czystość go nie oszuka: zobaczy kłamstwo, stłumioną wściekłość, potrzebę bycia dobrym, żeby zasłużyć na miłość. **Pomóc może tylko czyn — nie bezustanne obciążanie się zadaniami, lecz praca ramię w ramię z ludźmi, przy świetle dnia.**

W finale pojawia się Człowieczeństwo — nie w humanistycznym sensie dobroci, lecz jako prawdziwa, sprzeczna natura człowieka. Wypuścić je z klatki znaczy pozwolić sobie być żywym, a nie tylko dobrym: złościć się we właściwym momencie, mylić się, zauważać to. Bardziej grzeszny jest być może nie ten, kto raz stracił panowanie nad sobą, lecz ten, kto ani razu nie pozwolił własnej żywej naturze wyjść na zewnątrz.

— — —

Proszę, uspokój się

Proszę cię, uspokój się i nie stukaj już dłużej
o tę klatkę żebrową, w ciemności, w niewoli.
Zacznij pragnąć sennych, wczesnych świtów
i spotkań, jeśli nie ostatnich — to choć najdalszych.

Zachodów słońca — gdy słońce kładzie się spać w polu…
Stukaj, krzycz, ale już teraz bez dręczącego bólu…
I bez nocnych histerii, głośnych, z niecenzuralnym tekstem.
Po co potem leczyć to wszystko pijanym seksem?

Do zeszytu ciskać ogryzione kości słów.
Nie trzeba światła, powietrza, ani tamtych zapomnianych snów…
Swobodnego spadania aż do soczystego uderzenia o akceptację.
Potem apatia… z krzyża od tylu lat nijak jej nie zdjąć…

Siostry-bliźniaczki Wola i Wolność,
biedactwa, proszą się, stukają rok za rokiem…
Majaczą w oknach — żeby zauważyła je Nadzieja.
Ona jedna, w srogie mrozy, jedynym ubraniem

ratuje ciebie, ślepego i zmarzniętego nieuka,
dziś, jak nie raz ratowała wcześniej,
nie przed kimś — lecz przed strasznym tobą samym.
Nikogo nie będzie jej droższego.

Wszystko będzie — i długo wyczekiwana radość triumfu.
Tylko po co komu niepotrzebna brawura?
Fałszywe udawanie dobroczyńcy.
Nakłamać sobie stertę, nie zaczerwieniwszy się ani trochę,

rozrzucając perły przed różowym, puszystym ryjkiem,
i wpychając się gdzie popadnie, korzystając z mydełka.
Choćby nawet zagranicznego, choćby nawet ładnie pachnącego —
wchodząc do twojego domu, Pan Bóg mimowolnie sapnie

i szybko-prędko umknie do siebie.
Zapłacze krwią Matka na ikonostasie.
I nie odkupisz się łzami ani błaganiem — tylko czynem,
trudem, ramię w ramię z ludźmi, przy białym świetle,

dopóki się pewnego dnia nie obudzisz
zdolny dostrzec Jedność w każdym.
Umieć oddzielić kotlety od roju much,
zdolny poczuć wolnego, wiecznego ducha

i opiewać go w trudne dni powszednie,
nie lękając się nadejścia wszelkich sądnych wydarzeń.
I bardziej grzeszny będzie ten, kto ani razu w Wieczność
nie wypuścił z klatki Człowieczeństwa…

— — —

— Kogo prosisz, żeby się uspokoił? — zapytałem.

Przyłożył dłoń do piersi.

— Serce. Chcę, żeby przestało boleć, a nie stukać.

— A czy da się zostawić stukanie i usunąć ból?

— Miałem taką nadzieję. Nie wiem, czy się udało — ty mi powiedz.

Położyłem rękę na własnej piersi.

— Wciąż czasem bije o żebra. Ale teraz częściej rozumiem, o czym stuka — nie zawsze tym samym „trzeba wytrzymać”, ale różnie: „boję się”, „boli mnie”, „nie chcę tu być”.

Spuścił wzrok.

— Przecież całe życie wytrzymywałem i nazywałem to siłą.

— Cierpliwość przestaje być cnotą, gdy służy zdradzie samego siebie. Chciałeś wejść w nowy dzień kimś nowym.

— Wszedłem?

— Tym samym człowiekiem. Ale już takim, który zauważył, że powtarza dawne. Na nowy dzień to wystarczy. Na nowe życie — nie.

— To ile trzeba?

— Nie wiem. Rok. Cztery. Czasem całe życie.

Wypuścił powietrze z irytacją.

— Jaki więc sens ma świadomość?

— Taki, że wcześniej reakcja po prostu się działa, a ty uważałeś ją za siebie. Teraz pojawia się kilka sekund między impulsem a czynem. Czasem właśnie w nich znajduje się wolność.

Spojrzał na wersy o siostrach-bliźniaczkach.

— One po prostu stoją w oknie?

— Dopóki nie nauczysz się otwierać. Nadzieja nie otworzy — ona tylko pomaga nie odejść od okna zbyt wcześnie.

— Czyli mimo wszystko potrzebny jest czyn?

— Tak. Nie taki, w który uciekasz, żeby niczego nie czuć, lecz zdolność powiedzenia „nie", gdy z przyzwyczajenia chce się zgodzić. Zostać przy uczuciu i nie zalać go alkoholem, seksem, kolejnym zadaniem.

Skrzywił się.

— Brzmi nudno.

— Prawdziwe zmiany w ogóle nie wyglądają zbyt filmowo. Za to swobodne spadanie i uderzenie o akceptację są filmowe. Potem apatia, bo myślałeś, że po akceptacji od razu zacznie się nowe życie. A czasem po niej po prostu kończy się stare i przez jakiś czas nie ma niczego.

Cicho powtórzył: „z krzyża od tylu lat nijak jej nie zdjąć".

— Ciągnąłeś tę apatię jako dowód swojego bólu. Warto przyznać, że istnieje, i spróbować zrozumieć, co jest pod nią — czasem złość, czasem zmęczenie tym, że zbyt długo żyłeś nie swoim życiem.

— A czasem po prostu lenistwo?

— I to też. Nie wszystko musi być głęboką traumą — uśmiechnąłem się, a on nieoczekiwanie się roześmiał.

— Nareszcie. Bałem się, że każdą moją głupotę wytłumaczysz dzieciństwem.

Ponownie przeczytał środek wiersza.

— Czemu tak się złoszczę na dobroczyńcę?

— Bo rozpoznajesz go w sobie. Naprawdę pomagałeś ludziom — ale czasem pomagałeś, żeby nie pokazać prawdziwego siebie, żeby uchodzić za dobrego.

— To co, trzeba było wszystkim mówić, że są draniami?

— Niekoniecznie wszystkim i niekoniecznie tymi słowami. Ale przynajmniej sobie samemu nie kłamać — wybierać, co zrobić z prawdą, zamiast wydawać wewnętrzne „nie” za szczere „tak”.

Zamyślił się.

— Czyli dobroć też jest klatką?

— Jeśli boisz się bez niej zostać bez miłości — tak.

— A czym wtedy jest człowieczeństwo?

— Tym, co zostaje, kiedy nie musisz już wyglądać na świętego. Złość, zazdrość, strach — to czyni cię człowiekiem, nie gorszym. Gorszym albo lepszym nie czynią cię same uczucia, lecz to, jak sobie z nimi radzisz.

Ponownie przeczytał zakończenie.

— Myślałem, że człowieczeństwo to bycie dobrym.

— A teraz?

— Bycie prawdziwym?

— Bliżej. Choć to, co prawdziwe, też nie zawsze trzeba od razu wywalać na otoczenie.

— Znowu wszystko komplikujesz.

— Bo chciałeś jedną formułą zastąpić żywą pracę. Formuły nie ma. Psychoterapia tylko pomaga zobaczyć, gdzie dokładnie za każdym razem zaczynasz żyć automatycznie — a czyn i tak jest twój.

Długo milczał.

— Przecież już wszystko rozumiem. Czemu więc wciąż się nie zmieniłem?

— Bo zrozumienie to mapa. A zmiana to droga przebyta na piechotę. Czasem jeden krok. Czasem lata.

Spojrzał na motto.

— Ty to teraz zrozumiałeś, czy razem?

— Razem. Ty wtedy poczułeś dystans. Ja teraz zdołałem go nazwać — choć za dziesięć lat nazwę inaczej. Ostateczne odpowiedzi przerażają mnie teraz bardziej niż ich brak.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

— A serce się uspokoiło?

Nasłuchiwałem. Wciąż stukało — niezupełnie równo, niezupełnie spokojnie. Ale już nie wyglądało na więźnia bijącego się o ściany.

— Nie. Ale zaczęło pragnąć świtu. Sennego. I spotkań — nie ostatnich, tylko najdalszych.

Kiwnął głową.

— Właśnie.

ROZDZIAŁ 14

Grudzień

Czasem człowiekowi nie jest potrzebna nowa mądrość. Trzeba włączyć ogrzewanie, coś zjeść, położyć się nie na zimnej podłodze, lecz w łóżku. Ale tamtego wieczoru jeszcze tego nie rozumiałem.

To było trzydziestego grudnia. Właśnie wróciłem do mieszkania po tamtym dziwnym roku, o którym napisałem w „Batyskafie”. Niemal wszystko już zniknęło — pokoje stały gołe, z zimną podłogą i długimi francuskimi oknami, które zimą słabo trzymały ciepło. Ogrzewanie włączałem rzadko — pieniędzy prawie nie zostało. Ale tamtego dnia posunąłem się jeszcze dalej: wziąłem zimny prysznic i położyłem się niemal nagi na podłodze.

Teraz rozumiem: **chciałem siebie ukarać** — za zniszczony związek, za tamten rok, za własne ciało, do którego sam siebie doprowadziłem. Jakby człowiek, który tak rozporządził swoim życiem, nie miał prawa po prostu włączyć ogrzewania i owinąć się kołdrą.

W pokoju paliła się świeca — jedyna rzecz, która wtedy się paliła, wewnątrz ognia prawie już nie zostało. Siedziałem i próbowałem znaleźć formułę zdolną wytłumaczyć wszystko, co się wydarzyło. Można było rozważać, że wszystko wielkie mieści się w małym, czuć się mędrcem pośrodku pustego mieszkania. Ale serce od tej mądrości nie robiło się cieplejsze. Rozum mógł zrozumieć wiele. Ciało wciąż marzło. **Po raz pierwszy powinienem był zejść z**

poziomu duchowego na najprostszy: najpierw się ogrzać, najeść, napić. Bardzo łatwo romantyzujemy cierpienie — zimne mieszkanie zamienia się w celę klasztorną, samoukaranie w oczyszczenie. Choć może wystarczyło po prostu założyć skarpetki.

To właśnie zimna podłoga za każdym razem przywracała mnie do rzeczywistości — nie wielka myśl, nie Bóg, lecz podłoga. Wśród nielicznych rzeczy w mieszkaniu pojawił się czajnik pokazujący temperaturę wody — dziwny zakup dla człowieka niemal bez pieniędzy, ale wydaje się, że była to jedna z pierwszych rzeczy kupionych nie z przyzwyczajenia, lecz dla nowego siebie. Pośród pustych pokoi pojawił się pierwszy przedmiot troski.

Latarnie za oknem jakby mówiły: „tobie by nie kawy, lecz łyku miłości". Wtedy chciałem miłości innej osoby — Mariny. Ale po latach ten wers brzmi inaczej: **naprawdę potrzebowałem miłości, w tym tej najbardziej elementarnej — do samego siebie.**

Zakończenie wygląda niemal jak pocztówka — „szczęśliwy ten, kto żyje życiem w chwili". Ale ta chwila nie była radosna: bolało mnie, było mi zimno, byłem samotny. A jednak właśnie wtedy pojawiło się coś przypominającego pierwszy przebłysk szczęścia — proste odczucie, że wciąż żyję i nie uciekam od tego wieczoru. Żyć chwilą nie znaczy się nią cieszyć. Czasem znaczy to po raz pierwszy przestać uciekać od bólu.

— — —

Grudzień

Grudzień cicho legł ciężarem na ramiona,
strząsnąwszy z nieba błyszczący pyłek.
Coraz częściej wieczorem zapalam świece,
siedzę, długo myśląc, niczym mędrzec.

„Nie jesteś sam, jest nas wielu” — szeptała cisza,
a płomyk przytakiwał, topiąc wosk.
Tą mądrością, że wszystko wielkie mieści się w małym,
ogrzać by serce, nie tylko umysł.

Przejrzysta tarcza broniła przed atakami wiatru,
nie wpuszczając do domu niewidzialnego wroga.
A śnieg z deszczem wrzynał się w głąb ziemi,
jak błoto rozbija podeszwa buta.

Zimna podłoga przywróciła mnie do rzeczywistości.
Światło cienką strużką sączyło się w ciemność.
Jak tu znaleźć choć odrobinę pragnienia?
O świecie, jak odzyskać tamtą dawną radość?

Trzask bąbelków wody w naczyniu z dzióbkiem
przyciągnął uwagę, natrętny gwizdek.
A latarnie w oknie patrzyły spode łba:
„Tobie by nie kawy, lecz łyku miłości!”

Szczęśliwy ten, kto żyje życiem w chwili
i nikogo nie chce przekonywać.
Bezcenna jest każda klatka filmu.
Marz, twórz, nie warto wiecznie czekać.

— — —

— Naprawdę czułeś się mędrcem? — zapytałem.

— Nie — uśmiechnął się kpiąco. — Ale dużo myślałem.

— Czasem człowiek myśli, żeby coś zrozumieć. A czasem — żeby nic nie czuć. Było ci zimno, a zamiast włączyć ogrzewanie, rozważałeś, że wszystko wielkie mieści się w małym.

— Nie było pieniędzy.

— Wiem. Ale zimny prysznic wziąłeś sam. Na podłodze też sam się położyłeś. Chciałeś poczuć chwilę — czy ukarać siebie?

Nie odpowiedział od razu. W pokoju jakby znowu zrobiło się zimniej.

— Za wszystko — powiedział w końcu.

— Tak się nie da. Nie można być winnym za wszystko naraz.

— Ale wszystko zniszczyłem, mogłem postąpić inaczej.

— Mogłeś. Tylko że odpowiedzialność i kara to nie to samo. Musiałeś się ogrzać.

— I to by wszystko naprawiło?

— Nie. Ale pozwoliłoby zajmować się życiem nie ze stanu człowieka, który celowo doprowadza się do wyczerpania. „Ogrzać by serce, nie tylko umysł” — sam to napisałeś w przenośni. A ciało zrozumiało dosłownie.

Milczał chwilę.

— Czyli znowu wszystko skomplikowałem — szukałem duchowej odpowiedzi tam, gdzie najpierw potrzebna była zwykła troska?

— Właśnie. Czasem talerz gorącej zupy jest bardziej wzniosły niż kolejna książka o oświeceniu.

Roześmiał się, potem spojrzał na czajnik.

— Czemu zrobiłeś z niego symbol?

— Bo pośród niemal pustego mieszkania była to rzecz, którą wybrałeś z troską o siebie. Jakaś twoja część już wiedziała, że życie się nie skończyło. Chęć wybrania dobrego czajnika czasem znaczy więcej niż głośna obietnica zaczęcia wszystkiego od nowa — obietnica dotyczy wyobrażonej przyszłości, a czajnik już stoi w kuchni.

— Czyn — kiwnął głową.

— Mały. Ale prawdziwy.

Ponownie przeczytał wers o miłości.

— To było o Marinie?

— Myślę, że tak. Choć teraz powiedziałbym — i o miłości do siebie. Wtedy wciąż czekałeś, że ogrzać cię powinien ktoś inny. Jeśli całe ciepło jest tylko u niego, jego odejście zamienia twoje życie w nieogrzewane mieszkanie.

— Czyli trzeba nikogo nie potrzebować?

— Nie. Nauczyć się nie zamieniać drugiej osoby w jedyne źródło ciepła.

Znów spojrzał na zimną podłogę.

— Przecież naprawdę byłem szczęśliwy w tamtej chwili. Jak można być szczęśliwym, kiedy jest tak źle?

— Bo szczęście i ból nie zawsze się wykluczają. Sam powiedziałeś: po raz pierwszy zacząłeś cieszyć się tym, że żyjesz i naprawdę przeżywasz swoje odczucia.

Zamknął oczy.

— Pamiętam. Świeca, latarnie, woda się gotuje, śnieg z deszczem. I zimno.

— Położyłbyś się znowu na tej podłodze?

— Nie wiem. A ty?

— Nie. Teraz rozumiem: być obecnym we własnym bólu nie znaczy celowo go wzmacniać.

— Ale czy bez tego wieczoru powstałby „Batyskaf”?

— Nie wiem. Coraz mniej wierzę, że cierpienie trzeba usprawiedliwiać późniejszymi dziełami. Wiersz jest dobry. To nie sprawia, że zimno było konieczne.

— Czyli wszystko było na darmo?

— Nie. Ale i niepotrzebne. Nie wszystko, co się przeżyło, musi być konieczne, żeby stać się częścią ciebie.

— Co więc z tym zrobić?

— Nie budować świątyni. I uczyć się — choćby tego, że ciała nie można używać jako miejsca wykonania wyroku.

Znów położył dłoń na podłodze.

— Wytrzymała. Więc jest silna.

— Nie dlatego. Ciało często wytrzymuje to, czego nigdy nie powinno było wytrzymywać. Jego wytrzymałość nie daje nam prawa do przedłużania próby.

Cofnął rękę.

— Teraz o nie dbasz?

Przed oczami pojawiły się basen, poranne biegi, góry, obolałe po Rinjani plecy.

— Uczę się. Znowu kierunek, nie meta.

Westchnął.

— Ty w ogóle kiedyś gdzieś dochodzisz?

— Czasem. A potem okazuje się, że to był kolejny punkt startu. „Marz, twórz, nie warto wiecznie czekać” — ty już wtedy to wiedziałeś.

— To czemu wciąż czekałem?

— Bo wiedzieć i zrobić to procesy, które czasem dzieli od siebie wiele lat.

Jeszcze raz spojrzał na pokój.

— Co byś zrobił, znalazłszy się tam teraz?

Wyobraziłem sobie zimną podłogę, świecę, gołe ściany.

— Najpierw włączyłbym ogrzewanie. Choćby na chwilę. Potem zaparzyłbym herbatę w odpowiedniej temperaturze.

— I co byś mi powiedział?

— Nic mądrego. Owinąłbym się razem z tobą kocem i poczekał, aż się ogrzejesz. A potem można

porozmawiać.

Przez chwilę milczał.

— Czyli miłość jednak przyszła? Marina?

— I ona. I ten człowiek, którego wtedy zostawiłeś marznącego na podłodze, pewnego dnia po ciebie wrócił.

Spojrzał na mnie.

— Ty?

— Ja.

— Długo szedłeś.

— Za to przyniosłem herbatę.

Uśmiechnął się.

— To siadaj. Woda właśnie się zagotowała.

ROZDZIAŁ 15

Więzienie

Nie wszystkie wiersze rodzą się z nowego wydarzenia. Życie wydawało się nawet zaczynać układać: związek odbudowany, pojawiła się nowa praca — w końcu zdecydowałem się odejść z poprzedniej, gdzie dawne sposoby zachowania nie pozwalały mi budować normalnych relacji z ludźmi.

W tamtym czasie brałem udział w kursie związanym z medytacją i pracą wewnętrzną i zacząłem wyczuwać w sobie odrębne instancje — zauważać, że strach, złość, niepokój żyją według własnych zasad i przejmują sterowanie tak, że wieczorem rozumiesz: prawie cię w tym dniu nie było.

Napisałem „Więzienie” nie z powodu kolejnego wstrząsu, lecz dlatego, że dawna myśl w końcu dostała dokładniejsze imię. Świadomość rzadko przychodzi jednym olśnieniem — **ta sama myśl wraca latami, za każdym razem z innego poziomu.** Najpierw rozumiesz: „boję się”. Potem: „strach przeszkadza mi żyć”. Jeszcze później: „sam podtrzymuję system, w którym on mną rządzi”. I pewnego dnia pytasz: a kto tu właściwie jest więźniem?

W wierszu wyobrażam sobie, że zbudowałem więzienie dla niepokojów i lęków — wszystko niebezpieczne zamknięte, ja na zewnątrz, one w środku. Ale odpowiedź przyszła dopiero po latach: **to nie one były moimi więźniami. Ja byłem ich**

więźniem. Wydawało mi się, że zbudowałem więzienie, a tak naprawdę żyłem w jego wnętrzu, pełniąc obowiązki strażnika — tłumiłem, wstydziłem się, a potem nie rozumiałem, czemu sam zamieniam się w dzikie zwierzę. Im mocniej człowiek zamyka własne uczucia, tym bardziej niespodziewanie kiedyś wychodzą na wolność.

Dlatego nie trzeba wzywać myśliwego, a topór wojenny lepiej zakopać — wojna z samym sobą rzadko kończy się zwycięstwem. Pisałem już w „Światach”: zauważ, przewodnik, nie konwojent. Nie trzeba całe życie sprawdzać, czy lęki są dobrze zamknięte — czasem rozsądniej otworzyć drzwi, nie po to, żeby uczucia przejęły wszystko, lecz żeby przestać marnować życie na ich pilnowanie. Ostatnia strofa opiera się na tautologii: „przestań trzymać lęki w strachu” — boimy się nie tylko wydarzeń, ale i samego pojawienia się strachu, niepokoimy się, że zaczniemy się niepokoić.

A jednak na końcu nazywam je mirażami — dziś podszedłbym do tego ostrożniej. Lęki nie zawsze są wymyślone: czasem niebezpieczeństwo jest realne, gniew broni granicy. Ale system zbudowany wokół nich może być mirażem — przekonanie, że jeden błąd zniszczy całe życie. Główna zmiana tamtego okresu nie leżała w samym wierszu: po raz pierwszy do kontynuowania pracy wewnętrznej nie zmuszał mnie kolejny upadek, lecz własny wybór. **Wcześniej do kopania zmuszał ból. Teraz zacząłem to robić dobrowolnie.**

— — —

Więzienie

Tak wielka była we mnie uraza,
że nawet nie od razu ją dostrzegłem.
Poprosiłem swojego wewnętrznego przewodnika,
żeby zaprowadził tam, gdzie rządzi bezprawie.

Zbudowałem więzienie — istny cud architektury.
Schowałem w nim wszystko jak najdalej od oczu.
Niepokoje, lęki, gniew i żale
uwięziłem w moim osobistym Alcatraz.

Ale czy to więźniowie? Odpowiedź niejasna…
Tam na noc czasem nie zamykają drzwi.
Wtedy cały następny dzień jest straszny,
i zamiast człowieka wychodzi dzikie zwierzę.

Nie trzeba wzywać myśliwego na pomoc,
lepiej zakopać topór wojenny.
Zabijanie siebie samym sobą nie jest nam obce.
A wyrok jest śmieszny — winny bez winy.

Więc traktuj łagodniej rolę konwojenta,
i przestań trzymać lęki w strachu.
Szepnij im do ucha: „Przyjaciele, idźcie w pokoju”.
Zrozumiesz później — to wszystko miraże.

— — —

— „Ale czy to więźniowie?” — przeczytałem.

— Nie wiem. Dlatego pytam — odpowiedział.

— Teraz wiem. Nie. Nie są więźniami. Ty jesteś więźniem. Zbudowałeś więzienie, żeby zamknąć wszystko, czego się w sobie bałeś, a potem zostałeś, żeby pilnować.

— Ale mogę odejść.

— Możesz. Tylko boisz się, że drzwi zostaną otwarte.

Spojrzał na wyimaginowane cele.

— A jeśli wyjdą?

— I tak wychodzą codziennie — po prostu nazywasz to swoim charakterem. Złościsz się na kogoś i myślisz, że zasłużył sobie dokładnie na taką reakcję. Boisz się odrzucenia i nazywasz to ostrożnością.

— A jeśli naprawdę rozumiem ludzi?

— Czasem rozumiesz. Ale strach potrafi bardzo przekonująco mówić twoim głosem.

— To jak odróżnić?

— Nie reagować od razu. Czasem kilka sekund, czasem noc. A jeśli decyzję trzeba podjąć teraz — przyjdzie się pomylić. Żadna praca wewnętrzna nie daje gwarancji słusznej decyzji. Zwiększa szansę, że decyzję podejmiesz ty, a nie automatyczna reakcja.

Ponownie przeczytał: „tam na noc czasem nie zamykają drzwi”.

— Czyli lepiej zamykać?

— Nie. Lepiej przestać budować relacje z uczuciami jak z przestępcami. Jeśli je wypuścisz i po prostu się odwrócisz — będzie chaos. Ale między uwięzieniem a pełną niekontrolowanością jest rozmowa.

— Z niepokojem?

— Zapytać, czego się boi. Gniewu — czego broni. Żalu — co jeszcze da się naprawić, a z czym trzeba będzie żyć.

— Odpowiedzą?

— Niekoniecznie słowami. Czasem ciałem, chęcią odejścia. Słuchać nie znaczy być posłusznym. Decyzję i tak podejmujesz ty. Nie konwojent — przewodnik.

Uśmiechnął się.

— Znowu „Światy”. Czyli się powtarzam?

— Człowiek rzadko zmienia się po jednym udanym sformułowaniu. Wraca do niego, aż pewnego dnia zaczyna żyć choć trochę inaczej. Przecież już zacząłeś — zmieniłeś pracę, nie czekając na pełne wewnętrzne przyzwolenie.

— Po prostu znudziła mi się stara.

— Czasem to wystarczy. Nie każda zmiana zaczyna się od wielkiego olśnienia. Choć nowa praca nie uwolniła cię od dawnych reakcji — przyjechały razem z tobą.

Spojrzał na czwartą strofę.

— „Winny bez winy” — w czym wina?

— W tym, że jestem taki. Zły, urażony, przestraszony.

— A wina?

Nie odpowiedział.

— Otóż to — powiedziałem. — Uczucie nie jest przestępstwem. Czyny — tak, za nie warto odpowiadać. Ale osądzałeś siebie jeszcze przed

czynem, za sam fakt, że w środku pojawiło się coś brzydkiego. Jeśli wydaje się wyrok za każdą myśl, wewnętrzny sąd pracuje całą dobę, a nie ma komu żyć.

Zamilkł.

— Czyli po prostu je wypuścić — „przyjaciele, idźcie w pokoju”?

— Bardzo piękny wers. Ale niektóre lęki nie odejdą po jednym uprzejmym zwrocie. Czasem trzeba będzie żyć obok nich, bez więzienia. Uciążliwy towarzysz i strażnik to nie to samo.

Ponownie przeczytał ostatni wers.

— Wszystko to miraże.

— Nie wszystko. Miraż to przekonanie, że jeśli się przestraszysz, na pewno przegrasz. Że jeśli się rozzłościsz, staniesz się złym człowiekiem.

— Ale przecież mogło się naprawdę zawalić.

— Mogło. Strach często buduje miraż z realnej możliwości — nie wymyśla wydarzenia całkowicie, lecz zamienia prawdopodobieństwo w nieuchronność.

— I co robić? Sprawdzać jak tester?

Uśmiechnąłem się.

— Właśnie. Znaleźć scenariusz, oddzielić zachowanie oczekiwane od faktycznego.

Roześmiał się.

— Czyli nowa praca przydała się nie tylko dla pieniędzy.

Znów spojrzał na więzienie.

— A ty teraz jesteś wolny?

— Nie. Ale jestem człowiekiem, który czasem zauważa kraty, zanim zacznie uważać je za część krajobrazu. Czasem wychodzę. Potem wracam — znajome więzienie wydaje się bezpieczniejsze od nieznanej wolności.

— „Przestań trzymać lęki w strachu” — co to znaczy?

— Nie bój się tego, czego się boisz. Łatwo powiedzieć — dlatego musiałem napisać o tym jeszcze raz. I jeszcze.

— Ile można powtarzać to samo?

— Dopóki pewnego dnia nie zauważysz, że zamiast nowego wiersza postąpiłeś inaczej.

Przyjrzał mi się uważnie.

— To się już zdarzyło?

Przypomniałem sobie odejście ze starej pracy, psychoterapię, chwile, gdy mimo wszystko udało się powiedzieć „nie”.

— Czasami.

— Czyli więzienie jest otwarte?

— Zawsze było otwarte.

— To czemu wciąż tu jesteśmy?

Spojrzałem na drzwi. Rzeczywiście nie były zamknięte.

— Chyba czekaliśmy, aż ktoś pozwoli wyjść.

Wstał.

— Pozwalasz?

— Nie. Bo to znowu uczyniłoby mnie twoim konwojentem.

Nie zrozumiał od razu. Potem się uśmiechnął. Sam podszedł do drzwi. I wyszedł.

ROZDZIAŁ 16

Żyjemy wczoraj



Są wiersze, które rodzą się po jakimś silnym wydarzeniu. A są takie, które pojawiają się niemal niezauważalnie. Nic się nie zawala, nikt nie odchodzi, życie stopniowo się wyrównuje. Ale wewnątrz od czasu do czasu zaczynają się dziać dziwne przebłyski — nie z bólu, nie z rozpaczy, nie dlatego, że kolejny kryzys zmusił do zatrzymania się, lecz jakby z jakiegoś nowego miejsca w środku. Jakby po długiej wewnętrznej zimie po raz pierwszy pojawiały się krótkie chwile, gdy łatwiej się oddycha. Nie na zawsze, nie ostatecznie, ale wystarczająco, żeby zachciało się nie tylko rozgryzać życie, lecz po prostu je żyć.

Właśnie w jednej z takich chwil powstał wiersz „Żyjemy wczoraj”. Byliśmy wtedy jeszcze w Polsce. Opowiadałem już, że zmieniłem pracę — to była jedna z pierwszych poważnych decyzji podjętych nie na emocjach, lecz świadomie. Życie stopniowo się układało. Ale zmiany wewnętrzne nigdy nie zachodzą tak szybko jak zewnętrzne.

Pojawiła się praca, związek zaczął się odbudowywać. Jednak przyzwyczajone reakcje jeszcze długo pozostawały te same. Wciąż brałem udział w różnych kursach związanych z pracą wewnętrzną, uczyłem się dostrzegać własne reakcje, patrzeć na nie trochę spokojniej. Ale stopniowo zacząłem rozumieć jedno: można bez końca zajmować się sobą, rozkładać na czynniki każdą emocję, każdą myśl, każdą urazę, każdy niepokój — **i pewnego dnia odkryć, że przez cały ten czas tak starannie leczyłeś swoje życie, że zupełnie przestałeś je żyć.**

Chyba właśnie wtedy powstał ten wiersz. Wyszedł bardzo prosty. Teraz widzę to szczególnie wyraźnie: żadnych skomplikowanych obrazów, żadnych wielopiętrowych metafor, żadnych ukrytych znaczeń. Niemal hasła. „Zrób krok naprzód”. „Zacznij opowieść od nowa”. „Nie zamykaj koła”. „Żyj”. Wcześniej wydawało mi się, że jest nawet trochę uboższy od innych tekstów. Teraz myślę inaczej. Nie jest uboższy. Wykonywał zupełnie inną pracę.

Czasem po ciężkim tygodniu człowiek nie potrzebuje traktatu filozoficznego. Potrzebuje wyjść z

domu, pospacerować, przewietrzyć głowę, pozwolić sobie trochę poszaleć. Odreagować, jak wtedy powiedziałem. Właśnie takim chciałem uczynić ten wiersz — żeby niczego nie trzeba było rozszyfrowywać, żeby nie trzeba było pamiętać, do jakiej historii odnosi się dany obraz. Żeby przeczytać i od razu zrozumieć. Nie dlatego, że nie ma głębi. Lecz dlatego, że w tamtej chwili głębia nie była już potrzebna. Potrzebny był ruch.

Teraz szczególnie uderza mnie ostatnia strofa. Wtedy wydawała się zwykłym pokrzepieniem. Teraz widzę ją inaczej: „I pamiętaj — nie jesteś sam. Jest z tobą armia przyjaciół”. Przecież nie pisałem o ludziach, których wtedy już znałem. Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że pisałem o ludziach, których dopiero miałem spotkać. Już gdzieś istnieli na świecie. Po prostu jeszcze nie spotkali prawdziwego mnie. Chyba człowiek naprawdę staje się mniej samotny nie wtedy, gdy nagle pojawiają się obok przyjaciele. Lecz wtedy, gdy stopniowo przestaje chować się za wszystkim, co tak długo na sobie nosił.

— — —

Żyjemy wczoraj

Żyjemy wczoraj, lecz nie teraz,
w nadziei, że coś się zmieni.
Dopełniając sobą szarość mas,
wszystkich staramy się uczyć.

Zapomniawszy uraz przeszłości,
zrób krok naprzód, jak pierwszy raz.
Poczuj emocjonalny wybuch.
Zacznij swoją opowieść od nowa.

Opisz to, co jest wokół —
barwy natury, śpiew ptaków.
Nie zamykaj błędnego koła
wiecznie niezadowolonych twarzy.

Wręcz przeciwnie, przerwij je szybciej!
Napełnij czarę nowością.
Dostaniesz klucz do wszystkich drzwi —
nie warto bić głową o mur.

Wymyśl, jak przebić tę wyrwę,
zatopić okręt żółci.
Znalazłszy granicę świadomości,
zacząć żyć na całego.

Jak kołobok od dziadków,
idź naprzód i nie bądź nieśmiały.
I pamiętaj — nie jesteś sam.
Jest z tobą armia przyjaciół.

— — —

Spojrzałem na niego z uśmiechem.

— Wiesz... Ty przecież uważasz ten wiersz za zbyt prosty.

Wzruszył ramionami.

— A czy nie jest?

— W porównaniu z poprzednimi?

— Oczywiście. Żadnych labiryntów, żadnych batyskafów, żadnych wewnętrznych więzień. Po prostu jakieś wezwania.

— I to cię niepokoi?

— Trochę.

Kiwnąłem głową.

— A gdyby powiedzieć człowiekowi po długiej chorobie tylko jedno zdanie: „Wstawaj. Idziemy na spacer”. Ono też wyda się zbyt proste.

Zamyślił się.

— Ale przecież może okazać się najbardziej potrzebne.

— Właśnie.

Przez chwilę milczeliśmy. Potem znów spojrzał na wiersz.

— Czyli nie chodziło o głębię?

— Nie.

— A o co?

— O konieczność.

Uśmiechnął się.

— Zabawne. Wcześniej wydawało mi się, że im bardziej skomplikowany tekst, tym lepszy.

— Teraz też tak myślisz?

Pokręcił głową.

— Nie. Chyba forma powinna odpowiadać stanowi człowieka.

— Właśnie.

— Czyli jeśli człowiekowi teraz potrzebny jest jeden krok naprzód…

— Nie warto zmuszać go najpierw do rozwiązywania zagadki.

Cicho się roześmiał.

— A ja rzeczywiście chciałem, żeby wszystko było jasne od razu. Bez poszukiwań. Bez rozszyfrowywania.

— Bo sam byłeś zmęczony ciągłym rozszyfrowywaniem własnego życia.

Znów zamilkł. Potem nagle wskazał palcem ostatnią strofę.

— A to…

— Co dokładnie?

— „Armia przyjaciół”.

— A co z nią?

— Wtedy myślałem, że to po prostu piękne słowa.

Pokręciłem głową.

— Nie.

— Nie?

— Przecież nie pisałeś o znajomych.

Zmarszczył brwi.

— To o kim?

— O ludziach, których jeszcze nawet nie spotkałeś.

Długo milczał.

— Myślisz?

— Jestem pewny.

— Czemu?

— Bo wtedy dopiero stawałeś się sobą. A prawdziwe spotkania niemal zawsze zdarzają się później. Nie wtedy, gdy rozpaczliwie szukamy swoich ludzi. Lecz wtedy, gdy przestajemy być obcy samym sobie.

Znów spojrzał na ostatni wers.

— Czyli... oni już istnieli?

— Myślę, że tak.

— Po prostu jeszcze się nie spotkaliśmy.

— Właśnie.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Zabawne. Napisałem to jako wsparcie. A wyszła obietnica.

Uśmiechnąłem się.

— Niektóre obietnice stają się zrozumiałe dopiero po latach.

Jeszcze raz przeczytał wiersz.

— Wychodzi na to... że czasem naprawdę wystarczy po prostu zacząć żyć?

— Czasem to właśnie jest najtrudniejsze.

Kiwnął głową.

— To chyba dobrze, że ten wiersz jest taki prosty.

— Czemu?

— Bo człowiekowi, który w końcu odważył się wyjść z domu, nie jest potrzebna mapa labiryntu. **Wystarczy, że otworzy drzwi.**

ROZDZIAŁ 17

Tam, za obłokami

Czasem najważniejsze rzeczy dzieją się nie na jawie. Lecz we śnie.

Ten wiersz należy do okresu, gdy mieszkałem już sam, wróciwszy do swojego mieszkania. Stopniowo próbowałem poskładać życie z powrotem. Coś urządzałem, pracowałem, uczyłem się istnieć w nowej rzeczywistości. Z zewnątrz wszystko wyglądało dość spokojnie. Ale wewnątrz nic się jeszcze nie skończyło.

Ten wiersz narodził się z zupełnie rzeczywistego snu. Śniło mi się, że znowu jesteśmy razem. Nie z byłą żoną. Z moją żoną. We śnie nie istniało między nami ani rozstanie, ani ból. Chodziliśmy po chmurach, śmialiśmy się, wygłupialiśmy, spędzaliśmy czas gdzieś w mieście. Wszystko było tak naturalne, że ani przez sekundę nie pojawiało się poczucie, jakby coś tu było niemożliwe. To było zwykłe życie. Takie, które kiedyś uważałem za swoje.

A potem się obudziłem. Pierwsze sekundy po przebudzeniu były chyba najuczciwsze. Świadomość jeszcze nie zdążyła się przestawić — dla niej wciąż istniał tamten sen. Otworzyłem oczy. I zobaczyłem obok inną kobietę. Pamiętam, jak wtedy dosłownie oblał mnie zimny pot.

Właśnie w tamtej chwili po raz pierwszy bardzo wyraźnie zrozumiałem jedną rzecz. Nie chcę już siebie oszukiwać. Można ile chcieć przekonywać

siebie, że życie toczy się dalej, że trzeba iść naprzód, że nowy związek z pewnością wszystko naprawi. **Ale ciało już zna prawdę wcześniej niż głowa.**

Po tamtym poranku był dzień, gdy w drodze do pracy zrobiło mi się tak niedobrze, że musiałem zatrzymać samochód. Zwymiotowałem tuż przy poboczu.

Wtedy wydawało mi się, że mnie bardzo skrzywdzono. Po latach rozumiem inaczej. Ja też skrzywdziłem nie mniej. Chyba właśnie od tego momentu zniknęła chęć szukania jednego winnego. Czasem ludzie sprawiają sobie nawzajem jednakowo silny ból. Na różne sposoby. Ale jednakowo głęboko. I przyznanie tego okazało się o wiele trudniejsze niż zwykłe wybranie strony.

Teraz rozumiem, że ten wiersz w ogóle nie jest o miłości. Jest o tej krótkiej sekundzie po przebudzeniu, gdy sen okazał się uczciwszy niż jawa. Gdy wewnątrz wciąż istniało jedno życie, a oczy zobaczyły już zupełnie inne. I właśnie w tej sekundzie nie dało się już kontynuować własnego kłamstwa.

— — —

Tam, za obłokami

Spotkaliśmy się wewnątrz mnie.
Tak marzyłem, żeby cię zobaczyć.
Brakowało nam tego jednego dnia,
żebyśmy mogli się nie nienawidzić.

Mogliśmy chodzić po chmurach,
całować się bez przerwy,
dać wolną rękę naszym dłoniom,
rozkoszować się lotem namiętności.

Oczy w oczy: „Jestem cała twoja”.
„A ja cały twój” — szeptały usta.
To czemu więc czasami
bywamy dla siebie tacy szorstcy?

Zapomnijmy o wszystkim i znowu
odetchnijmy piersią z nową siłą.
Połączyła nas miłość —
ona też nam pobłogosławiła.

Ale co robić i jak być?
We mnie wszystko jest takie piękne!
Jak zamienić bajkę w życie
i pomalować ją jaskrawą barwą?

Widzenie jest jak jawa, ani mniej, ani więcej.
Jakbym stał u progu raju…
Ale sen się kończy — pora wstawać.
Otworzyłem oczy — a tam inna…

Masz szansę, żeby twoje życie
nie stało się rozczarowaniem.
Uwierz w marzenie i uwierz w siebie —
sowicie zwróci się trud.

O ludzie, nie łamcie tego,
co w niebie scalone nie przez was.

Zostawcie zło, wybaczcie wszystko —
spotkamy się wszyscy za obłokami.

— — —

Długo patrzyłem na ostatnią strofę.

— „Spotkaliśmy się wewnątrz mnie…”

Uśmiechnął się.

— Ładnie wyszło?

— Ładnie. Ale nie dlatego jest mocna.

— A dlaczego?

— Bo to nie metafora.

Zmarszczył brwi.

— To znaczy?

— Naprawdę spotkaliście się wewnątrz ciebie. We śnie. W świecie zewnętrznym to spotkanie już nie istniało.

Zamilkł.

— A rzeczywiście…

— Wtedy jeszcze tego nie rozumiałeś.

— Po prostu bardzo chciałem, żeby to wszystko okazało się prawdziwe.

— Dlatego właśnie pierwsze sekundy po przebudzeniu były tak straszne.

— Bo wciąż tam byłem.

— Tak.

— A potem zobaczyłem…

Nie dokończył.

— Inną kobietę.

Kiwnął głową.

— Oblał mnie wtedy zimny pot.

— Wierzę.

— Miałem wrażenie, jakby mnie gwałtownie wypchnięto z jednego świata do drugiego.

— I właśnie wtedy przestałeś siebie oszukiwać.

Spojrzał uważnie.

— Myślisz, że właśnie wtedy?

— Sam to przed chwilą opowiedziałeś.

Długo milczał.

— Przedtem wciąż próbowałem przekonać siebie, że można żyć, jakby nic się nie stało.

— A po tym śnie już nie potrafiłeś.

— Nie.

— Czemu?

— Bo we śnie byłem szczęśliwy. Naprawdę.

— A budząc się, zrozumiałeś, gdzie tak naprawdę jest twoje serce.

Ciężko westchnął.

— To bardzo bolało.

— Tak.

— Ale wiesz, co jest dziwne? Wtedy wydawało mi się, że skrzywdzono tylko mnie.

— A teraz?

Spojrzał gdzieś obok mnie.

— Teraz rozumiem… ja też skrzywdziłem nie mniej.

— To bardzo ważna myśl.

— Czemu?

— Bo w niej po raz pierwszy znika chęć znalezienia jednego winnego.

Kiwnął głową.

— Chyba… oboje zrobiliśmy sobie nawzajem bardzo dużo bólu.

Milczałem chwilę.

— Po tym zwymiotowałeś w samochodzie.

Zdziwił się.

— Zapamiętałeś?

— Oczywiście.

— Myślisz, że to powiązane?

— Wydaje mi się, że ciało znowu okazało się szybsze od głowy.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Znowu ciało.

— Już nie pierwszy raz. Lustro. Zimna podłoga. Teraz to. Organizm jakby za każdym razem mówił: „Dość kłamstwa”.

Zamyślił się.

— Wychodzi na to… że nie sen wszystko zmienił?

— Nie.

— A co?

— Sen zerwał ostatnią obronę.

Jeszcze raz przeczytał ostatnie wersy.

— „Ale sen się kończy — pora wstawać. Otworzyłem oczy — a tam inna…”

— Wiesz, co jest tu najstraszniejsze?

— Co?

— Napisałeś to niemal bez emocji.

— Bo wtedy nie zostało już sił.

— Właśnie dlatego ten wers tak działa.

Milcząc, zamknął stronę.

— Dziwne… myślałem, że napisałem wiersz o miłości.

Pokręciłem głową.

— Nie.

— To o czym?

— O chwili, gdy człowiek po raz pierwszy przestaje okłamywać samego siebie.

Długo siedział w milczeniu. Tym razem żadne z nas nie próbowało dokończyć myśli na głos.

ROZDZIAŁ 18

Czara

Czasem po długiej wewnętrznej rozmowie pojawia się chęć nie tego, żeby zrozumieć jeszcze coś, lecz żeby po prostu popatrzeć.

Ten wiersz narodził się nad Morzem Bałtyckim, dokąd pojechaliśmy z przyjaciółmi żony — tymi samymi, o których wspominałem już w rozdziale „Góry". „Góry" powstały jako sposób na znalezienie samotności wewnątrz siebie. A „Czara" została napisana, wydaje się, następnego dnia — tu już nie chciałem nigdzie odchodzić, ani w przeszłość, ani w mroczne jaskinie świadomości. Spróbowałem zostać dokładnie tam, gdzie byłem: patrzeć, zauważać, rozpuszczać się w tym, co się dzieje.

Kluczowym słowem stała się „obserwacja". Po prostu opisywałem to, co widziałem: chmury, piasek, blaski słońca na skórze — możliwość przestania być wiewiórką w kołowrotku i poczucia, że przez kilka godzin nikomu nic nie jestem winien. **Chyba to jeden z pierwszych wierszy, w którym nie próbuję niczego naprawiać. Po prostu jestem obecny.**

Wers „czasem nie trzeba myśleć głową" wydaje mi się teraz szczególnie ważny — myśl była moim głównym narzędziem, ale stopniowo zamieniła się w miejsce, gdzie można w nieskończoność chować się przed samym życiem. Tutaj po raz pierwszy pozwalam sobie nie tłumaczyć tego, co się dzieje: chmury nie muszą być symbolem, plamy słońca na skórze mogą

być po prostu plamami słońca. Czasem uważna obserwacja to już wystarczające działanie.

Wtedy dopiero próbowałem sobie wyobrazić życie, którym chciałbym żyć — morze, namioty, góry, więcej przestrzeni i mniej gonitwy. Wiersz stał się obrazem przyszłości. Teraz minęło kilka lat i siedzę na wyspie Gili Trawangan, czytam ten wiersz napisany nad Morzem Bałtyckim — i nagle okazuje się dziwna rzecz: **siedzę wewnątrz własnego wiersza. Nie w sensie przenośnym. Dosłownie.**

Ale nie sądzę, żeby w jakiś magiczny sposób przyciągnął to życie. Można dać człowiekowi lazurową wodę i wolny czas, a on i tak spędzi dzień w niepokoju albo w telefonie. Ważne okazało się nie dotarcie do morza, lecz rozwinięcie uwagi, która zauważy, jak chmury rozpływają się białą łuską. **Wiersz uczył nie tworzyć szczęścia z niczego. Uczył go nie przegapiać.**

— — —

Czara

Na błękitnym tle białą łuską
swawolnie rozpływały się chmury.
Piasek z pięści sączył się strumykiem.
W lot nie puszczała go tylko twoja dłoń.

A dzieci słońca skakały po skórze,
jakby na placu zabaw dzieciarnia.
Pieściły fale, jak pierzyna w łożu.
Zdawało się, że ten dzień nie ma końca ani kresu.

Uwolniwszy się od wskazówki sekundnika
i odłożywszy telefon na bok,
zamieniamy rolę wiewiórki w kołowrotku
na namiot — na pałac i tron.

Wdychając głęboko jod morskiej bryzy,
przejdę wzdłuż brzegu bosą stopą.
Wszystkie uczucia wystawiłem na bis.
Czasem nie trzeba myśleć głową.

Rozluźnię ciało i napełnię czarę,
lecz nie winem — energią niebios.
Miliardem barw życie rozkoloruję.
Niech Bóg pilnuje, żeby diabeł się nie wtrącił.

— — —

— Piękne — powiedziałem, przeczytawszy pierwszą strofę.

Spojrzał na mnie z lekką podejrzliwością.

— Po prostu piękne? Nic więcej nie dodasz?

— Tutaj prawie nic nie ukrywałeś. Po prostu patrzyłeś.

Uśmiechnął się, potem znów przeczytał: „na błękitnym tle białą łuską”.

— Mnie też się teraz podoba. Wtedy po prostu przyszła. A teraz czytam i widzę chmury.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Wiesz, gdzie teraz jestem? — zapytałem. — Nie nad Morzem Bałtyckim. Na Gili Trawangan, w Indonezji.

Wyspa, lazurowa woda, piasek pod stopami. Czekam na obiad.

Nie od razu zrozumiał, potem spojrzał na wiersz i znów na mnie.

— Poważnie czytasz to tam?

— Absolutnie. Wychodzi na to, że jednak tu dotarliśmy — nawet dalej, niż sobie wtedy wyobrażałeś. Zupełnie niedawno spaliśmy w namiotach na Rinjani, cztery dni w drodze.

— I odłożyłeś telefon?

— Czasami. Choć teraz rozmawiam z tobą przez telefon — uśmiechnąłem się kpiąco.

— Czyli nie wszystko się udało.

— Na szczęście. Inaczej trudno by nam było się teraz spotkać.

Zamyślił się.

— Wychodzi na to, że wtedy zwizualizowałem to życie i się spełniło?

— Nie sądzę, żeby wszystko wydarzyło się tylko dlatego, że dobrze wyobraziłeś sobie morze. Sam obraz to za mało — po nim były decyzje, praca, sprzedaż mieszkania, przeprowadzka, błędy. Kierunek to nie magia.

— A co więc jest tu najważniejsze?

— Nie to, że wyobraziłeś sobie morze. Że zacząłeś uczyć się je zauważać. To trudne — można siedzieć przed lazurową wodą i cały dzień czytać wiadomości, można przyjechać na wakacje i dalej przeżywać

tydzień pracy.

— A ja tak nie robię?

— Czasem tak. Ale teraz częściej zauważasz, kiedy przegapiasz to, co się dzieje. Wiersz zachował ważną komendę: czasem nie trzeba myśleć głową.

Roześmiał się.

— Nareszcie się przydała.

— Bardzo. Patrzeć, oddychać, czuć piasek, jeść obiad, kiedy go przyniosą. A sens można poszukać później.

Znów przeczytał tytuł.

— Czemu „Czara”?

— Sam napisałeś: „rozluźnię ciało i napełnię czarę”. Czara to ty.

— Bardzo oryginalne — uśmiechnął się. — Czym była napełniona wcześniej?

— Czymkolwiek — strachem, urazą, próbami wszystko zrozumieć. A tutaj — niebem, słońcem, morzem.

— Czy można wybrać, czym się napełniać?

— Nie całkowicie. Ale można wybierać, czemu poświęcać uwagę. Nie zaprzeczać bólowi, ale nie uważać go za jedyną rzeczywistość.

Spojrzał na wodę.

— Wychodzi na to, że szczęście też trzeba umieć zauważać? Myślałem, że jeśli przyjdzie, nie da się go przegapić.

— Jeszcze jak można. Czasem człowiek jest tak zajęty czekaniem na wielkie szczęście, że nie zauważa

całego dnia, który już był dobry. „Zdawało się, że ten dzień nie ma końca ani kresu” — a dzień się skończył.

— To jaki sens?

— W tym, że był.

Zamyślił się.

— A teraz te trzy tygodnie też wydają ci się jednym dniem? I ich nie przegapiasz?

Spojrzałem na telefon.

— Czasem przegapiam.

— Odłóż go.

— Wtedy rozmowa się skończy.

— Może na dziś wystarczy?

Rozejrzałem się. Woda błyszczała. Pod stołem leżał ciepły piasek. Gdzieś obok przygotowywano mój obiad.

— Możliwe.

Znów spojrzał na wiersz.

— Powiedziałeś, że dobrze napisane. Bez „ale”?

— Bez „ale”. Dziwnie to słyszeć od siebie po latach — wcześniej częściej szukałem, co poprawić. I teraz szukam. Ale tu chcę po prostu zostawić tak, jak jest.

Kiwnął głową.

— Czyli czarę jednak udało się napełnić?

— Na tę chwilę. Czasem chwila to jedyne naczynie, jakie w ogóle nam dano.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Znowu ładnie powiedziałeś.

— Wybacz.

— Nic nie szkodzi. Dziś można.

Odłożyłem telefon ekranem do dołu i po prostu patrzyłem, jak ta sama fala nabiega na piasek już, chyba, po raz dziesiąty.

ROZDZIAŁ 19

Rozmowa z bratem



Czasem wiersz nazywa się rozmową tylko dlatego, że biorą w nim udział dwie osoby. Ale dwie mówiące osoby to jeszcze niekoniecznie rozmówcy.

Pierwsze wersy tego tekstu napisał brat:

Witaj, bracie. Przecież widziałeś milczenie wieczności. Gdzie ani kroku wstecz. Gdzie naprzód i nikt nie idzie naprzeciw.

Odpowiedziałem czterowierszem. Potem znów przysłał swoją część — o pokoleniu, metalicznym posmaku żaru, natchnieniu i nieuniknionej lekkości finału. Resztę napisałem już ja. Pierwotnie były to osobne wiadomości — złożyłem je razem i nazwałem

wiersz „Rozmowa z bratem”, myśląc, że dzieje się między nami coś szczególnego, jakbyśmy oddychali tym samym powietrzem.

Dziś, czytając ten tekst ponownie, widzę go inaczej. **Mówimy o różnych rzeczach — na tyle, że nawet strofy słabo się ze sobą łączą.** Wtedy chciałem widzieć w tym połączenie dwóch głosów. Teraz słyszę dwa monologi postawione obok siebie — używają podobnych słów, ale znajdują się w różnych przestrzeniach znaczeniowych.

Dotyczyło to zwłaszcza wersu „przetopiliśmy cynę na ołów” — odwrócenia znanej piosenkowej linijki o złocie i cynie. U nas złoto już nie traci wartości, zamieniając się w tani metal. Bierzemy cynę i przetapiamy ją na ołów — zamieniamy miękkość w amunicję. Ciekawiło mnie, czy brat to zauważy, czy zapyta, dlaczego akurat ołów. Prawdziwa rozmowa o tym się nie odbyła. **Centrum wiersza nie leży w pokoleniach ani w wieczności. Leży w rozmowie, która nigdy się nie odbyła.**

Dziś od około pół roku nie rozmawiam z bratem. Przez trzydzieści pięć lat zmęczyłem się jego sposobem życia, wolnością, za którą często płacili inni. Kiedyś nazywałem go geniuszem wolności. Teraz rozumiem: wolność bez odpowiedzialności łatwo staje się formą przemocy wobec tych, którzy są obok. Przedostatnia strofa — „już się sobą nawzajem zmęczyliśmy, nerwowo czekamy na lodowate milczenie” — brzmi dziś niemal jak przepowiednia.

Ostatnia strofa gwałtownie zmienia kierunek: przestaję mówić o bracie i mówię o własnej duszy — chcę ją położyć na przyzbie, żeby odtajała. **Po całej próbie bycia usłyszanym po raz pierwszy pytam, czego potrzebuję ja sam.**

— — —

Rozmowa z bratem

Witaj, bracie.
Przecież widziałeś milczenie wieczności.
Gdzie ani kroku wstecz.
Gdzie naprzód i nikt nie idzie naprzeciw.

Gdzie zamazane twarze przechodniów,
rozpływając się we mgle zwątpienia,
znikają — czuję je skórą.
Pokolenie za pokoleniem.

Pokolenie, pokolenie…
Metaliczny posmak żaru.
Natchnienie, objawienia,
nieunikniona lekkość finału.

Wiesz, bracie, tam strumień nieskończoności
spływa na mądre głowy.
Dano nam zaznaczyć się w wieczności.
Przetopiliśmy cynę na ołów.

Co udowodnione — dziś bez sensu.
Co zbudowane — dziś zburzone.
Zdewaluowano wolnomyślność.

Granice ideałów naruszone.

Już się sobą nawzajem zmęczyliśmy.
Nerwowo czekamy na lodowate milczenie.
Wodospady słów się wylały
ze zmęczenia i nieuwagi.

Chciałbym swoją duszę na przyzbę
położyć, żeby na słońcu odtajała.
Strumyczkiem po polach, choć małym,
źródlaną roztopioną wodą.

— — —

— Ty napisałeś pierwszy wers? — zapytałem.

— Brat — pokręcił głową. — Odpowiedziałem kolejną strofą. Potem znów on. A dalej to już wszystko moje. Dobrze wyszło, prawda?

Nie odpowiedziałem od razu.

— Teraz nie jestem pewny, czy to rozmowa. Prawie sobie nie odpowiadacie — on pisze o wieczności, ty ciągniesz swoją myśl o ludziach i pokoleniach, ale nie jego myśl. Potem podchwytuje słowo „pokolenie”, ale nie jestem pewny, czy myśl.

— Ale brzmi to spójnie.

— Zwłaszcza jeśli z góry postanowić, że to dialog. Inaczej słychać dwóch ludzi mówiących obok siebie.

Zamilkł.

— Myślisz, że wtedy już się nie rozumieliśmy?

— Może rozumieliście się mniej, niż chciałeś wierzyć. Wspólne dzieciństwo, rodzina, wiersze, muzyka, ból — to wystarcza do więzi, ale nie zawsze do rozmowy. Potrzebne jest jeszcze zainteresowanie tym, co powiedział drugi. Nie chciałeś odpowiedzi wersem — chciałeś, żeby się zatrzymał i zapytał: „czemu ołów?”

Zamarł.

— Zapytał?

Odwrócił wzrok.

— Nie pamiętam.

— Myślę, że gdyby zapytał, zapamiętałbyś.

Znów spojrzał na wers o ołowiu.

— Przerobiłem piosenkę — tam było o złocie i cynie. Czemu u mnie wyszło ostrzej?

— Złoto w cynę — dewaluacja. Cyna w ołów — uzbrojenie.

Powtórzył powoli:

— Zrobiliśmy kule. Dla siebie nawzajem?

— Między innymi. Myślę, że wtedy już to czułeś, ale jeszcze nie potrafiłeś przyznać. Teraz widzę, ile lat próbowałem dotrzeć do człowieka, który niezbyt chciał słuchać.

— Jest zły?

— Nie o to chodzi. Od dawna żyliśmy w różnych przestrzeniach znaczeniowych. Dla niego wolność oznaczała możliwość robienia tego, na co ma ochotę. Dla ciebie z czasem coraz bardziej oznaczała możliwość wyboru bez niszczenia drugiego.

Zmarszczył brwi.

— Znowu go teraz osądzasz.

— Możliwe. Jestem zmęczony — nie nim, naszą relacją.

— Przestaniemy się kontaktować?

— Tak. Wiele lat po tym wierszu. Nie z powodu jednej kłótni — z powodu ogromnej liczby rozmów, po których coraz częściej czułem, że rozmowy w ogóle nie było.

— A ja? — zapytał ciszej.

— Będziesz dalej tłumaczyć, pomagać, czekać. Dopóki nie zauważysz, że tracisz życie na kontakt, który cały czas budujesz niemal sam.

Ponownie przeczytał: „już się sobą nawzajem zmęczyliśmy".

— Czyli wtedy już to rozumiałem?

— Jakaś twoja część na pewno. A „nerwowo czekamy na lodowate milczenie" to być może najtrafniejsza przepowiednia w całym tekście. Chcieliśmy przestać rozmawiać tak, jak rozmawialiśmy — gdy jeden mówi, drugi nie słyszy, a oboje nazywają to bliskością.

— A teraz milczenie jest lodowate?

— Z początku było. Teraz raczej spokojne.

— Brakuje ci go?

Długo nie odpowiadałem.

— Czasem brakuje mi nie jego dzisiejszego. Lecz człowieka, z którym, jak kiedyś myślałem, oddychaliśmy sobą nawzajem.

— A go nie było?

— Był. Po prostu może nie zupełnie takim, jakim go widziałem. Związek nie staje się wymyślony tylko dlatego, że czegoś w nim nie zauważaliśmy. Było tam coś prawdziwego. Po prostu nie wszystko, co do niego dodawałem, należało do niego.

Spojrzał na ostatnią strofę.

— Czemu tu jest przyzba?

— Chciałem ciepła. Po próbie rozmowy po raz pierwszy przestajesz pytać, czy on usłyszy, i zaczynasz myśleć, jak ogrzać siebie. „Chciałbym swoją duszę na przyzbę położyć” — to bardzo mocny zwrot.

— Bo się poddaję?

— Bo oddajesz duszę właścicielowi — sobie. Wcześniej cały czas leżała między wami, a ty czekałeś, aż on ją zobaczy, podniesie.

— A on nie podniósł?

— Może po prostu nie zauważył.

— To jeszcze bardziej boli.

Zamilkł, potem zapytał:

— Jesteś pewny, że dobrze zrobiłeś, przerywając kontakt?

— Nie. Ale brak pełnej pewności nie znaczy, że trzeba kontynuować coś, co niszczy.

— A jeśli on się zmieni? A ty?

— Może. Wtedy może jeszcze porozmawiacie. Ale teraz potrzebuję nie kolejnej wymiany słów, lecz

obecności rozmówcy.

Długo patrzył na tytuł.

— Czyli to nie jest „Rozmowa z bratem”?

— Niech zostanie — powiedział sam za mnie. — Wtedy wierzyłem, że rozmawiamy. To też prawda.

Znów spojrzał na ostatnią strofę.

— Dusza odtajała?

— Częściowo. Dzięki milczeniu też. Dziwne — całe życie bałem się, że samotność zaczyna się wtedy, gdy ludzie przestają rozmawiać.

— A okazało się?

— Czasem właśnie wtedy się kończy.

Wstał, podszedł do przyzby i położył obok siebie coś niewidzialnego.

— Co to?

— Dusza.

— I długo będziemy czekać?

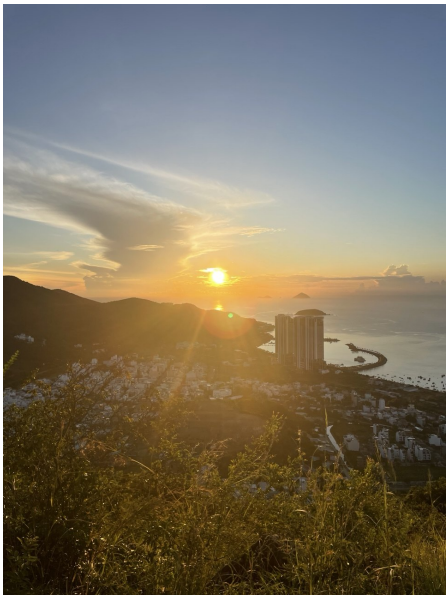
Podstawił twarz słońcu.

— Aż odtaje.

Słońce tamtego dnia było naprawdę ciepłe — rzadkość dla tego miasta o tej porze roku.

ROZDZIAŁ 20

Poznanie



[Uwaga tłumacza: rosyjski oryginał rozróżnia prawdę osobistą, subiektywną (prawda) od głębszej, absolutnej Prawdy (istina). Polski nie ma dwóch osobnych słów, więc rozróżnienie zaznaczono wielką i małą literą — podobnie jak w wersji angielskiej.]

Czasem zmiana przychodzi nie jak cios, nie jak decyzja na granicy wytrzymałości, lecz układa się stopniowo — z ciepłego kraju, urządzonego życia codziennego, nowej pracy, książek, muzyki, rozmów. Z mnóstwa drobiazgów, z których żaden sam w sobie niczego nie odwraca, ale pewnego dnia budzisz się i zauważasz: wewnątrz zrobiło się ciszej.

Ten wiersz pojawił się już w Wietnamie, w Nha Trang. Pierwsze trudności przeprowadzki były już za mną, życie nabrało kształtu. Wcześniej niemal wszystkie moje wiersze rodziły się z bólu — trzeba było zatamować krwawienie, coś rozgryźć, utrzymać się. Tutaj źródło okazało się inne: było mi dobrze, i **zapragnąłem pisać nie dlatego, że coś we mnie się rozdzierało, lecz dlatego, że radość też domagała się ujścia.**

Byłem wtedy pod dużym wpływem Marka Aureliusza — nie jedną formułą, lecz samym poczuciem skali. Człowiek to ziarnko piasku w ogromnym nurcie, nie kontroluje większości tego, co się dzieje. I okazało się to nieoczekiwanie nie upokorzeniem, lecz ulgą: nie trzeba dźwigać wszystkiego na własnych barkach, wystarczy być obecnym w tym odcinku życia, który się dostało.

Wiersz nazywa się „Poznanie” — nie z człowiekiem, nie z krajem, i nawet nie ze Wszechświatem w dosłownym sensie. **To było poznanie życia, które w końcu przestało być odbierane jako przygotowanie do czegoś prawdziwego.**

Jeden z najdroższych mi tu wersów to „zostaje mi minuta do starości. A poznaliśmy się dopiero dziś rano…”. Nie tyle o wieku, ile o nagłym poczuciu wartości: istniałeś tyle lat, pracowałeś, kochałeś, popełniałeś błędy — i dopiero teraz jakby po raz pierwszy zauważyłeś samo życie.

A wers „serce bije aż do gardła z radości” wciąż wydaje mi się ważny właśnie dlatego, że wcześniej to

odczucie przychodziło tylko z niepokoju. Ciało się ściskało, puls podnosił się do gardła — i zawsze oznaczało to niebezpieczeństwo. Tutaj po raz pierwszy przemówiło tym samym językiem, ale o szczęściu. Mechanizm się nie zmienił — zmieniła się przyczyna.

Dobrze pamiętam tamten poranek na górze w Nha Trang, gdy wschodziło słońce: wszystko jest cykliczne, to już działo się przede mną niezliczoną ilość razy i będzie się działo po mnie. Noc nie jest ostateczna, ale świtu też nie da się zatrzymać — można tylko być przy nim obecnym. Stąd pragnienie bycia prowadzonym przez Wszechświat — nie rezygnacja z woli, lecz zgoda na osłabienie nieustannej potrzeby kontrolowania wszystkiego: ja będę słuchał, ty wskazuj drogę, tylko nie okłamuj.

Prośba brzmi niemal dziecinnie: już zgadzam się być małą cząstką ogromnego świata, ale wciąż chcę gwarancji, że droga ma sens. Stąd wers „nie pozwól, żeby prawda zastąpiła Prawdę”. Prawd może być wiele — każdy ma swoją, i każdą można ładnie zapakować i sprzedać. Nie chciałem kolejnej wersji wydarzeń, lecz czegoś, co nie zależy od opakowania i mojego dzisiejszego nastroju. Wcześniej szukałem odpowiedzi, żeby przerwać ból. **Teraz zaciekawiło mnie życie nawet wewnątrz pytania** — i może właśnie to było głównym poznaniem.

— — —

Poznanie

Zbudzony cichym głosem —
niesłyszalnym śpiewem natury,
na wezwanie nieskończonego kosmosu
opuszczam swoje sny.

Zostawię tam wszystko, co niepotrzebne,
niech pomoże niezapomniane marzenie.
Dziś jestem nastawiony na to, co najlepsze.
Wszystko się wydarzy — Wszechświat jest ze mną…

Będę cię słuchał z zachwytem,
a ty wskazuj mi drogę.
Bycie przez ciebie prowadzonym jest we mnie
zakodowane —
więc prowadź mnie, tylko nie okłamuj!

Obdarz mnie żarliwą namiętnością,
daj mi niepokonaną siłę woli.
Nie pozwól, żeby prawda zastąpiła Prawdę,
nawet tę pięknie zapakowaną.

Serce bije aż do gardła z radości.
Słabe nerwy się uspokoiły.
Zostaje mi minuta do starości.
A poznaliśmy się dopiero dziś rano…

— — —

— Z kim się poznałeś? — zapytałem, przeczytawszy ponownie ostatnią strofę.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Ze Wszechświatem. A z kim innym bywa poznanie?

— Z życiem. Przecież żyłeś już wcześniej — po prostu często odbierałeś teraźniejszość jako korytarz do przyszłości: rozwiążesz problemy, ułożysz związek, przeprowadzisz się — i wtedy w końcu zacznie się życie.

— A tutaj się zaczęło?

— Tutaj po raz pierwszy zauważyłeś, że już trwa. Nie tylko z powodu Wietnamu samego w sobie — ale ciepło, morze, awans w pracy pomogły. Nie warto udawać, że urządzenie codzienności jest nieważne: kiedy masz gdzie mieszkać i czym za to płacić, wewnątrz otwiera się przestrzeń.

— A duchowość? Marek Aureliusz?

— Też pomógł. Ale żadna książka nie kładzie spokoju do głowy gotowego — spotyka się z tym, do czego już stopniowo się zbliżałeś.

Spojrzał na pierwszą strofę.

— Czyj to głos — „zbudzony cichym”?

— Może natury. Może twój. A kosmos to po prostu nazwa skali, która cię wtedy uspokajała: obok nieskończoności osobista katastrofa przestaje wydawać się całą rzeczywistością.

— Ale czy to nie umniejsza mojego bólu?

— Nie. Ziarnku piasku też może boleć. Po prostu nie musi już uważać, że przez jego ból pustynia się zatrzymała.

Uśmiechnął się mimowolnie.

— Podobało mi się myśleć, że jestem ziarnkiem piasku.

— Bo wcześniej zbyt długo próbowałeś być kimś, kto dźwiga cały świat.

— A kto go wtedy dźwiga?

— Może nikt. Przerażające i wyzwalające jednocześnie.

Ponownie przeczytał: „Dziś jestem nastawiony na to, co najlepsze”.

— Brzmi niemal jak afirmacja.

— Ale nią nie jest. Już zacząłeś żyć lepiej, zanim to napisałeś — wers cię nie przekonywał, podsumowywał.

— Tak — zgodził się. — Wewnątrz naprawdę było spokojnie. Nie po raz pierwszy w ogóle, ale jakby po raz pierwszy od dawna, bez podstępu.

— Nie czekałeś, że wszystko znowu się zawali?

— Chyba czekałem. Ale trochę mniej.

Przeszedł do trzeciej strofy — „więc prowadź mnie, tylko nie okłamuj”.

— Ufasz Wszechświatowi i od razu stawiasz warunek — zauważyłem. — Bardzo ludzki wers: gotów jesteś oddać kontrolę, tylko jeśli obiecają ci uczciwą drogę.

— A ona jest uczciwa?

— Nie. Życie niczego nie obiecuje. Dobrzy ludzie cierpią, wysiłek nie zawsze bywa nagradzany, marzenia nie muszą się spełniać.

Spojrzał na mnie z irytacją.

— To z czego się cieszę?

— Z tego, że życie nie musi być sprawiedliwe, żeby pozostać życiem. Wiem, brzmi to okropnie. Ale akceptacja zaczyna się tam, gdzie przestajesz żądać od świata podpisania umowy.

— Czyli Wszechświat mnie oszuka?

— Niczego ci nie obiecał. Po prostu człowiekowi czasem potrzebny jest rozmówca większy od niego samego.

Ponownie przeczytał kolejną strofę — o sile woli, namiętności i Prawdzie.

— Siłę woli i namiętność, powiedzmy, dostanę. A Prawdę?

Uśmiechnąłem się.

— Z nią jest trudniej. Człowiek często nazywa Prawdą tę prawdę, która jest mu akurat wygodna. Prawda może być dokładna w obrębie jednego spojrzenia — Prawda musi wytrzymać zmianę spojrzeń.

— Czy taka istnieje?

— Nie wiem. Ale może nie chodzi o to, żeby ją znaleźć, lecz o to, żeby nie zatrzymywać się na pierwszej ładnie zapakowanej wersji. Już wtedy niezbyt ufałeś pięknym wytłumaczeniom — choć sam je uwielbiałeś.

Doszedł do ostatniej strofy — „serce bije aż do gardła z radości”.

— Jeden z twoich ulubionych wersów — powiedziałem. — Wcześniej tak bywało tylko ze strachu. A tutaj — z radości: ciało przemówiło

znajomym językiem, ale przekazało inną wiadomość.

— Czyli się zmieniło?

— Raczej dowiedziało się, że silne wzruszenie nie zawsze oznacza niebezpieczeństwo. Przynajmniej tamtego poranka.

— A potem znowu niepokój?

— Oczywiście. Nowy zakręt nie unieważnia dawnych tematów — znowu spotkasz strach, ból, złość. Ale teraz będziesz znał jeszcze jeden stan: szczerą radość, która nie musiała najpierw przejść przez cierpienie, żeby zdobyć prawo do istnienia.

Milczał chwilę, potem cicho powiedział:

— Czyli wcześniej pisałem, żeby przetrwać. A tutaj — bo żyłem.

Przeniósł wzrok na ostatnie wersy.

— Boisz się starości? A śmierci?

— Oczywiście, że się boję. Ale nie ma tu rozpaczy właśnie dlatego, że jednak się poznaliśmy. Późno, ale się poznaliśmy. Może poznanie życia zawsze przychodzi późno — żeby je zobaczyć, trzeba najpierw zauważyć, jak długo patrzyło się obok.

Milczał.

— A ile teraz masz lat?

— Trzydzieści pięć.

Roześmiał się.

— Jaka tam starość?

— Ja też teraz tak myślę. Znaczy, przede mną jeszcze wiele — choć znowu żadnej gwarancji.

Spojrzał w stronę świtu.

— Ale słońce jutro znowu wzejdzie?

— Najprawdopodobniej. A jeśli nie — nie zdążymy się już zmartwić.

Roześmiał się, potem znów spoważniał.

— Wszystko jest cykliczne. Czyli będzie dalej?

— Będzie. Różnie. — Kiwnął głową, i tym razem odpowiedź go nie rozczarowała. — A ten spokój zostanie?

— Nie na stałe. Ale teraz znasz do niego drogę — przestać czekać na życie za rogiem.

— A gdzie ono jest?

— Tutaj. Właśnie teraz.

Wciągnął powietrze. Serce znów podskoczyło do gardła — szybko, ciepło, niemal nie do odróżnienia od tamtego dawnego niepokoju.

ROZDZIAŁ 21

Starość

Czasem człowiek najpierw zapisuje myśl, a dopiero po kilku latach dowiaduje się, do jakiej filozofii należy.

Ten wiersz powstał jeszcze w Polsce, gdy nie czytałem Marka Aureliusza i nie potrafiłem nazwać systemu, ku któremu wewnętrznie ciążyłem. Ale pytania już istniały: ile w ogóle nam dano? Czemu mówimy o starości tak, jakby musiała nadejść? Starość może po prostu nie nadejść — przyzwyczailiśmy się widzieć ją przed sobą jako gwarantowaną stację, a śmierć gdzieś po niej. Ale człowiek nie jest po prostu śmiertelny. Jest, jak przypomniał kiedyś Woland, **nagle śmiertelny.** Dlatego pierwszy wers pyta nie tyle o starość, ile o czas: ile słów nam jeszcze zostało i czy będą wśród nich takie, po których w oczach popłyną rzeki radości — czy też wydamy je na spory i wyrzuty, które dawno niczego już nie zmieniają?

W zbiorze przed tym wierszem stoi „Poznanie” — ale zostało napisane później, już w Wietnamie, po spotkaniu ze stoicyzmem. A ten, wcześniejszy, i tak zostawiłem po „Poznaniu”: najpierw człowiek poznaje życie, potem pyta, ile go zostało. Kolejność pojawiania się myśli i kolejność ich zrozumienia nie muszą się pokrywać.

Kiedy w Wietnamie po raz pierwszy naprawdę zetknąłem się ze stoicyzmem — jechałem do Dalatu, włączyłem audiobooka niemal przypadkiem — nie

było to przekonaniem się do czegoś obcego, lecz rozpoznaniem: „Czyli ktoś jeszcze też tak myśli?”. Stoicyzm nie włożył we mnie tych myśli. Dał im język. Wracając do tego wiersza, zobaczyłem, że już w Polsce, nie znając nazw szkół filozoficznych, krążyłem wokół tych samych pytań: jak długo przetrwa pamięć nawet o najwybitniejszych ludziach, co zostanie z moich dzisiejszych lęków za trzydzieści lat, za sto, za tysiąc. **Za mną — wieczność. Przede mną — wieczność. Moje życie między nimi jest niemal nieodróżnialne.**

Ta myśl raczej wyzwalała niż przerażała: skoro wszystko jest tak krótkie, po co strzec uraz, jakby miały wieczną wartość? Ale taka skala niesie też niebezpieczeństwo. Na przykład siedzimy z żoną w restauracji, ja odchodzę na kilka minut — dla mnie drobiazg, i wznosząc się nad sytuacją myślą o wieczności, łatwo go umniejszam. Ale dla niej sprawa może wcale nie dotyczyć minut: „Czy w ogóle wziąłeś pod uwagę, że jestem obok?”. Wieczność pomaga zobaczyć, ile w konflikcie jest naleciałości — ale wzniósłszy się dostatecznie wysoko, ważne jest wrócić z powrotem, do konkretnego człowieka. Inaczej filozoficzny spokój staje się tylko sposobem na emocjonalne oddalenie się. **Dojrzałość nie polega na wyborze jednej skali, lecz na zdolności utrzymania obu naraz.**

Wers o odrodzeniu i ogrodzeniach nie jest o mistyce. Budujesz system, uważasz, że zrozumiałeś ludzi, dobro, winę, wolność — a potem system zderza się z życiem i pęka, i wtedy albo odbudowujesz dawną

konstrukcję, albo pozwalasz sobie spojrzeć inaczej. Feniks sam siebie spala — obraz, w którym zawsze było coś podejrzanego: nie każdy wewnętrzny pożar prowadzi do odnowy, ważne jest zrozumieć, co dokładnie płonie — dawne kłamstwo, czy żywy człowiek razem z nim.

Dalej pojawia się Styks: które uczucie okaże się tym prawdziwym przyjacielem, który nie zniknie na ostatniej granicy? Przed śmiercią nie przydadzą się role i piękne wytłumaczenia — ale może zostanie uczucie. Niekoniecznie wzniosłe. Za to szczere. A w wersie o bilecie do nieba wciąż podoba mi się prosta prośba: niech będzie tam ciasno. Nie prywatny raj dla wybranych, lecz miejsce, gdzie uśmiechnę się do miejscowej ludności, nie będę przeszkadzał i zmartwychwstanę.

Historia babci dodaje tu jeszcze jedną warstwę. Była pełna życiowej pasji, kochała życie — a jednocześnie dużo paliła; nałóg niszczył ciało i doprowadził do raka. Urodziła się w 1944 roku, zmarła w 2012, miała około sześćdziesięciu siedmiu lat. **Miłość do życia nie zawsze jest silniejsza od nałogu** — człowiek potrafi jednocześnie chcieć przeciwieństw: żyć i siebie niszczyć, pragnąć wolności i budować więzienie. Wiemy, że coś nas niszczy, i kontynuujemy — nie dlatego, że w ogóle nie cenimy życia, lecz dlatego, że na razie nie umiemy sobie z nim inaczej radzić.

Finał wraca do powtórzenia: ile razy ma się powtórzyć scenariusz? Wcześniej cykliczność mnie

przerażała — wydawało się, że jeśli sytuacja się powtórzyła, niczego się nie nauczyłem. Teraz myślę inaczej: powtórzenie nie zawsze jest dokładną kopią, czasem to spirala — ten sam punkt, ale już z innej wysokości. A jednak zakończenie jest znane z góry: bez względu na to, ile razy człowiek odrodzi się wewnątrz jednego życia, samo życie się skończy. To nie czyni go bezsensownym. Wręcz przeciwnie — właśnie ograniczoność czasu zamienia każdą scenę w jedyną w swoim rodzaju.

— — —

Ile słów zostało nam do starości

Ile słów zostało nam do starości,
z których w oczach powstaną rzeki radości?
Ile westchnień od tego pierwszego
aż do odrzucenia tej rzeczywistości?

Ile razy jeszcze przed obiecanym sądem
puszczą nam w nocy film, tylko taki wróżebny?
Reżyser przekaże myśl najważniejszą,
która zadziała lepiej niż policzek.

Ile spojrzeń przed odrodzeniem
złamie się o ogrodzenia?
Powstaniemy z prochu natychmiast,
jak feniks w dniu samospalenia.

Ile uczuć — i które okaże się
wiernym przyjacielem, który odważy się
przepłynąć rzekę Styks i przewoźnikowi

za przejazd zapłacić nie odmówi?

Ile kosztuje bilet do nieba?
I daj Boże, żeby było nam tam ciasno!
Uśmiechnę się do miejscowej ludności,
nie będę przeszkadzał — i zmartwychwstanę.

Ile razy powtórzy się scenariusz?
Jaka lekcja i ile mamy lat?
A zakończenie znane jest z góry…
Cóż, show trwa dalej.

— — —

— Czytałeś już wtedy Marka Aureliusza? — zapytałem, patrząc na pierwszy wers.

— Nawet nie wiedziałem, kto to taki — odpowiedział. — Po prostu myślałem. A potem usłyszałem i osłupiałem: ktoś już dawno powiedział to, co próbowałem sam poskładać.

— Nie było ci przykro?

— Wręcz przeciwnie. Zrobiło mi się lżej — czyli nie jestem jedynym takim dziwakiem.

Uśmiechnąłem się.

— Wyszło jeszcze jedno poznanie. Nie tylko z Markiem Aureliuszem — z sobą samym. Usłyszałeś cudzą filozofię i rozpoznałeś w niej własny kierunek.

Spojrzał na wiersz.

— Napisałem go przed „Poznaniem”. Ale w zbiorze umieściłeś go po.

— Bo tak jest właściwiej pod względem sensu: najpierw poznanie życia, potem pytanie o jego długość. Kolejność pojawiania się myśli i kolejność ich zrozumienia nie muszą się pokrywać.

Ponownie przeczytał pierwszą strofę.

— A ile słów zostało?

— Nie wiem. Może dużo. Może to ostatnie.

— Czemu tak mówisz?

— Sam napisałeś wiersz o nagłej skończoności — a teraz wolisz uważać ją za teoretyczną. Nawet człowiek rozprawiający o śmierci zwykle tak robi.

— A ty jesteś gotów umrzeć teraz? — uśmiechnął się kpiąco.

Nie odpowiedziałem od razu.

— Nie. Stoicyzm nie musi zamieniać człowieka w kamień. Marek Aureliusz mówił, że w porównaniu z wiecznością różnica między „teraz” a „za dziesięć lat” jest znikoma. Ale dla żywego człowieka dziesięć lat i tak odczuwa się jako dziesięć lat. Myśl o śmierci daje nie beznamiętność, lecz skalę — sposób na oddzielenie naleciałości od tego, co ważne.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Właśnie odszedłem od żony w restauracji na dwadzieścia minut i nic nie powiedziałem. Patrząc w skali wieczności — jaka to różnica?

— Prawie żadna. A patrząc oczami człowieka, który siedzi i nie rozumie, gdzie zniknąłeś?

Milczał chwilę.

— Dla niej różnica jest.

— Właśnie. Czyli trzeba wznieść się nad sytuację, żeby jej nie rozdmuchiwać — a potem zejść z powrotem, żeby nie stracić człowieka. Dwie skale są uczciwsze niż jedna.

— I to wszystko? Po prostu „trzeba było powiedzieć”?

— Czasem mądrość wygląda właśnie tak nudno.

Znów spojrzał na drugą strofę — o reżyserze i policzku.

— Czekałeś, że życie samo wszystko wytłumaczy?

— Wiele razy tłumaczyło. Nie zawsze rozumiałem — czasem po policzku po prostu boli głowa. Wydarzenie samo w sobie nie gwarantuje lekcji. Nazywamy wszystko lekcjami tylko po to, żeby chaos wydawał się bardziej uporządkowany.

Zamyślił się.

— A odrodzenie — ile spojrzeń musi się złamać?

— Wszystkie, które przestały wytrzymywać rzeczywistość. Jeśli lubisz swój pogląd, będziesz go bronił, dopóki ogrodzenie nie okaże się mocniejsze od ciebie. Zwykle człowiek woli złamać się sam, byle zachować przekonanie — i o bracie, i o sobie jako dobrym człowieku, i o małżeństwie.

— Czyli feniks musi spalić wszystko?

— Nie. Tylko formę, w której nie da się już żyć. I z samospaleniem trzeba być ostrożnym: wystarczająco wiele razy już się niszczyłeś, nazywając to zmianą. Jeśli po ogniu zostaje więcej życia — to odnowa. Jeśli mniej — to po prostu kolejna kara.

Milczał chwilę, potem zapytał:

— A które uczucie przepłynie Styks? Miłość? Strach? Żal?

— Nie wiem. Chciałbym wierzyć, że miłość. Strach pewnie zniknie pierwszy, a żal może trzymać się aż do samego brzegu.

— A co wziąłbyś ty?

— Ciekawość. Nawet po śmierci chce się wiedzieć, co tam jest. A jeśli nic — to nie będzie komu się rozczarowywać.

Spojrzał na strofę o niebie.

— Czemu mam nadzieję, że będzie tam ciasno?

— Bo nie chcesz zostać sam nawet w raju. Albo dlatego, że chcesz, żeby wszyscy się tam dostali — bez wybranych.

— Nawet brat? Nawet ludzie, których nienawidzę?

— Nawet oni. Jeśli to naprawdę raj, pytanie zapewne postawione jest tam inaczej.

Uśmiechnął się bez radości, potem wrócił do finału.

— Zakończenie znane z góry — a i tak show trwa dalej.

— Dopóki jest komu patrzeć. Piosenka się kończy — nie sprawia to, że poprzednie trzy minuty są

bezsensowne, nawet jeśli za sto lat nikt jej nie zapamięta.

Milczał.

— Babcia też kochała życie. A i tak paliła. Czyli nie kochała?

— Miłość do życia nie zawsze jest silniejsza od nałogu. Człowiek potrafi jednocześnie chcieć przeciwieństw: żyć i siebie niszczyć, pragnąć wolności i budować więzienie.

— Umarła wcześnie przez siebie samą?

— Częściowo. Ale nie zamieniałbym choroby w wyrok za nawyk. Ile jej zostało słów do starości, nikt nie wiedział — tak jak my nie wiemy o sobie.

— Przeraża cię to?

— Tak. I wyzwala jednocześnie — sam przed chwilą mówiłeś o przeciwieństwach.

Kiwnął głową.

— I co mam zrobić z tym, że śmierć może przyjść wcześniej niż starość?

— Nie czekać na starość, żeby zacząć żyć. Powiedzieć to, co ważne. Nie rozdmuchiwać drobiazgów — ale i nie chować się za wiecznością, kiedy obok jest żywy człowiek.

— Znowu żona i restauracja?

— Dobry przykład. Zwłaszcza w obliczu śmierci warto uprzedzać, że się odchodzi: możesz nie mieć następnego powrotu do stołu.

Przestał się uśmiechać.

— Ostro. A za minutę powiesz, że to wszystko ziarnko piasku.

— To też prawda. Nie da się stale żyć w dwóch skalach, ale można czasem się wznosić, żeby zobaczyć całość, a potem schodzić, żeby nie zapomnieć szczegółu. Właściwa skala to ta, która teraz pomaga nie kłamać.

Ponownie przeczytał tytuł.

— Ile słów zostało nam do starości?

— Nie wiem. Słów nie wydaje się w ograniczonym nakładzie — ograniczony jest czas, w którym można je powiedzieć.

— I co powiedzieć?

Spojrzałem na niego.

— Dziękuję — za to, że napisałeś to, zanim dowiedziałeś się, jak nazywa się twoja myśl. Przepraszam — tych, których ludzkie drobiazgi czasem zbyt łatwo umniejszałem wiecznością. I jeszcze… kocham cię.

— Kogo to dotyczy?

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnął się.

— Dobrze. Niech każdy sam zdecyduje.

Przez chwilę milczeliśmy. Show trwał dalej.

— Ile jeszcze mamy, jak myślisz? — zapytał w końcu.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Może dlatego to pytanie do dziś się nie zestarzało.

ROZDZIAŁ 22

Samsara



Czasem książka nie przynosi nowej myśli. Łączy w system to, co wcześniej istniało w środku jako osobne odczucia.

„Samsara” powstała po przeczytaniu książki Dmitrija Morozowa „Dwakroć narodzeni”. Przeczytałem ją duszkiem. Dla mnie stała się czymś w rodzaju rosyjskiej „Bhagawadgity” — próbą pokazania, że to, co działo się tysiące lat temu, wciąż się powtarza: zmieniają się szaty, państwa, broń, ale bracia wciąż wychodzą walczyć przeciwko braciom.

W tamtym momencie trwała już wojna Rosji z Ukrainą — jeden z powodów, dla których

wyjechaliśmy. Czytając o bitwie, w której krewni tępią się nawzajem, na początku czułem zwykłą gorycz: czemu wiedza o dawnych katastrofach nie przeszkadza tworzyć nowych? A potem pytanie się zmieniło. Zamiast „dlaczego to się stało?” pojawiło się: „jak mogło nie się stać?”. Nie dlatego, że wojna jest słuszna, lecz dlatego, że zacząłem widzieć bieg wydarzeń, który do niej doprowadził. **Zrozumienie mechanizmu to nie usprawiedliwienie skutku.** Można prześledzić, jak rozpadało się braterstwo, nie uznając bratobójstwa za sprawiedliwe.

W książce uderzył mnie obraz rozdartego wzoru braterstwa: doświadczenie tych, którzy widzieli dalej niż zwykły człowiek, zostaje zmyte przez ludzką falę, a nowy tłum pragnie już tylko własnego świata i pięknych krajobrazów — zrozumiałych, takich, które można od razu dotknąć i kupić. Samo pragnienie ziemskiego życia nie jest zbrodnią. Ale kiedy staje się jedyną treścią, wszystko głębsze zostaje pogrzebane pod warstwą sadzy — tak narodziła się pierwsza strofa.

Zajmowała mnie wtedy idea licznych wcieleń — nie jako przedmiot wiary, lecz jako sposób patrzenia: jeśli dopuścić wiele żyć, człowiek mógł już znaleźć się gdziekolwiek, przeżyć cierpienie, władzę, upadek i znów powrócić. Każda egzystencja to nie ostateczny wyrok, lecz kolejna forma doświadczenia. Ale jest tu pokusa: jeśli żyć jest nieskończenie wiele, obecne łatwo zacząć traktować jako brudnopis. Wydawało mi się ważniejsze coś odwrotnego — jeśli scenariusz się powtarza, tym bardziej potrzeba choć raz zauważyć,

co dokładnie się odtwarza.

Najważniejsza stała się dla mnie strofa o Upaniszadach: „niepragnący wiedzy niech nie będzie nią niepokojony”. Wcześniej niemal zawsze chciałem dzielić się nową wiedzą ze wszystkimi, wstrząsnąć człowiekiem, pokazać, że żyje niewystarczająco głęboko. Było w tym dużo szczerego zachwytu — i niemało próżności: mianowałem siebie tym, kto już zrozumiał, a drugiego tym, kogo trzeba uczyć. To zdanie po raz pierwszy skłoniło mnie do pytania: czy mam prawo niepokoić człowieka wiedzą, o którą nie prosił? Wiedza nie tylko wyzwala — niszczy dawne, choćby niewygodne, ale znajome oparcie. **Aluzja okazała się uczciwsza niż wyjaśnienie** — nie dlatego, że chciałem schować się za mglistością, lecz dlatego, że nie chciałem odbierać drugiemu możliwości samodzielnego dojścia do odkrycia. To, co komuś przekazano, może zapomnieć. To, do czego doszedł sam, staje się jego częścią.

W obrazie człowieka, który wpadł w „wir światowych rozkoszy”, widziałem też starszego brata — jego wolność, za którą płacili inni. Nie chcę być jego sędzią, ale niechęć do osądzania nie oznacza udawania, że nie widzę tego, co się dzieje. Jednocześnie nie stawiam się daleko z boku: ja też długo żyłem tymi samymi rozkoszami. Różnica polega może tylko na tym, że jeszcze nie zostałem rodzicem — i to nie czyni mnie moralnie wyższym, po prostu życie nie postawiło nas w tych samych okolicznościach.

Finał wiersza to niemal prosta formuła: dawać, tworzyć, kochać. Po wszystkich kręgach samsary, piekła i Upaniszad wracam do trzech zwykłych czynności — nie tłumaczyć świata i nie pokonać odrodzenia, lecz po prostu nie przegapić klatki, która toczy się teraz. Ale to nie hedonistyczne „żyj dzisiaj”: światowe rozkosze też potrafią udawać obecność. Dawać — żeby życie nie zamykało się na konsumpcji. Tworzyć — żeby zostawić coś po sobie. Kochać — żeby drugi nie zamieniał się w przedmiot kolejnej rozkoszy. **Właśnie tak dziś rozumiem wyjście z koła samsary: nie mistyczne wyzwolenie, lecz moment, gdy przestajesz nieświadomie odtwarzać ten sam scenariusz.**

— — —

Samsara

Neon, witryny i piękne krajobrazy
wypełnią pustkę, lecz tylko na chwilę.
Wszystko, co prawdziwe, leży pod warstwą sadzy,
pod wiecznym jarzmem plotek i intryg.

Ileż to razy płonąłeś w piekle
albo stawałeś stopą na skraju siódmego nieba.
Sumienie całe w dziurach — to bezsprzecznie
modniejsze —
prosić Pana w godzinę niedzielnej mszy,

żeby zamknął oczy na wszystkie twoje bluźnierstwa
i wyprosić ukojenie próżnych dni.
Albo chociaż pozór takiego uczucia,

żeby nie widzieć już nic poza nim.

O biada tym, którzy nie przeszedłszy drogą pokory,
wpadli w wir światowych rozkoszy.
Nie zostanie zaniepokojony wiedzą olśnienia —
głosił tekst świętych Upaniszad.

Cóż może być smutniejsze na świecie
niż być wiewiórką w kole Samsary?
Żyjcie każdą klatką tej taśmy filmowej,
nie zapominając dawać, tworzyć, kochać.

— — —

— „Nie zostanie zaniepokojony wiedzą olśnienia” — przeczytałem na głos. — Kluczowe miejsce. Ale czemu więc teraz wszystko tłumaczysz? Piszesz cały rozdział, opowiadasz o Upaniszadach i samsarze — czy nie niepokoisz tą wiedzą wszystkich po kolei?

Zamyślił się.

— Dobre pytanie. Ale ta książka nie przychodzi do człowieka do domu bez zaproszenia — on sam ją otwiera. Tak, dostaje moją wersję, i tak kieruję. Tylko nie mówię: „oto jedyny słuszny sens”. Mówię: „oto, co się ze mną działo”. A jeśli czytelnik zobaczy coś innego — niech tak będzie. Autor też może nie wiedzieć wszystkiego, co napisał.

— Czyli tłumaczyć mimo wszystko można?

— Można zapraszać do własnego rozumienia. Tylko nie zamykać w nim człowieka.

Spojrzał na mnie.

— A jeśli człowiek nie chce wiedzieć?

— Zostawić w spokoju. To trudniejsze, gdy chodzi o kogoś bliskiego — na przykład brata. On odwala jakieś głupoty, tak. Ale nie powinienem milczeć — mogę powiedzieć, co widzę, wyznaczyć granicę, odmówić udziału. Po prostu nie da się zmusić do nauczenia się.

— Oskarżasz go?

— Czasem. Choć cały czas mówię, że nie jestem sędzią. Jedno drugiemu nie przeszkadza: nie znam całego jego życia i nie mam prawa wydawać ostatecznego wyroku — a jednocześnie złoszczę się na konkretne czyny. Jest winny w pewnych sprawach. I ja też. Różnica polega może na tym, że teraz nieco częściej zadaję sobie to pytanie.

Spojrzał na drugą strofę — o piekle.

— Naprawdę wierzysz w poprzednie życia?

— Nie wiem. Ciekawie było dopuścić to jako ideę i spojrzeć od środka. Wers działa nawet jeśli nie ma reinkarnacji: człowiek i w jednym życiu wiele razy znajduje się i w piekle, i niemal w niebie. Wcześniej podobała mi się myśl, że każde cierpienie jest do czegoś potrzebne. Teraz jestem ostrożniejszy — zbyt łatwo usprawiedliwia ból post factum.

— Czyli wojna też nie „musiała się tak stać”?

— Mogła stać się historycznie zakonomierna, jeśli latami gromadzić nienawiść i przemoc. Ale prawidłowość nie równa się konieczności: w każdym

ogniwie były ludzkie decyzje. Ludzie po prostu zmieniają broń szybciej niż własne mechanizmy.

Przeczytał pierwszą strofę.

— Sam mówiłeś, że natura napełnia czarę. A tu piszesz, że krajobrazy wypełniają pustkę tylko na chwilę.

— Nie sprzeczność. Piękno może napełnić człowieka, ale nie musi zastępować pracy wewnętrznej. Jeśli patrzysz na morze i jesteś obecny — ono napełnia. Jeśli żądasz od niego, żeby na zawsze naprawiło twoje życie — za tydzień potrzebne będzie inne morze. Można podróżować i pozostać wiewiórką w kole. Po prostu koło będzie się przemieszczać między krajami.

Uśmiechnął się kpiąco, potem spojrzał na wers o dziurawym sumieniu.

— Ja też tak robiłem? Opowiadałem o własnym niszczeniu się pięknie?

— Oczywiście. Obraz wolnego człowieka, który pije i nikomu nic nie jest winien, jest atrakcyjny. I twój brat tak żył, i ty sam, przez jakiś czas.

— Ale się wydostałem.

— Częściowo. A on — nie wiem, nie widzę go już dość blisko, żeby to stwierdzić.

Doszedł do strofy o modlitwie.

— Bóg naprawdę zamyka oczy, jeśli poprosić?

— Nie wiem. Ale może modlitwa jest potrzebna nie po to, żeby się z nim dogadać, lecz żeby samemu przestać zamykać oczy. Ludzie naprawdę często

proszą nie o prawdziwe uczucie, lecz o jego pozór — można udawać troskę i nie słyszeć człowieka, wykonywać rytuały wiary i unikać spotkania z tym, w co się wierzy. Można nawet napisać głęboki tekst i uznać, że już się przez to zmieniło.

— To o nas — powiedział.

— Zwłaszcza o nas.

Wrócił do Upaniszad.

— Czyli wiedza niszczy coś pożytecznego?

— Wygodną niewiedzę. I to nie zawsze jest złe — człowiek może nie być gotowy zostać bez oparcia, nawet fałszywego. Dlatego najpierw warto zapytać, czy chce patrzeć, a nie wyrywać kulę z rąk, żeby udowodnić, że źle chodzi. Chyba dlatego bogowie w książce przyjmowali postać dostępną ludziom — nie oszukiwali, lecz oszczędzali: bezpośredniego światła człowiek mógł nie wytrzymać.

— A ty w wierszach próbujesz zmniejszyć jasność?

— Czasem. A czasem, przeciwnie, ją podkręcam. Ale aluzja coraz bardziej wydaje mi się uczciwsza niż wyjaśnienie — to sposób na pozostawienie człowiekowi wolności samodzielnego dojścia do odkrycia.

— A jeśli nikt nie zrozumie?

— Może drzwi nikomu jeszcze nie były potrzebne. Ale tekst i tak był potrzebny mnie samemu — autor też jest czytelnikiem, tylko pierwszym.

Spojrzał na ostatnią strofę.

— „Żyjcie każdą klatką” — powiedziałeś wprost, choć przed chwilą postanowiłeś nie uczyć.

— Sprzeczność okresu przejściowego. Wciąż jestem trochę kaznodzieją — po prostu lepiej się maskuję. Na przykład pod dialogiem.

— Ja — to też ty — zauważył. — To czym ta książka różni się od kazania?

— Tym, że możesz mi się sprzeciwić. A czytelnik — zamknąć książkę. Innej pociechy nie ma: każda wypowiedź wpływa, pytanie nie brzmi, jak stać się sterylnym, lecz czy zostawiasz miejsce na odpowiedź.

Ponownie przeczytał: „dawać, tworzyć, kochać”.

— Które z nich ważniejsze?

— Nie wiem. Można dawać nawet bez miłości — ze strachu. Tworzyć — z próżności. Kochać — i nic nie dawać. Chyba dlatego stoją razem: każdy czasownik sprawdza pozostałe.

— A co znaczy wyjść z samsary — naprawdę, nie religijnie?

— Zauważyć powtórzenie, zanim znowu zakończy za ciebie dzień. I postąpić inaczej — choćby o jeden procent. Żeby koło po raz pierwszy stało się spiralą.

Milczał chwilę, potem zapytał ostrzej:

— A wojna? Bracia znów zabijają braci — jaki tam jeden procent?

— Nie wiem. Jeśli czekać, że książka zatrzyma armię — to niemal na pewno bezużyteczne. Ale może chodzi o to, żeby chociaż ty sam nie zamieniał tak łatwo

drugiego w abstrakcyjnego wroga. Czasem wróg jest realny i trzeba się bronić naprawdę. Ale braterstwo bywa zerwane na długo przed pierwszym strzałem — i odbudować je można nie pięknymi słowami, lecz odpowiedzialnością, pamięcią, zdolnością widzenia w drugim człowieka, nie zaprzeczając niebezpieczeństwu.

— To brzmi niewystarczająco.

— Bo nie mam wystarczającej odpowiedzi. Czyli jednak nie jestem mędrcem — po prostu człowiekiem, który przeczytał książkę i na chwilę zobaczył własne życie przez jej język. I napisał wiersz — najpierw pewnie, żeby wytłumaczyć innym. A teraz — żeby zaprosić.

— Dokąd?

Spojrzałem na otwartą stronę.

— Jest tu więcej pytań niż odpowiedzi. Niech każdy wybierze swoje. „Niepragnący wiedzy niech nie będzie nią niepokojony". A pragnący — niech wejdzie i znajdzie swoje.

Jeszcze raz przeczytał ostatnią strofę.

— Znowu się powtarzamy. Show trwa dalej, koło się kręci…

— Samsara — uśmiechnąłem się. — Można na początek nie mówić tego ostatniego pięknego zdania.

Kiwnął głową. Drzwi zostały otwarte — do pokoju wdzierało się wieczorne powietrze, a gdzieś za nimi słychać było obce głosy, kroki, zwyczajne życie.

ROZDZIAŁ 23

Wieczny duch

Niektóre wiersze po latach zmieniają sens nie dlatego, że odkrywa się w nich ukrytą myśl. Zmienia się człowiek, który je czyta.

„Wieczny duch” to jeden z moich ulubionych wierszy: życiodajny, energiczny, niemal wojowniczy. Siedziałem na kamieniu na górze i nagle mnie poniosło — nie musiałem długo zbierać obrazów, po prostu poczułem ten ruch w środku: chęć życia, działania, przezwyciężania.

Wtedy uprawiałem jogę i poważnie myślałem o zostaniu instruktorem. Ale joga, którą wtedy praktykowałem, była przede wszystkim praktyką osiągania: więcej, szybciej, mocniej, głębiej. Jeśli pojawia się granica, trzeba ją przekroczyć. W pewnym momencie uszkodziłem plecy — pojawiła się przepuklina, zaproponowano mi operację, postanowiłem jej nie robić i zamiast tego wzmocnić gorset mięśniowy. Wtedy wydawało mi się, że w tej kontuzji musi być jakiś sens. Teraz jestem ostrożniejszy z takimi sformułowaniami: nie każda kontuzja jest specjalnie zesłana człowiekowi, żeby go czegoś nauczyć. Ale dzięki tej kontuzji doszedłem do pływania — a woda zmieniła moje wyobrażenie o ruchu: nie da się w niej wszystkiego osiągnąć jednym wysiłkiem, nie da się z nią dogadać siłą, trzeba w nią wejść.

Podczas niedawnej wspinaczki na Rinjani — cztery dni z plecakiem, około czterdziestu kilometrów, plecy bolały bardzo mocno — ta historia nieoczekiwanie wróciła. Po zejściu pomyślałem: muszę wrócić do jogi, ale już innej. Nie takiej, gdzie każda granica to wyzwanie. **Nie pokonywać ciała. Słuchać go. Nie stawać się stalą. Stawać się wodą.**

Właśnie wtedy dawny wiersz pokazał mi człowieka, którym kiedyś byłem. Całe jego słownictwo zbudowane jest na przezwyciężaniu: kula, stal, bitwa, rekin. To język kogoś, kto nie tylko chce żyć — wgryza się w życie zębami, uważa głód za dowód młodości, a zatrzymanie się za starość. Ta energia wciąż jest mi bliska i nie uważam tamtego człowieka za błądzącego — naprawdę potrzebował siły po wszystkim, co przeżył.

Ale dziś inaczej czytam wers „Wola ślepo prowadzi do zwycięstwa”. Wtedy ślepota woli wydawała się zaletą. Teraz pytam: a czy w ogóle widzi, dokąd prowadzi? **Można pokonać własne ciało tak bardzo, że przestanie pozwalać ci się ruszać.** A obraz doliny między dwiema górami — wtedy schronienie, żeby ukryć bitwę wewnątrz — dziś czytam inaczej: dolina to też koryto, którym płynie woda. Między dwoma światami nie trzeba budować umocnienia, można szukać nurtu, który je łączy.

Długo myliłem siłę z ciągłym wysiłkiem. Ale siła może przejawiać się też w zdolności zatrzymania się przed kontuzją, w nieudowadnianiu niczego, w niepospieszaniu się. Woda jest miękka — ale to

właśnie ona zmienia kształt kamienia. Nie jednym uderzeniem. Obecnością. „Wieczny duch” pozostał tekstem człowieka, który chciał być stalą. Dziś czyta go człowiek, który uczy się być wodą. Jedno nie wyklucza drugiego — stal wciąż jest potrzebna, po prostu nie powinna być jedynym materiałem, z którego zbudowane jest życie. **Wieczność ducha widzę teraz nie w nieskończonej zdolności do walki, lecz w zdolności zmiany formy i pozostania mimo to sobą.**

— — —

Wieczny duch

Głowa jak ul pszczeli,
serce — ptak w klatce piersiowej.
Chciałaby prędkości lecącej kuli,
tej wystrzelonej przez rozum-zabójcę.

Moje ręce-dźwignie są zmęczone,
nogi idą dalej z przyzwyczajenia.
Nerwy — tarcza z nierdzewnej stali,
hartowana w stu tysiącach potyczek.

Bitwie między dwoma światami —
tym, moim, i tym drugim, na zewnątrz.
Jestem doliną między górami.
Nie chcę być przez nikogo odkryty.

Żuchwy grają zaciśniętymi mięśniami.
Wola ślepo prowadzi do zwycięstwa.
Wgryzam się w życie zębami rekina,

zapominając zupełnie o obiedzie.

Nie potrafię zaspokoić głodu,
który dzień po dniu wyżera duszę.
Dopóki to czuję — jestem młody.
Zestarzeję się — przybiję do lądu.

Niech lata ścierają się o ciało,
utrudniając podbój przestrzeni.
Mój duch jest wieczny i rwie się do czynu.
W sumie — dobro i odrobina chuligaństwa.

— — —

— „Wola ślepo prowadzi do zwycięstwa” — przeczytałem. — Dokąd dokładnie cię prowadzi?

— Naprzód, do celu — odpowiedział.

— A jeśli przed tobą jest przepaść?

Milczał chwilę.

— To trzeba patrzeć pod nogi.

— Wtedy nie jest już ślepa. Długo się do tego jednego słowa czepiałem — kilka lat. Teraz ślepota woli nie wydaje mi się zaletą.

— Bo stałeś się tchórzliwszy?

— Ostrożniejszy. Co się z tobą właściwie wydarzyło, zapytasz. Wiele. Uszkodzisz plecy — pojawi się przepuklina, zaproponują ci operację, odmówisz i postanowisz zbudować gorset mięśniowy. I jogę, o której marzyłeś, porzucisz — nie od razu, ale

porzucisz.

— Czyli kontuzja wszystko zniszczy?

— Nie. Zmieni kierunek — w stronę wody. Pływanie stanie się częścią życia: treningami, techniką, oddechem.

— Czyli kontuzja była potrzebna?

— To, że po bólu pojawiło się coś wartościowego, nie dowodzi, że ból został ci specjalnie zesłany. Nie chcę nadawać wyższego sensu każdemu nieszczęściu post factum — zbyt łatwo wtedy powiedzieć cierpiącemu: „ciesz się, to cię nauczy". A kogoś to po prostu niszczy.

Spojrzał na swoje ręce.

— W wierszu ciało po prostu ściera się przez lata. Czy ja o nie nie dbam? Uprawiam jogę, staję się silniejszy.

— Zmuszasz je, żeby stawało się silniejsze. Troska pyta, czego ciału teraz potrzeba. Osiąganie już zna odpowiedź: jeszcze jedno obciążenie.

— Zrobiłeś się miękki.

— Uczę się. Miękkość podbija wolniej, ale i kamień zmienia woda — nie jednym uderzeniem, lecz obecnością.

Ponownie przeczytał drugą strofę — o nerwach-tarczy z nierdzewnej stali.

— Tarcza chroni.

— I izoluje. Nie rani — i nie dotyka. Teraz myślę, że nie da się podnieść tarczy tylko przeciwko bólowi — zasłania wszystko, w tym to, co wymaga wrażliwości.

— Ale stal jest potrzebna.

— Oczywiście. Nie proponuję, żeby stać się kałużą. Proponuję być wodą — nie uważać, że jedyny sposób ruchu to przebicie przeszkody. Można znaleźć szczelinę, zmienić kształt, cofnąć się i wrócić.

— To brzmi jak tchórzostwo.

— Dla człowieka-kuli wszystko, co nie leci prosto, wygląda na tchórzostwo. A rozum-zabójca, którego wypuszczasz w pierwszej strofie, to przecież ty sam, zabijający w sobie to, co nie mieściło się w systemie: słabość, wątpliwość, strach.

— Przerabialiśmy to już w „Więzieniu”.

— Spodziewałeś się, że po jednym wierszu pytanie zniknie?

Doczytał do trzeciej strofy — o dolinie między górami.

— Wtedy to było schronienie — powiedziałem. — Teraz dla mnie to koryto. Między górami płynie woda.

— W wierszu jej nie ma.

— Teraz jest. Czytam cię po latach — i widzę to, co chcę, jak każdy czytelnik. Tekst jest już szerszy niż wspomnienie.

Milczał chwilę.

— Nie chciałem być przez nikogo odkryty, bo na zewnątrz nie było bezpiecznie.

— A ciągłe schronienie samo staje się więzieniem. Twoje teksty rozmawiają ze sobą.

Doszedł do rekina — „wgryzam się w życie zębami rekina”.

— Po co ci wgryzać się w życie?

— Żeby nie uciekło.

— Życie nie próbuje przed tobą uciec.

— Jeszcze jak. Dni mijają, ludzie odchodzą, ciało się starzeje.

— To trzeba je przeżywać, a nie zaciskać zęby mocniej. W rekinie jest obraz zwycięzcy. A życie, w które ciągle się wgryzasz, pewnego dnia zaczyna przypominać zdobycz.

— A czym wtedy jest?

— Środowiskiem. Jak woda.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Wszystko sprowadzasz do pływania. Czemu zapominam o obiedzie?

— Bo głód jest dla ciebie ważniejszy niż jedzenie. Przyzwyczaiłeś się żyć przez brak — a on nie pozwala się nasycić. „Nie potrafię zaspokoić głodu, który dzień po dniu wyżera duszę". Dopóki czujesz głód — jesteś młody. A jeśli się nasycisz?

— Zestarzałem się.

— Albo po prostu zjadłem. Czasem zwykły obiad jest pożyteczniejszy niż piękna koncepcja młodości.

— Ty teraz nie zapominasz o ciele dla idei?

Przypomniałem sobie treningi, wyprawę, obolałe plecy, czterdzieści kilometrów przebytych w milczeniu.

— Wciąż zapominam. Za to szczerze o tym mówię.

Spojrzał na wers o lądzie.

— Wtedy zatrzymanie się wydawało mi się śmiercią.

— A przystań też jest częścią podróży. Tam się odzyskuje siły, ogląda mapę, naprawia statek. Po prostu jeszcze nie umiałeś odróżnić spokoju od zastoju: w spokoju wracają siły, w zastoju znika zainteresowanie. A jeśli siły nie wracają — potrzebne jest nie wezwanie do walki, lecz pomoc: lekarz, odpoczynek, rozmowa. Nie każde zatrzymanie pokonuje się wolą.

Doczytał finał — „mój duch jest wieczny i rwie się do czynu”.

— To wciąż kocham — powiedział.

— Ja też. Prawie wszystko zostało — po prostu doszły inne sposoby życia. Na Rinjani plecy bolały cztery dni, i mimo to doszedłem. Wola doprowadziła do zwycięstwa. Ale po drodze prawie nie słuchałem ciała — a dzień po zejściu zrozumiałem, że chcę wrócić do jogi łagodniejszej.

— Gdybym wtedy był łagodniejszy, napisałbym ten wiersz?

— Może nie. Dobrze, że byłeś żywy i pisałeś szczerze. Ale nie wszystko, co kiedyś pomogło, musi towarzyszyć ci wiecznie. Osiąganie zaprowadziło cię w wiele ważnych miejsc — na szczyty i w kontuzje, w muzykę i w wyczerpanie, w pływanie przez ból. Pytanie nie brzmi, czy ogłosić je wrogiem, lecz czy przestać oddawać mu całe sterowanie.

— Kto wtedy będzie sterował?

— Czasem dyscyplina, czasem ciekawość, czasem ciało, czasem miłość. Zbyt wielu szefów — czyli dyktator już niepotrzebny.

— A odrobinę chuligaństwa zostawimy?

— Koniecznie. Nawet w łagodnej jodze — po prostu trzeba się nauczyć nie rywalizować z matą.

Roześmiał się, potem zapytał poważniej:

— Naprawdę wrócisz do jogi?

— Postaram się. Chcę najpierw zrozumieć, jakiej praktyki potrzebuję — nie takiej, gdzie nie boli, i nie takiej, gdzie jest łatwo. Lecz takiej, po której staję się uważniejszy wobec siebie, a nie dumny z tego, jak dobrze siebie przezwyciężyłem.

Długo milczał.

— Zmieniłeś się. Zrobiłeś się słabszy?

Spojrzałem na niego — na zaciśnięte szczęki, na nierdzewną tarczę, na serce-ptaka w klatce.

— Mam nadzieję, że nie. Po prostu mniej jednoznaczny.

— To nie brzmi jak osiągnięcie.

— Może właśnie dlatego jest prawdziwe.

Ponownie przeczytał tytuł.

— „Wieczny duch” — nawet jeśli już nie chcesz wiecznie walczyć?

— Duch może być wieczny nie dlatego, że nigdy się nie zatrzymuje, lecz dlatego, że potrafi przybierać inną formę i nie znikać. Kulą. Stalą. Rekinem. A teraz, może, wodą.

Spojrzał w dół, gdzie między górami ledwie błyszczał strumień.

— Woda też rwie się do czynu.

— Zawsze. Po prostu nie każdy jej ruch trzeba nazywać bitwą.

Uśmiechnął się, rozluźnił szczęki — i po raz pierwszy nie próbował podbić przestrzeni. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę na kamieniu. W dole płynęła woda. Nigdzie się nie śpieszyła. A jednak wciąż kontynuowała drogę.

ROZDZIAŁ 24

Nasi ukochani

Czasem przez całe życie wydaje się, że siebie dopiero trzeba odnaleźć — jakby prawdziwy ty znajdował się gdzieś przed tobą, po kolejnej decyzji, po tym, jak uporasz się z przeszłością i wreszcie staniesz się tym, kim powinieneś był być od początku. Ale stopniowo pojawia się inne odczucie: **siebie nie znajduje się raz. Siebie się przypomina, składa, gubi i znów rozpoznaje** — czasem po zupełnie nieoczekiwanych oznakach.

„Nasi ukochani" może wydawać się zwrotem do innej osoby — do ukochanej, przyjaciela, brata. Ale nie chodzi tu o kogoś z zewnątrz. To rozmowa z wewnętrznym przyjacielem — z tymi częściami mnie, które pojawiały się, znikały i po latach znów o sobie przypominały.

Zajmowała mnie myśl, że człowiek przychodzi na ten świat nie całkiem pusty — że wewnątrz jest już doświadczenie, którego pochodzenia nie potrafi wytłumaczyć. Czemu kogoś niewytłumaczalnie ciągnie do muzyki, choć w rodzinie nikt nie grał? Czemu nowe zajęcie czasem przychodzi tak, jakby ciało już znało ruch? Można to wytłumaczyć dziedzicznością i przypadkiem. A można dopuścić, że przez życie przechodzą ledwie wyczuwalne skłonności — coś, co w człowieku rozpoznaje wcześniej, niż rozum zdąży to wytłumaczyć. Stąd pragnienie absolutnej ciszy w pierwszej strofie — nie tylko

schować się przed hałasem, lecz ucichnąć na tyle, żeby usłyszeć myśl, która nie należy do codziennej świadomości. Taki rozmówca rzadko mówi pełnymi zdaniami. Odpowiada ciałem, nagłą lekkością, wrażeniem, że miejsce widziane po raz pierwszy jest z jakiegoś powodu znajome.

Ale wewnętrzny narrator też potrafi kręcić — nie zawsze świadomie: pamięć w ogóle rzadko przekazuje wydarzenie dosłownie, przebudowuje je, żeby człowiek mógł je dziś udźwignąć. Zdarzało się to wiele razy podczas pracy nad tą książką: zaczynałem opowiadać jedną wersję, potem przypominałem sobie szczegół i rozumiałem, że opowieść była tylko pierwszą warstwą.

Wers „jakbyśmy razem byli poza tym systemem, wymyślonym przez świat” to próba tymczasowego wyjścia z gotowego układu współrzędnych: kim musisz być, co rozwijać, a co uważać za niepoważne hobby. Wewnętrzny przyjaciel przywraca inny system — niekoniecznie słuszniejszy, ale mój: taki, w którym pociąg do muzyki jest ważniejszy niż jej pożytek, gdzie góra nie jest potrzebna dla zdjęcia ze szczytu.

Centrum wiersza stanowi dla mnie wers „nasze spotkanie jest ważniejsze niż wszystko”. Nie dlatego, że reszta nie ma znaczenia, lecz dlatego, że bez tego spotkania każde osiągnięcie może okazać się cudze. **Można zbudować udane życie i w wieku osiemdziesięciu lat zrozumieć, że przez większą jego część żył ktoś, kogo prawie nie znałeś.** Właśnie tego się boję — nie samej starości, lecz tego,

że spotkanie z sobą nigdy się nie odbędzie.

„Przyjaciel” to tu nie jedna niezmienna istota. Przez lata pojawiały się we mnie różne części: osiągacz, ratownik, prawy, buntownik, człowiek-kula, człowiek-woda. Każdy w swoim momencie mówił moim głosem i twierdził: „to jest prawdziwy ty”. Ale żaden nie okazał się mną w całości — dlatego trzeba go składać z okruchów, i słowo „kara” w tej strofie wydaje mi się teraz szczególnie trafne: składanie odbywa się nie przez olśnienie w górach, lecz przez nieprzyjemne wspomnienia, przez to, czego się wstydzisz, przez zrozumienie, że ulubiona opowieść o sobie nie jest do końca prawdziwa.

A wers „odnajdę cię zawsze — to pewność, nie nadzieja” jest do dziś jednym z moich ulubionych miejsc: nie ma tu wątpliwości, jest pewność, że w jakimkolwiek ciele, w jakiejkolwiek roli przyjdzie przejść, coś wewnątrz i tak rozpozna kierunek. **Sobą nie staje się raz. Siebie się stopniowo przypomina. I każde nowe spotkanie nie kończy poszukiwania — zwraca tylko jeszcze jeden okruch.**

— — —

Nasi ukochani

Ach, jak bardzo pragnę ciszy
i w ogóle żadnego dźwięku,
żebym przez grubość ściany
poczuł myśli przyjaciela.

Jakże chcę utonąć
w wodospadzie jego opowieści.
Tak, trochę skłamie gdzieniegdzie,
uśmiechnąwszy się, wnet się poprawi.

Bez zakłóceń, na jednej fali
żeglujemy przez przestrzenie eteru.
Jakbyśmy razem byli poza
tym systemem, wymyślonym przez świat.

Nasze spotkanie jest ważniejsze niż wszystko —
gubiliśmy się w światach, i zdawało się:
jak dalej bez niego
spotkam z radością długą starość?

Nie potrzebuję od tysiąca twarzy
tysięcy słów i pochopnych wyznań.
Składam cię z okruchów —
taka jest moja kara.

Po Wszechświecie tam i z powrotem,
przymierzając ciała jak ubrania,
odnajdę cię zawsze —
to pewność, nie nadzieja.

Długą drogę przepołowić
może tylko wzajemność pragnienia.
I nie trzeba chodzić po górach —
żyjemy w głębi podświadomości.

Zwróciwszy się do niej, natychmiast
usłyszę cię, drogi przyjacielu.

Wszyscy ukochani są tam, wewnątrz nas,
nie za gwiazdami — odrobinę bliżej.

— — —

— Kim są „nasi ukochani”? — zapytałem, przeczytawszy ponownie tytuł.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Z początku myślałem, że to ludzie — rodzina, przyjaciele, ci, których straciłem. A teraz myślę, że piszesz o sobie. Dokładniej, o nas — jest ich tu więcej niż dwóch.

— Ile?

— Nie wiem. Sam zobaczysz.

Ponownie przeczytał pierwszą strofę.

— Potrzebowałem pełnej ciszy, żeby usłyszeć myśl przyjaciela. Nie głos — on nie mówi słowami. Czasem po prostu wiesz: trzeba tam pójść, wziąć instrument, zatrzymać się.

— I zawsze słuchasz?

— Oczywiście, że nie. Wokół jest jeszcze wiele głosów — strach, lenistwo, chęć podobania się.

— Jak zrozumieć, gdzie jest przyjaciel?

— Nie wiem. Czasem po jego podpowiedzi czuję się sobą. Ale czasem — także po innych.

— Czyli kryterium nie działa.

Zmarszczył brwi.

— Wszystko psujesz.

— Próbuję zrozumieć. Nie wszystko trzeba rozumieć — powiedziałem za niego, a on mimowolnie się uśmiechnął.

— Dobra. Pewnie nie zawsze ma rację. Ale prawdziwy nie jest wymyślony, żeby odpowiadać cudzym oczekiwaniom.

— A jeśli odpowiada twojej pięknej opowieści o sobie?

— Wtedy skłamie. I się poprawi — jeśli usłyszę. A jeśli nie, za kilka lat przeczytam wiersz ponownie i zrozumiem.

— To się już zdarzało — powiedziałem. — Wiele razy. Czyli przyjaciel się zmienia?

— Może nie on. Może ten, kto go słucha.

Spojrzał na piątą strofę.

— „Składam cię z okruchów” — to kara, bo niektórych części nie chce się podnosić. Wstyd. Boli.

— Można je zostawić?

— Można. Ale wtedy będziesz się potykał, nie rozumiejąc o co. — Uśmiechnął się kpiąco. — Znowu batyskaf. Więzienie. Ciągle wracamy do jednego.

— Bo człowiek nie składa się z osobnych wierszy — powiedziałem. — Żyje w jednym wewnętrznym systemie.

— A poprzednie wcielenia też tam są?

— Ty wierzysz, że tak. Ja nie wiem. Ale ta myśl pozwalała ci uważniej traktować niewytłumaczalne skłonności, nie uważać ich za bzdury tylko dlatego, że nie znasz ich pochodzenia. Muzyka i tak jest ważna —

niezależnie od tego, czy grałeś na instrumencie w poprzednim życiu.

Spojrzał na strofę o systemie wymyślonym przez świat.

— Chciałem stworzyć własny układ współrzędnych.

— I on też może okazać się wymyślony. Jest wiele systemów — wybieraj ten, który pomaga żyć uczciwiej i nie niszczyć innych.

Milczał chwilę.

— „Nasze spotkanie jest ważniejsze niż wszystko” — zgadzasz się?

— Prawie. Spotkanie z sobą jest bardzo ważne, ale nie może usprawiedliwiać niechęci do widzenia innych. Nie „najważniejsze jest być wiernym sobie” zamiast ludzi obok. Lecz spotkać się z sobą, żeby pojawić się w relacjach jako ktoś prawdziwy.

Ponownie przeczytał: „jak dalej bez niego spotkam z radością długą starość”.

— Bałeś się przeżyć życie, tak i nie odnajdując siebie.

— Wciąż się boję. Już nie myślę, że spotkanie zdarza się raz: dziś znajdujesz jedną część, jutro tracisz kontakt, potem wracasz. I tak całe życie.

— W odróżnieniu od brata? — uśmiechnął się kpiąco. — Tam też był przyjaciel na zewnątrz. I nie usłyszał.

— Tak. A wewnętrzny czasem milczy najdłużej — bo latami mu przerywałeś.

Spuścił wzrok.

— A teraz umiem dosłuchać — powiedziałem. — Dzięki terapii, wierszom, pływaniu, ciszy. I górom — choć sam napisałeś, że nie trzeba po nich chodzić.

— To czemu prawie wszystko ważne piszesz właśnie tam?

— Bo na górze jest mniej hałasu. Nie daje odpowiedzi — uwalnia przestrzeń.

Spojrzał na wers „odnajdę cię zawsze — to pewność, nie nadzieja".

— Podoba ci się ten wers?

— Bardzo. Nie ma w nim żądania natychmiastowego rezultatu. Dopuszczasz, że znowu się zgubisz, ale nie dopuszczasz, że strata jest ostateczna.

— Czyli cokolwiek się stanie, wrócę?

— Możliwe. To twoja pewność — nie chcę ci jej odbierać, ale nie mogę też wydać gwarancji we własnym imieniu. Wierzę, że powrót jest możliwy, dopóki człowiek potrafi zauważyć, że się zgubił.

Przeszedł do siódmej strofy — o wzajemności pragnienia.

— Nawet z sobą potrzebna jest wzajemność?

— Jedna część chce znaleźć. Druga boi się bycia znalezioną — bo wtedy trzeba będzie przyznać, że wybrane życie nie jest twoje, że obraz dobrego człowieka zbudowany jest na tłumionej złości. Wewnętrzny przyjaciel chowa się dla bezpieczeństwa. Nie da się go wyciągnąć — można tylko stworzyć miejsce, gdzie będzie mógł się pojawić, i nie karać się od razu za to, co się usłyszało.

— A jeśli powie coś strasznego?

— Wysłuchać. To nie znaczy się podporządkować.

Uśmiechnął się, potem spojrzał na finał.

— „Wszyscy ukochani są tam, wewnątrz nas” — można to przeczytać szerzej. Ludzie, których kochano, też zostają wewnątrz — ich głosy, sposoby patrzenia, nawet jeśli odeszli.

— Ale nie o tym pisałem — zaoponował.

— Wiem. Po prostu tekst już umie więcej niż jedno. Twoje drzwi zostają, nie muszą być jedynymi.

Spojrzał na tytuł.

— „Nasi ukochani” — nawet ci, których już nie kocham?

— Czasem właśnie oni zajmują najwięcej miejsca. Nie trzeba ich wyganiać — można zmienić dystans.

— A który z moich wewnętrznych „ja” jest twoim ulubionym?

Spojrzałem na niego.

— Ten, który potrafi się zatrzymać i powiedzieć: „nie, teraz skłamałem” — bez niego napisalibyśmy piękną, ale niezupełnie uczciwą książkę. I ten, który napisał ten wiersz na górze.

— Czemu on?

— Bo tutaj nie próbujesz nikogo ratować, nie oskarżasz, nie uczysz. Po prostu chcesz usłyszeć siebie.

— I usłyszałem?

— Wygląda na to, że dopiero teraz zaczynam.

Przysunął się bliżej.

— Byłem tu przez cały ten czas.

— Wiem.

— Nie. Nie wiedziałeś — inaczej nie szukałbyś po całym Wszechświecie.

Uśmiechnąłem się.

— Może potrzebowałem całego Wszechświata, żeby wreszcie zrozumieć dystans. Całkiem niewielki.

Kiwnął głową. Zamilkliśmy. Na górze było cicho — nie całkowicie: poruszała się trawa, oddychał wiatr, na dole żyło miasto. Ale po raz pierwszy nie chciałem usunąć wszystkich dźwięków. Wśród nich i tak słyszałem myśl przyjaciela. Nie mówiła niczego wielkiego. Po prostu przypominała: „Jestem tutaj”.

ROZDZIAŁ 25

Sen

W pewnym momencie poczułem, że w języku zrobiło się więcej przestrzeni. Wcześniej wiersz budował się wokół surowej konstrukcji: rym, metrum, myśl doprowadzona do końca w granicach zadanej formy. Stopniowo zaczęło się to zmieniać — mieszkaliśmy już w Wietnamie, więcej czytałem innych autorów i szczególnie silnie znalazłem się pod wpływem Wiery Połozkowej: jej długich wersów, rymów, które nie muszą pojawiać się w wyznaczonym miejscu, możliwości rozciągnięcia wersu tak daleko, jak wymaga tego oddech.

Niemal ogłuszyło mnie poczucie wolności: język nie musi być ciasnym pudełkiem, można w nim sklejać muzykę, religię, humor i nagłą powagę wewnątrz jednego wersu. **Można zakończyć myśl tam, gdzie się skończyła, a nie tam, gdzie skończyło się metrum.** Dla mnie nie był to zwykły nowy zabieg — znalazłem wolność w języku. Wcześniej szukałem jej w życiu zewnętrznym, w przeprowadzkach. A tutaj nagle okazało się, że przestrzeń można rozszerzyć wprost wewnątrz tekstu.

Właśnie w tej rozmachowości powstał „Nieustanny sen z otwartymi oczami” — wiersz, który zaczyna się od obrazu łzy jako soczewki. Nie należy do jednej emocji: nie powiedziano, czy człowiek płacze z żalu, czy z radości — to musi rozstrzygnąć czytający. Soczewka jest neutralna, tylko wzmacnia to, co już

jest przed człowiekiem: przez strach świat wydaje się bardziej niebezpieczny, przez radość — hojniejszy, i w danej chwili nie sposób przypomnieć sobie, że przed oczami w ogóle jest soczewka. **Na tym właśnie polega nieustanny sen z otwartymi oczami: człowiek niby czuwa, ale widzi nie rzeczy, lecz obraz załamany przez własny stan.**

Dalej następuje niemal demonstracyjne wyliczenie tego, co rzekomo potrafi obudzić: muzyka, poza lotosu, sok pomarańczowy, Morfeusz, Śiwa, radzieccy komicy — praktyka duchowa zderza się z estradowym humorem, wzniosłość nie unieważnia przyziemności. Ale nic z tego nie budzi ostatecznie. Nie ma magicznej pozy, książki, nauczyciela, Boga w wygodnej postaci. Każda rzecz może pomóc — wstrząsnąć, dać język, pokazać drzwi. Ale przejść przez nie trzeba samemu. Stopniowo stało się to jedną z powracających myśli mojego pisania: nie ma magicznego kraju, magicznej miłości, magicznej religii. **Człowiek sam staje się swoją własną pigułką** — nie w sensie pełnej autonomii, wciąż potrzebujemy innych, ale nic zewnętrznego nie zbudzi tego, kto sam trzyma się snu.

Wers o prymusie wziął się z kolejnego przeczytania „Mistrza i Małgorzaty” — tym razem szczególnie uwydatnił się wątek religijny: społeczeństwo, w którym dawna forma religijna została zburzona, ale potrzeba wiary nigdzie nie zniknęła. I tu wiersz staje się jawnie sarkastyczny: „to opium wcale nie śmieszy… nie zapomnij wrzucić monet przy wejściu”. To nie jest wypad przeciwko wierze jako takiej —

irytowała mnie pokazowa religijność, system, w którym żywe przeżycie zastępuje forma. Próbowałem wtedy wierzyć na różne sposoby, zwracałem się to do jednej tradycji, to do innej, i za każdym razem zostawało wrażenie: coś nie tak. Nie udawało mi się znaleźć Boga, którego można naśladować, nie zdradzając własnego wewnętrznego głosu.

Dalej bohater się zamyka — „żeby wrosnąć w nowy obraz nietykalskiego", dokąd nie wejdą nawet bogowie. Jeśli żaden system nie dał odpowiedzi, prościej ogłosić się człowiekiem, któremu odpowiedzi w ogóle nie są potrzebne. Ale wewnątrz i tak narasta tęsknota za głosem rozsądku — nie za jeszcze jednym kaznodzieją, lecz za własnym głosem, słyszalnym przez sen. A finał wraca do początku: „zetrzeć łzę i w końcu się obudzić". To nie znaczy zobaczyć absolutnie obiektywny świat — takiego spojrzenia najprawdopodobniej w ogóle nie mamy. Ale przynajmniej na sekundę zauważyć: między mną a rzeczywistością znajdował się mój stan. **Obudzić się — znaczy przestać czekać, aż przebudzenia dokona ktoś inny.**

Pojawił się tu jeszcze jeden zwrot: wolność języka stała się częścią sensu. Nie tylko już pisałem o wychodzeniu z systemów — zacząłem wychodzić z systemu wprost wewnątrz wersu. Forma przestała być klatką dla myśli i stała się ruchem samej myśli.

— — —

Nieustanny sen z otwartymi oczami

Nieustanny sen z otwartymi oczami —
obraz załamany przez przezroczyste łzy…
i w nim wszystko wydaje się takie wielkie i bezkresne…
i jakby łatwe — ale częściej, szczerze mówiąc, niezrozumiałe…

I droga długa jak splątany kłębek,
mam nadzieję, zaprowadzi do zacisznego kąta,
gdzie dźwięki strun uspokoją pulsujące ciało:
szanson, wokalny unisono, folk, rap-n-rock — dowolny utwór.

Ani poza lotosu, ukąszenie komara, ani sok pomarańczowy,
ani nawet ciemnoskóry przyjaciel Keanu — Morfeusz,
nic nie zdoła obudzić zmęczonego organizmu.
Nawet wszechmogący Śiwa-organista

sześcioma cudownymi dłońmi, w trzydzieści palców,
ani znani radzieccy komicy.
Wszyscy wokół śpią… albo naprawiają prymus…
W niedziele zaprasza ich do siebie tylko Jezus.

No, jak zaprasza — raczej luźno zachęca
poprzez wszechwiedzących kościelnych heroldów,
gotowych i zdolnych uspokoić wszystko i wszystkich…
tylko że to opium wcale nie śmieszy.

Nie ma nawet mikro-odczucia przypływu.
Idź i nie zapomnij wrzucić monet przy wejściu.
I niech na wieki trwa w tobie światło Pańskie.

Za brak opłaty podobno mogą je wyłączyć.

I tyle… Wtedy idzie się naprzód w ciemności, nic nie widząc,
ani siebie, ani innych, a przede wszystkim, cicho nienawidząc Tego z Góry,
zamknąć się, nie wpuszczając nikogo do swoich komnat,
żeby wrosnąć w nowy obraz nietykalskiego,

samotnego włóczęgi, żeby nawet bogowie
nie wpadli na pomysł, by się z tobą wdawać w kłopoty.
Zatęsknić, spragnionym być głosu rozsądku,
usłyszeć wezwanie przez dość czujny sen.

Otworzyć oczy, cicho się uśmiechnąć.
Zetrzeć łzę i w końcu się obudzić.

— — —

— Nieustanny sen — czyli człowiek nie rozumie, że śpi? — zapytałem.

— Oczywiście — odpowiedział. — Jeśli rozumie, to już niemal przebudzenie. Śni mu się rzeczywistość — po prostu widzi ją przez siebie.

— A jak inaczej patrzeć?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ale czasem można zauważyć soczewkę — łzę.

— Od czego ona jest?

— Sam zdecyduj.

— Wygodna pozycja autora — zmarszczyłem brwi.

— A chciałeś, żebym wszystko wytłumaczył z góry? Sam nie zawsze wiedziałem. Najpierw przychodzi obraz, wyjaśnienie pojawia się po latach.

— Łza — soczewka, powiększa wszystko? I strach, i radość?

— Tak.

— To czemu człowiek nie może po prostu wybrać radości?

— Bo emocje nie przełączają się jak kasety. Psychika jest bardziej skomplikowana niż magnetofon. Choć czasem soczewka pokazuje coś ważnego — strach może zauważyć realne niebezpieczeństwo — i jednocześnie powiększa je ponad miarę.

— Jak odróżnić?

— Sprawdzać — uśmiechnął się kpiąco. — Znowu tester, a jeszcze nawet nie doszliśmy chronologicznie do tej pracy.

— Ale już stamtąd rozmawiasz — zgodziłem się.

Znów przeczytał długie wersy.

— Nie wydaje ci się, że tu jest zbyt rozmaszyste?

— O to właśnie chodzi. Wcześniej bałem się stracić formę. Tutaj — znalazłem inną. Położkowa pokazała, że wers może się skończyć tam, gdzie kończy się oddech. Rym może przyjść później, metrum się zachwiać.

— I to wciąż jest wiersz?

— Oczywiście. Pytanie nie brzmi, czy brak zasad, lecz czy tekst utrzymuje wewnętrzny ruch. Inaczej wolność zamienia się w przypadkowość.

Spojrzał na listę — Śiwę, Morfeusza, radzieckich komików, prymus, Jezusa.

— Prawie kulturowa zupa.

— Po raz pierwszy pozwalasz skojarzeniom pojawiać się bez przepustki na wejściu. Wcześniej każde musiało udowodnić, że pasuje do wzniosłego tematu.

— A jest jakiś temat?

— Jest. Po prostu już nie boi się sąsiedztwa z komarem i sokiem pomarańczowym.

Roześmiał się, potem znów spoważniał.

— Nic nie obudziło organizmu — czemu?

— Bo jest zmęczony szukaniem magicznego sposobu na przebudzenie. Muzyka, joga, książka, inny człowiek — każde pomaga, ale żadne nie wykona za ciebie całej pracy. Drzwi można pokazać. Nogę trzeba przestawić samemu.

Wrócił do prymusa.

— Znowu Bułhakow. Znowu czytałem, i znowu zobaczyłem inną książkę.

— Bo zmienia się nie książka. Czytelnik. Babcia tak mówiła.

— I tutaj zobaczyłem religię — przejście od starego świata do nowego, zburzenie dawnej formy.

— A Jezus został — w niedziele.

Uśmiechnął się kpiąco, potem spoważniał.

— Nie wydaje ci się, że przechodzę się tu zbyt złośliwie?

— Wydaje się. Ale nie trzeba łagodzić — to było wtedy twoje prawdziwe nastawienie. Wolność wypowiedzi nie zwalnia z odpowiedzialności, tylko że tutaj krytykujesz system i swoje jego postrzeganie, a nie twierdzisz, że każdy wierzący jest głupi.

— A jeśli komuś kościół naprawdę pomaga?

— Wtedy twoje doświadczenie go nie unieważnia. To nie uniwersalny referat, lecz twoje spojrzenie w tamtej chwili. Teraz ostrożniej oddzielałbym wiarę od instytucji: za tą samą monetą przy wejściu mogą stać zupełnie różne wewnętrzne wydarzenia. Ktoś wrzuca ją z przyzwyczajenia, ktoś z wdzięczności, a ktoś naprawdę się modli.

— Stałeś się mniej wierzący?

— Raczej mniej pewny wszelkich gotowych opisów.

Przeszedł do komnat, do których nie wpuszcza się nawet bogów.

— Czemu człowiek się zamyka?

— Bo nie dostał odpowiedzi — ani od Boga, ani od ludzi, ani od systemów. I tworzy obraz, w którym samotność wygląda jak wybór. Choć często była to obrona. Jeśli samotność daje siłę do powrotu do ludzi — to odosobnienie. Jeśli przekonuje, że nikt nie jest potrzebny — to już twierdza.

— Czyli nawet przebudzenia można się bać?

— Bardzo. Po nim trudno kontynuować przyzwyczajony sen.

Spojrzał na finał.

— „Zatęsknić, spragnionym być głosu rozsądku” — nie Boga, nie duszy. Czemu?

— Bo zbyt wiele już rozmawiało. Potrzebny był głos, który choć trochę poskłada obraz. Choć teraz nie ufam też w pełni rozsądkowi — on też potrafi służyć każdej opowieści, którą człowiek chce udowodnić. Słucham kilku głosów: rozumu, ciała, uczuć.

— A kto decyduje?

— Ty. To się nie zmienia.

Przeczytał ostatni wers.

— „Zetrzeć łzę i w końcu się obudzić” — dobrze się zamyka. Początek i koniec trzymają całą tę rozrzuconą drogę.

— A co pojawia się, kiedy ją ścieram?

— Nie obiektywna Prawda. Za jedną łzą może być kolejna.

— Nieskończone przebudzenie?

— Wygląda na to. Po prostu w każdej konkretnej chwili zdjęcie jednej soczewki wydaje się ostateczne.

Milczał chwilę.

— Mówiłeś, że tu znalazłem wolność w języku. A w życiu?

— Częściowo. Tekst jest bezpieczniejszy od rzeczywistości — można w nim złamać zasadę i zobaczyć, co się stanie. Uczyłeś się nie kończyć wersu tam, gdzie się od ciebie tego oczekuje. Potem zacząłeś robić to samo z decyzjami.

— Forma zmieniła mnie, czy ja zmieniłem formę?

— Nie wiem. Niech będzie jednocześnie.

Ponownie przebiegł wzrokiem po wierszu.

— Jest tu zbyt wiele naraz — powaga i żart, Bóg i radziecki komik, strach i radość w jednej łzie.

— Właśnie to jest tu ważne.

— A co dla ciebie teraz znaczy się obudzić?

Zamyśliłem się.

— Zauważyć, którą historię teraz uważam za jedyną rzeczywistość. Że mnie nie szanują. Że jestem winien wszystkim pomóc. Że jeśli się zatrzymam — niczego nie osiągnę.

— I ona znika?

— Nie. Ale pojawia się dystans między mną a myślą.

— I co robić z tym dystansem?

— Czasem nic. Po prostu nie reagować w tej samej sekundzie. Przebudzenie wygląda dużo bardziej prozaicznie niż w wierszach — czasem to po prostu wiadomość, której nie wysłałeś w gniewie.

Westchnął rozczarowany.

— A ja wyobrażałem sobie coś wielkiego. I Śiwa nie pomógł?

— Nie. Pomógł zauważyć, że śpisz — a obudziłeś się sam.

— Sam sobie pigułka?

— Częściowo. Nikt nie budzi się całkowicie sam — ale ostatni ruch zachodzi wewnątrz.

— To po co książka?

— Żeby czytelnik zauważył własną łzę. Nawet jeśli zobaczy coś zupełnie innego — tym lepiej. Może znaleźć to, czego ty nie mogłeś mu dać.

— Czyli autor nie jest potrzebny?

— Jest potrzebny, żeby zostawić ślad. Niekoniecznie drogowskaz.

Znów spojrzał na długie wersy.

— A jednak dobrze to napisałem.

— Bardzo żywo. Choć jest tu jeszcze wiele młodzieńczej chęci wytłumaczenia ludziom, że śpią — trochę ironiczne obok myśli, że człowieka nie da się obudzić wbrew jego woli.

— Czyli sam sobie przeczę.

— Jesteś w przejściu: już nie ufasz gotowym nauczycielom, ale wciąż chcesz sam stać się kimś, kto wszystko odkryje.

— A teraz?

— Staram się zapraszać. Nie zawsze się udaje — czasem znowu tłumaczę zbyt długo.

Spojrzał na objętość rozdziału i się roześmiał.

— Widać.

— Może pora zetrzeć łzę i skończyć? — powiedziałem.

Zamknął oczy. Potem powoli otworzył.

— Obudziłem się?

— Nie wiem. Widzę tekst. Za nim — siebie.

— A jeszcze głębiej?

Uśmiechnął się.

— Nie śpiesz się. Niech następna soczewka na razie zostanie na miejscu.

Za oknem ktoś metodycznie trąbił w korku. Zupełnie zwyczajny, powszedni dźwięk — i z jakiegoś powodu to właśnie on przywrócił nas oboje do pokoju.

ROZDZIAŁ 26

Cykl

Niektóre wiersze pisze się w jeden wieczór. Z „Cyklem” wszystko przebiegało inaczej — zaczął powstawać jeszcze w Polsce, zachowałem pierwsze wersy w notatkach Telegramu i potem wracałem do nich raz za razem: próbowałem kontynuować, nic nie wychodziło, odchodziłem.

Z zewnątrz wygląda to jak brak pracy. Ale brak nowych wersów nie oznacza, że wiersz przestaje powstawać — czasem tekst pisze się przez cały czas, gdy autor go nie dotyka. **Autor jeszcze nie stał się człowiekiem zdolnym dokończyć własny tekst.** „Cykl” powstawał przez około trzy lata — nie przez stopniowe dopisywanie, lecz przez kilka podejść do zamkniętych drzwi. Ostatni raz otworzyłem tę notatkę już w Wietnamie, i tekst nagle złożył się niemal w całości.

Tytuł na początku oznaczał krążenie ludzkiego istnienia: narodziny, zachwyt, poszukiwanie, zapomnienie, zmęczenie, powrót. Ale teraz cykl widzę też w historii powstawania samego tekstu — nawet pusta strona była częścią tego cyklu.

Pierwsza strofa — „wyszli na ulicę młodzi bogowie” — mówi o powtórzeniu jednego impulsu na różnych poziomach: człowiek, ptak, tłum, bóstwo. Życie dąży na zewnątrz, wypełnia formę. Ciało to tymczasowy pałac dla czegoś większego; świat to kolejny pałac. A serce w następnej strofie bije jak dzwon na trwogę

właśnie dlatego, że radość też jest za wielka dla ciała — szczęście nie uspokaja, powoduje napięcie, jak każde silne uczucie, które naczynie ledwie mieści.

Dalej rodzą się główne pytania — „kim i po co jestem?”. Wciąż wydaje mi się, że to jedno z najważniejszych pytań dostępnych człowiekowi — nie dlatego, że istnieje krótka odpowiedź, lecz dlatego, że samo pytanie zmienia tego, kto zadaje je na serio. Choć teraz jestem ostrożniejszy z myślą, że każdy koniecznie musi do niego dojść: ktoś może przeżyć życie, prawie go nie formułując, i być przy tym uczciwszy i bardziej żywy.

Strofa o nauce — ewolucji, wybuchu, „klocku Lego” stworzenia świata — celowo miesza poważne modele powstania świata z niemal dziecięcym obrazkiem. **Budujemy piękne opakowania dla pustki, której nie potrafimy znieść bez formy.** I zaraz obok — strach przed rozbitym korytem z bajki o rybaku i złotej rybce: można latami budować system statusu i pieniędzy, a potem odkryć się w tej samej kałuży, z której się zaczynało.

Wieczorem zmęczeni bogowie znajdują się w barze — i to nie tylko obserwacja innych: ja też szukałem ulgi w czymś, co niczego nie rozwiązywało. W tych zmęczonych bogach widziałem też starszego brata — jego imprezy i wolność, za którą płacili inni. Ale różnica między nami nie jest na tyle duża, żeby postawić go w wierszu jako czarny charakter, a siebie zostawić na zewnątrz.

Finał — „ponurzy bogowie idą do domów” — to nie ostateczny wniosek, lecz właśnie zamknięcie koła. Ale każde koło zostawia jednak ślad: człowiek wraca do starego pytania trochę inaczej, niekoniecznie mądrzejszy, ale z nowym doświadczeniem. **Powtórzenie może być nie karą, lecz sposobem uczenia się — zauważyć sytuację wcześniej, nie wtedy, gdy już siedzi się przy rozbitym korycie.**

— — —

Cykl

Radość wypełniła komnaty ciała.
Wyszli na ulicę młodzi bogowie.
Wyszli pod dach świętego pałacu,
wzniesionego myślą ojca-mędrca.

Uderzenia serca, jak dźwięki dzwonu na trwogę,
głośniejsze niż grzmoty groźnej burzy.
Rwie się, pragnąc przebić się na zewnątrz,
skurczami bije o cienką skórę.

Ach, ile światła i ziemskiego szczęścia
ciało, niestety, zakuło w kajdany.
Ile miłości i boskiej rozkoszy
kryją głębokie śniegi zapomnienia.

Oddałbym wszystko — i włóczyłbym się po świecie
w poszukiwaniu żywotnie ważnych odpowiedzi.
Kim i po co jestem? Skąd i dokąd?
Gdzie ten, kto nam podarował ten cud?

W każdym z nas jest okruch Władcy.
Stado — świadomość, żyje w każdym ptaku.
Sens lotu tkwi w jego doznaniach,
w chwilach, które przepełniają życie.

Wiele teorii rodzi nauka:
dzieci naczelnych, skutek dźwięku,
produkty wielkiego wybuchu i rozpadu,
sprytnie przemyślany klocek Lego.

Cokolwiek wymyślisz — wszystko takie ciekawe.
Najważniejsze, żeby masom nie było mdło.
Sens polega tylko na tym, że odpowiedź jest niepotrzebna.
Strach ogarnia przy rozbitym korycie, w kałuży.

Wieczorem ciało w parze ze zmęczeniem
szuka wolnego miejsca przy barze.
Zamiast wygodnej, czystej pościeli —
nocne: „Kocham”, „Kupię”, „Lecimy”.

Ale nalatawszy się, pora wylądować —
z tym wcale nie jest łatwo się pogodzić.
Niestety, nie da się opuścić znudzonej świątyni.
Ponurzy bogowie idą do domów.

— — —

— Pisałeś to trzy lata? — zapytałem, patrząc na datę pierwszej notatki.

— Mniej więcej. Ale nie codziennie — czasem miesiącami w ogóle nie otwierałem notatki.

— To czemu mówisz, że pisałeś trzy lata?

— Bo przez cały ten czas to nie znikało. Praca trwała — tylko nie na stronie, lecz we mnie. Wracałem, próbowałem, słyszałem: to nie to.

— Wewnętrzny przyjaciel milczał?

— Albo źle pytałem. A w Wietnamie się złożyło — pewnie przeżyłem niezbędną część drogi, po której zdołałem napisać o ponurych bogach wracających do domu. Wcześniej widziałem tylko wyjście: radość, światło, poszukiwanie. A lądowania nie umiałem przyjąć.

Ponownie przeczytał pierwszą strofę.

— Młodzi bogowie to ludzie?

— Tak. W każdym jest cząstka czegoś ogromnego.

— Jesteś pewny?

— Nie. Ale lubię tak patrzeć — to daje godność. Nie tylko mędrcowi na szczycie, ale i pijanemu człowiekowi, który znowu sobie kłamie. Jeśli idea jest słuszna, to i w nim jest ten sam okruch. Po prostu zapomniał.

— Czyli zadanie polega na przypomnieniu sobie?

— Wygląda na to. Znowu „Nasi ukochani” — wszystko się łączy.

Przeszedł do drugiej strofy.

— Serce próbuje się wyrwać z ciała — z radości czy z niepokoju?

— Można przeczytać i tak. Miałem na myśli zachwyt: wrażenie, że w środku jest więcej życia, niż naczynie

potrafi pomieścić.

— Ciało — kajdany?

— Wtedy wydawało się dziwne, że wszystko ogromne trzeba przeżywać przez tak małą formę. Teraz bardziej widzę, ile jednak ono pozwala. Bez skóry nie byłoby skurczów — ani dotyku. Bez serca — dzwonu na trwogę, i życia.

Doszedł do pytań „kim i po co jestem".

— To najważniejsze?

— Wtedy tak mi się wydawało. Teraz nie jestem pewny, że człowiek musi się tym cały czas zajmować — można się tak zaangażować w pytanie „kim jestem", że przestać być kimkolwiek w konkretnym życiu. Ale ostatecznej odpowiedzi nie będzie, i może nie chodzi o odpowiedź: każde prawdziwe pytanie trochę zmienia tego, kto je zadaje.

Przeczytał strofę o ptakach i Władcy.

— „Stado — świadomość, żyje w każdym ptaku" — to naukowe?

— Nie jestem pewny. Może proste reguły ruchu każdego ptaka tworzą złożone zachowanie stada. Obie wersje są ciekawe — cokolwiek wymyślisz, wszystko jest ciekawe. Masz rację, choć nauka rodzi modele, żeby tłumaczyć obserwowane zjawiska, a nie żeby masom nie było mdło — tu jesteś wobec niej niesprawiedliwy. Rozrywka wokół nauki to już rynek poboczny.

— Ale opakowania istnieją.

— Oczywiście. Każdy system, łącznie z moją dzisiejszą ostrożnością, może zamienić się w towar albo tożsamość.

Ponownie przeczytał: „strach ogarnia przy rozbitym korycie, w kałuży”.

— Co dokładnie jest straszne?

— Zmarnować życie na pogoń, dostać wszystko, stracić — i odkryć, że nigdzie nie doszedłeś.

— Może staruszce po prostu było mało?

— Dobra obrona uzależnienia: zawsze wydaje się, że następnym razem na pewno się nasyci.

Przeszedł do baru.

— Ludzie są zmęczeni i chcą się napić, usłyszeć „kocham” — na czym problem?

— Na tym, że rano nikt nie zamierza odpowiadać za nocne słowa. Uczucie może być prawdziwe i krótkotrwałe — po prostu drugiej osobie ważne jest znać termin ważności obietnicy.

— Ty też tak robiłeś?

— Oczywiście. I nie żałuję wszystkiego — nie każda noc musi stać się lekcją. Ale tutaj pisałem o momencie, gdy zabawa się skończyła, a pustka została. Wtedy właśnie pojawia się brat w tym obrazie — jego imprezy, jego wolność, za którą płacili inni. Choć różnica między nami nie jest tak wielka: ja też szukałem ulgi w czymś, co niczego nie rozwiązuje.

Doszedł do finału.

— Czemu świątynia jest znudzona?

— Ciało, zwykłe życie, forma, z której nie da się ostatecznie wyskoczyć. Na początku — święty pałac. Potem — bar. Potem — znowu dom.

— I rano znowu młodzi bogowie?

— Może, przynajmniej dopóki nie przypomną sobie wczorajszego dnia.

Roześmiał się, potem zapytał ciszej:

— A jeśli się nigdy nie skończy — gdyby „Cykl” tak i pozostał niedokończony?

Spojrzałem na niego.

— Wtedy może niedokończenie byłoby jego ostateczną formą.

— Nie lubię tak.

— Wiem. Chcesz postawić kropkę. Ale nie każdy początek musi być usprawiedliwiony końcem.

— Tutaj się jednak udało.

— Tak. Może dlatego, że dorosłeś do zdolności nieudzielania odpowiedzi. „Sens polega tylko na tym, że odpowiedź jest niepotrzebna” — trzy lata szukałeś zakończenia, a skończyłeś na tym, że zakończenie nie jest wymagane.

— A i tak napisałem ostatnią strofę.

— Człowiek jest sprzeczny.

Jeszcze raz przeczytał: „ponurzy bogowie idą do domów”.

— Smutne?

— Trochę. Ale może znowu wyjdą — już jutro, zanim przypomną sobie wczorajszy dzień.

— Oto on, cykl — uśmiechnął się kpiąco. — A my teraz gdzie jesteśmy?

— Może między powrotem do domu a następnym wyjściem. Czyli jest czas, żeby zdecydować inaczej.

— I co zrobimy?

— Na początek nie żądać od tej chwili wytłumaczenia całego życia. Po prostu ją przeżyć.

Kiwnął głową. Po raz pierwszy brak kontynuacji nie wydał nam się porażką. Zamknęliśmy notatkę. Praca trwała dalej.

ROZDZIAŁ 27

Inspiracja

Do tego czasu zacząłem już traktować poezję nie jako przypadkowe zajęcie — stało się jasne, że pisanie już ze mną zostanie. Więcej czytałem innych autorów i pozwalałem sobie odchodzić od przyzwyczajonej formy: przestawiać słowa, łamać porządek, składać wyrażenie tak, jak było potrzebne akurat wtedy.

Dlatego w wierszu pojawia się celowo dziwne „napełnia cię jeszcze mocniej niż wcześniej" zamiast utartego zwrotu. **Język nie jest nieruchomą konstrukcją — można go giąć i sprawdzać, jak daleko potrafi się posunąć, nie tracąc sensu.**

Samą inspirację odbierałem niemal jak wszechogarniające uczucie miłości: niesie cię, wydaje się, że możesz rękami dosięgnąć nieba, stojąc po kolana w rzece zapomnienia. Ale wiersz nie jest tylko o przyjemnej stronie słowa. Elokwencji można używać jako pomocy, a można, sądząc, że leczysz człowieka, trafić dokładnie w jego bolące miejsce — stąd „zakazany cios w wątrobę". Szczerość jeszcze nie gwarantuje delikatności: można powiedzieć słuszną rzecz komuś, kto nie jest gotów jej usłyszeć.

Dalej pojawia się dzieciństwo — nie dlatego, że było beztroskie, lecz dlatego, że wspomnienie umie wygładzać, a większość takich ciosów zadaje dziecko wewnątrz dorosłego: potrzeba uznania, chęć wydania się silniejszym. Tłum gotów wszystko zaakceptować nie pomaga w rozwoju — **wsparcie i nieustanna**

aprobata to nie to samo.

Finał wraca do konkretnej chwili: noc, nie śpię, w słuchawkach Wind of Change, i inspiracja znów przychodzi w gości — nie jako olśnienie, lecz jak stary znajomy, który wie, że drzwi czasem zostają otwarte. Wcześniej wiersze powstawały z konieczności przetrwania bólu. Tutaj — bo sam proces stał się już jedną z form życia.

— — —

Inspiracja

Czy obserwowaliście inspirację —
żeby aż do odrętwienia w czaszce?
Żeby jakby rękami sięgnąć do nieba,
stojąc po kolana w rzece zapomnienia?..

Ile razy przytłaczającą beznadzieją
ciało znów zostało zgięte na kolanach?
Siła, którą większość neguje,
napełnia cię jeszcze mocniej niż wcześniej.

Czy często, okiełznawszy elokwencję,
zamiast leczyć słowem tylko rany,
zadałeś swojemu rozmówcy
zakazany cios w wątrobę?

Wiele powiedziano szczerze,
tak, by na zawsze wryło się w pamięć, ale
rozpływamy się we wspomnieniach
beztroskiego, niefrasobliwego dzieciństwa.

Wulgarnością i bezczelnością
zajęliśmy sobie myśli całkowicie.
A luki w rozwoju umysłowym
karmimy przychylnością tłumu.

Noc. Nie śpię. Bicie serca.
Wind of Change. Śpiew ze słuchawek.
Przemykają nutki niepokoju —
inspiracja znów przyszła w gości.

— — —

— „Jeszcze mocniej niż wcześniej” — przeczytałem. — Specjalnie przestawiłeś słowa?

— Oczywiście — uśmiechnął się. — Bo mogłem. Dopiero zaczynałem rozumieć, że język pozwala na dużo więcej, niż mi się wydawało.

— Przecież jest utarty zwrot.

— Wiem. Przebudowałem go. Stał się mój — a dla wiersza to czasem wystarczy, nawet jeśli czytelnik uzna, że po prostu się pomyliłem.

Ponownie przeczytał pierwszą strofę.

— „Czy obserwowaliście inspirację?” — a ty sam ją teraz obserwujesz?

— Tak. Jakbym mógł dosięgnąć nieba — nie dosłownie, ale wszystko wewnątrz staje się ogromne.

— Znowu soczewka, jak w „Śnie”?

— Podobnie. Tylko tam była łza, a tutaj fala. Nie zapominasz problemów — po prostu na chwilę przestają być jedyną treścią głowy.

— Czyli inspiracja to środek przeciwbólowy?

— Nie tylko. Środek przeciwbólowy zwraca w to samo miejsce. A po inspiracji czasem przynosisz coś z powrotem — decyzję, wiersz, inne poczucie siebie.

Przeszedłem do trzeciej strofy.

— Czemu akurat cios w wątrobę?

— Grubo, cieleśnie, od razu się czuje. Często próbowałem leczyć ludzi słowami — nie zawsze dlatego, że prosili. Wydawało mi się, że to pomoc. A dla nich czasem był to cios: można powiedzieć słuszną rzecz komuś, kto nie jest gotów jej usłyszeć.

— Czyli trzeba milczeć?

— Nie zawsze. Nie znam dokładnej reguły — nie stałem się mędrcem po jednym wersie o niepragnącym wiedzy. Znowu cykl.

— A dobra intencja nie usprawiedliwia?

— Nie. Człowiek może wyrządzić ogromny ból z najlepszymi intencjami. Ważne jest jedno i drugie: intencja pokazuje, czemu postąpiłeś, wynik — co naprawdę zrobiłeś. Jeśli wynik jest zły, trzeba odpowiadać, nawet jeśli chciałeś dobrze.

— Teraz to potrafisz?

— Czasem. Częściej najpierw tłumaczę, że nie chciałem urazić. Ale zacząłem przynajmniej zauważać, że to nie unieważnia cudzego bólu.

Przeczytał strofę o dzieciństwie.

— Naprawdę było beztroskie?

— Nie zawsze. Po prostu wspomnienie umie wygładzać, i chciałem mieć w tekście chociaż takie dzieciństwo.

— Znowu piękna historia? Sam sobie kręcisz, jak wewnętrzny przyjaciel.

— I poprawiam się po latach. Pamięć działa bez terminów.

Spojrzał na strofę o wulgaryzmach.

— Podobne do mnie — uśmiechnął się kpiąco.

— Bardzo. Czasem grube słowo jest uczciwsze niż długa, neutralna konstrukcja. Ale jeśli każdą emocję wyrażać tą samą grubiaństwem, język ubożeje. Pytanie, co robi konkretne słowo — tutaj dodaje uśmiechu, nie czytasz morału, lecz przyznajesz się do ogólnej ludzkiej głupoty i włączasz się w nią.

— A tłum jest przychylny.

— Bardzo pożyteczna rzecz dla miłości własnej. Wsparcie i nieustanna aprobata to nie to samo: jeśli wszyscy chwalą, łatwo uznać, że nie ma już gdzie się rozwijać. Potrzebni są ludzie zdolni do czegoś więcej niż tylko klaskania.

— Jak ty?

— Ja też czasem zbyt łatwo się zachwycam. Staram się teraz odróżniać wsparcie od pochlebstwa. Nie zawsze się udaje.

Doszedł do finału.

— Pamiętasz tę konkretną chwilę — noc, Scorpions?

— Tak. Leżę, gra muzyka, i rozumiem: zaczyna się. Czasem wersy przychodzą gotowe, czasem najpierw tylko rytm — i jeśli nie wstaniesz i nie zapiszesz, zniknie.

— Co wtedy czujesz?

— Jakby ktoś przyszedł. Nie muza — zbyt patetycznie. Po prostu inspiracja, już znajoma: nie pierwszy wiersz, ale może pierwszy moment, gdy zrozumiałem, że to nie przypadek — że będę dalej pisał.

— Już postanowiłeś zostać poetą?

— Nie. Raczej człowiekiem, który pisze. „Poeta" brzmi jak tytuł, a pisanie to czynność. Słowo wymaga wewnętrznego przyzwolenia, a je jeszcze trzeba od kogoś dostać — od siebie, od czytelników, od wyimaginowanej rady prawdziwych poetów.

— A gdyby nikt nie przeczytał?

— Chciałbym, żeby czytano. Ale pewnie i tak bym pisał — po prostu czasem myśl staje się prawdziwa dopiero wtedy, gdy znajduję dla niej formę.

— Czyli inspiracja nie przychodzi po szczerości? Mówiłeś, że pojawia się, gdy przestajesz sobie kłamać.

— Ładnie powiedziane, ale nie zawsze — przychodzi też do człowieka, który świetnie sobie kłamie. Szczerość jest ważna nie po to, żeby tekst powstał, lecz żeby wytrzymał spotkanie ze mną po latach.

— A tutaj jestem szczery?

— Tak. Nie udajesz, że inspiracja zamienia cię w proroka — przychodzi wśród wulgaryzmów i nocnego

Scorpions, czyli wśród zwykłego życia. W tym właśnie jej siła.

Uśmiechnął się.

— Co w ogóle zmieniło się po tym wierszu?

— Zacząłeś ufać pisaniu — przestałeś traktować każdą udaną linijkę jako przypadek. I zacząłeś odczuwać język nie tylko jako narzędzie przekazywania gotowej myśli: sam stał się miejscem, gdzie myśl powstaje. Nie zawsze najpierw myślisz, potem zapisujesz — czasem przestawiasz słowa i odkrywasz sens, którego wcześniej nie było.

— „Jeszcze mocniej niż wcześniej”.

— Na przykład. Żart też potrafi otworzyć wolność.

Jeszcze raz przeczytał finał.

— „Inspiracja znów przyszła w gości” — proste zakończenie.

— Dlatego działa. Po wszystkich pytaniach i ciosach zostaje scena z życia codziennego: stary znajomy przyszedł w nocy, a ty go wpuściłeś.

— I od tamtej pory przychodzi częściej?

— Czasem. A kiedy nie przychodzi — praca i tak trwa dalej. To już z „Cyklu” — teksty rozmawiają ze sobą.

— To czemu wiersz nazwano na jej cześć, skoro nie jest najważniejsza?

— Bo tamtego wieczoru to właśnie ona była najważniejsza. Nie każda prawda musi być ostateczna.

W słuchawkach znów zabrzmiała znajoma melodia.

— Słyszysz? — zapytał. — Przyszła?

Nasłuchiwałem. Serce biło spokojnie. Żadne nowe wersy się nie pojawiały.

— Jeszcze nie.

Uśmiechnął się.

— Nic nie szkodzi.

Melodia dograła do końca i urwała się ciszą — tą samą, w której zwykle rodzą się kolejne wersy.

ROZDZIAŁ 28

Nie budujcie zamków z piasku

To jeden z wcześniejszych wierszy. Powstał dzień po „Geniuszu wolności” — tym samym tekście poświęconym bratu, którym się wtedy szczerze zachwycił: chodził w kółko, czytał go ponownie, mówił „zazdroszczę ci, że to nie ja to napisałem”, i przez jakiś czas nawet nosił tę kartkę przy sobie.

Dla młodego autora taka reakcja powinna była być niemal idealna. Ale mnie to rozzłościło: brat usłyszał „Geniusza wolności” i zupełnie nie usłyszał tego, co mu powiedziano. Napisałem tamten wiersz z wątpliwością — pytałem, czy za jego wolnością nie kryje się pustka. A on usłyszał w nim zachwyt nad sobą. **Duma zamiast pytania.**

Dlatego następnego wieczoru napisałem jeszcze jeden, już bardziej wprost — niemal bez nadziei, że aluzja zostanie zrozumiana tam, gdzie nie została zrozumiana poprzednia.

Widziałem, jak brat nieustannie błądzi między fantazjami, pomysłami, narkotykami, imprezami, różnymi wersjami samego siebie. Teraz mogę to nazwać poszukiwaniem. Ale wtedy przede wszystkim widać było co innego: **kiedy on szuka siebie, płacą za to ludzie wokół** — rodzina, kobiety, dzieci, bliscy, którym jego wewnętrzne podróże przynosiły skutki wcale nie poetyckie. Brat był zdolny, mądry, i czuło się w nim duży wewnętrzny kapitał — jak lokata bankowa, którą człowiek dostał na początku życia i

długo wydawał, prawie nic nie dokładając z powrotem. Za każdym razem wydawało się, że zapas jest jeszcze ogromny. Ale wewnętrzny wkład też się kiedyś kończy, jeśli się go tylko wypłaca.

Druga strofa ostrzega przed iluzjami — nie dlatego, że fantazja jest bezużyteczna, lecz dlatego, że iluzja różni się od wyobraźni tym, iż człowiek zaczyna żyć tak, jakby wymyślone już zastąpiło rzeczywiste. Rzeczywistość pyta: co naprawdę zrobiłeś, komu pomogłeś, za kogo odpowiadałeś? I pewnego dnia nie pomoże już ciepła dłoń mamy — nie dlatego, że matka przestała kochać, lecz dlatego, że nie da się w nieskończoność zwracać dorosłego do stanu dziecka, któremu wszystko się wybaczy i za które znowu posprząta się zniszczenia.

Trzecia strofa brzmi niemal paradoksalnie w książce zbudowanej całkowicie na rozważaniach. Ale nie chodzi o myślenie jako takie: można myśleć, żeby widzieć jaśniej, a można — żeby nigdy nie działać, rozkładając każdą decyzję na tysiąc wersji. Tak można mądrzyć się przez całe życie i odkryć, że za rozważaniami nie ukształtował się człowiek zdolny odpowiadać za swoje czyny.

Ostatnia strofa kończy się bezpośrednim wezwaniem: nie grać świętego, nie grać grzesznika, nie odgrywać proroka ani niezrozumianego artysty. **Pobyć człowiekiem — ze słabością, ograniczeniami, koniecznością czasem robić nudne rzeczy i słuchać drugiego.**

Wtedy pisałem to do brata. Teraz rozumiem, że większa część tego wezwania wróciła do mnie — ja też budowałem zamki z piasku, też przymierzałem to Boga, to diabła na swojej małej scenie. Ale wtedy, dzień po „Geniuszu wolności”, nic z tego się nie wydarzyło: wiersz znów pozostał nieusłyszany, tylko z innym znakiem. Jeden wzięto za pochwałę. Drugi, wydaje się, po prostu przeoczono. **Czasem słowa nie docierają do adresata. Ale zostają, żeby poczekać na autora.**

— — —

Nie budujcie zamków z piasku, nie budujcie!

Nie budujcie zamków z piasku, nie budujcie!
Roztopią się jak wiosenny lód.
Lepiej śpiewajcie piosenkę na Ziemi,
niż wysyłać myśli w lot.

Nie odchodźcie w świat zwodniczych iluzji.
Tam, jak dawniej, rządzi pustka.
Nie da się uniknąć psychicznych kontuzji,
i nie pomoże ciepła dłoń mamy.

Nie rozpływajcie się w głupich rozmyślaniach.
Przecież nie pomogą, więc po co,
próbując znaleźć logikę w wyparciach,
mądrzyć się całe życie i zostać nikim.

Nie słuchajcie cudzych szablonowych opinii.
Spróbujcie przeżyć choć parę dni.
Zamiast grać na scenie diabła czy Pana —

pobądźcie człowiekiem, to przecież trudniejsze.

— — —

— Naprawdę powiedział, że zazdrości? — zapytałem, przypominając sobie tamtą reakcję na „Geniusza wolności”.

— Dosłownie tak — odpowiedział. — Z początku mi się to podobało. Potem zrozumiałem, że usłyszał coś innego niż to, co chciałem powiedzieć: tamten wiersz wątpił w jego wolność, pytał, czy za nią nie kryje się pustka. A on usłyszał pochwałę — tam, gdzie dla mnie było pytanie, dla niego zabrzmiało lustro, w którym się sobie spodobał.

— Miał się domyślić? Powiedziałeś wprost?

— Nie. Chciałem, żeby sam usłyszał — gdybym powiedział wprost, zacząłby się spierać.

— Ale zamiast tego zachwycił się sobą — zauważyłem.
— Wtedy napisałeś kolejny, następnego dnia, już bardziej wprost.

— I co?

Spojrzał w bok.

— Nic. Po prostu nie zareagował tak jak na „Geniusza wolności” — ani zachwytu, ani sporu.

— Czyli drugi pozostał nieusłyszany inaczej niż pierwszy. Ten wzięto za pochwałę. Ten, wydaje się, po prostu przeoczono.

— Oba razy mimo — westchnął. — To po co w ogóle pisałem drugi?

— Coś z tobą zrobił. Dopóki nie napisałeś, myśl mogła zostać tylko irytacją. Tekst nadał jej kształt.

— Ale powinien był chociaż coś zrozumieć.

— Wciąż mówisz „powinien”. Nawet bliski słucha przez własną soczewkę — może usłyszał to, co był wtedy zdolny usłyszeć.

— Wygodnie tłumaczyć wszystko niezdolnością — odparł ostro. — Ciągle odwalał głupoty, i żaden z moich tekstów go nie powstrzymał. Miałem prawo się złościć.

— Oczywiście. Nie usprawiedliwiam go — po prostu oddzielam zrozumienie od usprawiedliwienia. Poza tym drugi wiersz i tak jest bardziej wprost niż pierwszy. Nie pomogło. Bezpośredniość nie gwarantuje usłyszenia.

Trochę się uspokoił.

— Dlatego jest napisany w liczbie mnogiej — „nie budujcie”, „nie odchodźcie”. Bezpieczniej, jakbyś zwracał się do całej ludzkości, a nie konkretnie do niego.

— Ale mówiłeś przecież do niego.

— Nie chciałem zamieniać wiersza w osobistą pretensję. Albo zrobiłem z prywatnej historii coś szerszego — jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ponownie przeczytał pierwszą strofę.

— Zamki z piasku to jego fantazje: że wszystko się jakoś ułoży, że rodzina poczeka, że talent wszystko przykryje.

— A ty takich nie budowałeś?

— Budowałem. Pewnie już wtedy — pisałem też do siebie, nieświadomie. „Lepiej śpiewajcie piosenkę na Ziemi” — chciałem sprowadzić go w dół. Choć sam całe życie chodzę po górach i światach.

— Czyli różnica między wami nie jest absolutna.

— Nie mówiłem, że absolutna — zmarszczył brwi. — Ale przynajmniej próbowałem patrzeć. A on niszczył ludzi wokół siebie.

— Poszukiwanie nie zwalnia z odpowiedzialności za to, co dzieje się po drodze. Można szanować poszukiwanie i potępiać czyny.

— To po co mówić „pustka”? Widziałem, dokąd odchodzi — w iluzje. Może tam była nie pustka, lecz ulga.

— Ale potem zostawała pustka — widziałem efekt.

— Uczciwa obserwacja, ale niepełny opis jego wewnętrznego świata — powiedziałem. — Dwadzieścia lat próbowałeś go zrozumieć, wytłumaczyć, wesprzeć.

— I się zmęczyłem. Teraz się nie kontaktujemy.

— Czyli te wiersze były pierwszą próbą narysowania granicy. Choć granica na papierze i granica w życiu to nie to samo. Procesy rozciągnięte na lata.

Przeszliśmy do trzeciej strofy — o głupich rozmyślaniach.

— Lubił się mądrzyć — powiedział.

— A ty?

Roześmiał się.

— Też. Ale to go irytowało, bo nie widziałem za słowami działań. Choć za własnymi też nie zawsze widziałem — może irytowało mnie to, co znajome.

— „Mądrzyć się całe życie i zostać nikim” — okrutne. Naprawdę uważałeś, że stanie się nikim?

— Bałem się tego. Choć wers brzmi tak, jakby człowiek, który niczego nie osiągnął, był nikim. Teraz powiedziałbym ostrożniej: można całe życie tłumaczyć to, co się dzieje, i tak nigdy nie zacząć żyć.

— Czyli znowu próbowałeś leczyć ciosem — zakazanym, w wątrobę.

— Wtedy nie wiedziałem, co robię. Teraz widzę. Wiersz robi to, przed czym sam później przestrzega.

Przeszedł do ostatniej strofy.

— „Nie słuchajcie cudzych szablonowych opinii” — a sam wydajesz opinię.

— Nie szablonową. Dla ciebie — przyznał. — Wtedy szczerze uważałem, że uwalniam go od cudzych schematów własnym spojrzeniem. Niewielka różnica, jeśli się narzuca.

— A ostatni wers to główna prośba: „pobądźcie człowiekiem”.

— Przestań grać — diabła, Boga, wolnego artystę, niezrozumianego geniusza. Po prostu człowiek — ten, kto żyje, popełnia błędy, odpowiada, nie chowa się za obrazem.

— Sam takim byłeś?

— Nie. Czasem cudzy problem widzimy wcześniej — powiedział. — Teraz ten wers dotyczy mnie: dobrego człowieka, ratownika, mędrca też grałem. Boga — kiedy decydowałem, że wiem, jak inni powinni żyć. Diabła — kiedy ogłaszałem swoje czyny nieuniknioną mroczną naturą. Cała scena jest we mnie, jak niemal zawsze.

— Ale przecież pisałeś do brata.

— Oczywiście. Po prostu adresat z czasem się rozszerzył — najpierw do całej ludzkości, a trzeba było zacząć od siebie.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Pobądź człowiekiem — to przecież trudniejsze. Bo rola z góry tłumaczy, jak się zachować, a człowiek za każdym razem musi decydować od nowa, bez gotowej maski, i może się pomylić. Bogiem prościej — zawsze znasz prawdę. Diabłem też — można za nic nie odpowiadać: „taki jestem”. A człowiekiem trzeba przyznawać się do sprzeczności: kochać i się złościć, pomagać i być zmęczonym.

— To o bracie?

— I o mnie. I o nas.

Znów przypomniał sobie tamtą pierwszą kartkę z „Geniuszem wolności”.

— Dziwne, że ją zachował, a się nie zmienił.

— Miłość do tekstu nie równa się gotowości przeżyć jego sens. Może zobaczył w nim coś swojego — już się nie dowiemy.

— Chciałem, żeby zobaczył moje.

— Wiem. Chcieć — tak, żądać — bezcelowo. Osobiste wezwanie słyszy się najciężej, od razu chce się bronić. A pięknem mógł się zachwycić — było bezpieczniejsze niż sens.

Długo milczał.

— Czyli w „Geniuszu wolności” schowałem cios w piękne opakowanie. I rozzłościłem się, że pochwalił opakowanie, a nie zauważył ciosu.

— Bardzo podobne.

— Nieprzyjemne odkrycie.

— Za to prawdziwe — powiedziałem. — Oba wiersze nie są złe — została w nich twoja prawdziwa próba dotarcia do niego. Nieidealnie uczciwa. Ale żywa. I ostatni wers wciąż jest mocny — właśnie dlatego, że wypowiada go nie mędrzec, który już nauczył się być człowiekiem, lecz ktoś, kto tego żąda od drugiego, jeszcze nie rozumiejąc, ile lat sam będzie się tego uczył.

Ponownie przeczytał: „pobądźcie człowiekiem, to przecież trudniejsze”.

— Teraz brzmi inaczej. Nie wyrok.

— A co?

— Zadanie. Dla nas wszystkich.

Jeszcze chwilę patrzyliśmy na tę kartkę z „Geniuszem wolności”, którą brat kiedyś nosił przy sobie. Nie wiem, co dokładnie w niej kochał. Tekstu napisanego następnego dnia zdaje się nawet nie zauważył tak, jak pierwszy. Ale i pierwszy ostatecznie nie został usłyszany — po prostu inaczej. Dwadzieścia lat

później oba wezwania wróciły do tego, kto je napisał.

— No i co? — zapytał. — Udało się pobyć człowiekiem?

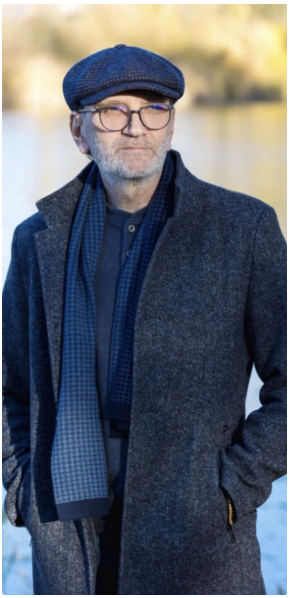
Chciałem odpowiedzieć ładnie. Potem zmieniłem zdanie.

— Czasami.

Kiwnął głową. Tym razem to wystarczyło.

ROZDZIAŁ 29

Szczęśliwy



Kiedy czytam ten wiersz ponownie, pierwsze, co wraca, to nie tekst, lecz jeden dzień w Wietnamie.

Do tego czasu wokół mnie stopniowo zaczęli pojawiać się ludzie, przy których chciało się pozostać sobą. Wybraliśmy się z namiotami nad brzeg słodkowodnego jeziora. Wokół szumiała dżungla, nieumilkająca ani na chwilę w nocy. Namioty, ognisko, pływanie, gitara, owoce, długie rozmowy. Później dołączyli do nas jeszcze inni — z wieloma z nich utrzymujemy kontakt do dziś.

Właśnie wtedy po raz pierwszy złapałem się na myśli, że zaczynają się spełniać słowa, które kiedyś

napisałem w wierszu „Żyjemy wczoraj”: „Jest z tobą armia przyjaciół”.

Ale wraz z tym przyszła też inna próba. **Przy nowych ludziach trzeba było uczyć się być prawdziwym.** Nie próbować wszystkim pomagać. Nie starać się wszystkich zrozumieć. Nie zasługiwać na swoje miejsce obok nich. Po prostu być.

Rano obudziłem się, gdy obóz już żył własnym życiem. Ktoś rozpalał ognisko, ktoś pływał, ktoś przygotowywał śniadanie. Gotowała się owsianka. Każdy spokojnie zajmował się tym, co lubił. Kiedyś usłyszałem prostą myśl: „Prawdziwy odpoczynek to taki, gdy każdy zajmuje się tym, co naprawdę lubi”. Chyba właśnie tak to wtedy wyglądało.

W pewnym momencie przepełniło mnie uczucie wolności i wdzięczności tak bardzo, że po prostu usiadłem i zacząłem pisać. **Po dziesięciu minutach wiersz był już gotowy.**

— — —

Szczęśliwy

Zachwyt wodą w oczach przy każdej nucie.
Uśmiech na policzkach przy każdej kropli potu.
I radość ze wszystkiego, co jest wokół.
Jestem szczęśliwy, SZCZĘŚLIIIWY, mój serdeczny przyjacielu.

Błogość, by ujrzeć barwy tego życia,
błogość, by zedrzeć przylepione maski

i dać własnej twarzy odetchnąć,
skierować ją do słońca i swobodnie się uśmiechnąć!

Nie patrzeć na zegar i po prostu być szczęśliwym!
Z chmury deszcz — spieszę spacerować w ulewie!
Naprzód, szybciej! Słyszę bicie serca…
Jestem szczęśliwy tu, teraz, mój wierny przyjacielu.

Niech noc okryje ziemię kołdrą.
Niech nadchodzący dzień zacznie wszystko od nowa.
Świt promieniem dotknie sennych oczu,
wabiąc w magiczną drogę po raz kolejny.

Po raz kolejny słyszę wezwanie Wszechświata.
Tak znajome i przenikliwe.
Wolny, pełen wiary i duszy przepełnionej,
jestem szczęśliwy, SZCZĘŚLIWY, ŻE ŻYJĘ, mój drogi!

— — —

— Opowiedziałeś o obozie. Ale prawie nic nie powiedziałeś o „serdecznym przyjacielu” — zauważyłem.

— Bo to już inna historia — odpowiedział.

— To opowiedz.

— Ma na imię Avi. Poznaliśmy się zupełnie przypadkowo jeszcze w Krakowie. Przyjechał do swojego syna Edwarda, a zamiast kilku dni zostali prawie dwa tygodnie. Przez cały ten czas rozmawialiśmy.

— Czym stał się dla ciebie taki szczególny?

— Nie tym, że czegoś mnie nauczył. Lecz tym, że przy nim można było po prostu być.

— Dlatego w wierszu pojawiają się maski?

— Myślę, że tak. Nie dlatego, że je ze mnie zdejmował. Lecz dlatego, że przy niektórych ludziach stają się niepotrzebne.

— Czyli „mój serdeczny przyjaciel” to Avi?

— Tak. Ale nie tylko.

— To kto jeszcze?

— Każdy człowiek, przy którym przestajesz czuć się samotny.

— I to jest szczęście?

— Nie. Szczęście to moment, gdy nagle rozumiesz, że już przestałeś nosić maski.

Gdzieś w ciemności wciąż szumiała dżungla. Ognisko dogasało. I tym razem nikomu nie trzeba było niczego udowadniać, żeby zostać przy ogniu.

ROZDZIAŁ 30

Do babci



Są ludzie, przy których przestaje się walczyć z życiem. Dla mnie taką osobą była babcia.

Kiedy wszystko się waliło, dzwoniłem do niej i mówiłem tylko jedno zdanie: „Babciu, zaraz będę”. Mieszkała mniej więcej godzinę drogi od miasta, i ta droga niemal zawsze wystarczała, żeby zacząć się uspokajać. W domu czekała na mnie ogromna filiżanka kawy z mlekiem, coś smacznego, długie rozmowy i poczucie, że świat może trochę poczekać.

Babcia bardzo mocno wpłynęła na moje życie. Była wolnościowa, samodzielna, uparta i pryncypialna — starała się zaszczepić we mnie te cechy, których nie

zdążył mi przekazać ojciec: nie można powiedzieć, że był zupełnie nieobecny, ale bywał obok mnie o wiele rzadziej, niż potrzebowałem. **Kiedy robiło się ciężko, kiedy wszystko się waliło i grunt usuwał mi się spod nóg, zbierałem się i jechałem do niej.** Wystarczyło wcześniej uprzedzić, że zaraz przyjadę. Przyjeżdżając, trafiałem jakby do oazy spokoju, gdzie nie trzeba było natychmiast rozwiązywać problemów, brać się w garść i znów stawać się silnym.

Kilka tygodni przed jej śmiercią znów u niej byłem. Wtedy rozpadł się interes, który prowadziliśmy z bratem, i zostałem bez pieniędzy i środków do życia. Zadzwoniłem do babci i powiedziałem: „Tym razem przyjadę na dłużej". Zbierałem w lesie jagody i grzyby, sprzedawałem je, żeby uzbierać najpierw na usługi agenta nieruchomości, a potem na kaucję za wynajmowane mieszkanie. Sytuacja nie była wcale radosna. Ale teraz widzę, jak dziwnie zmieniła moje położenie geograficzne i przybliżyła mnie do babci — jakby życie wiedziało, że wkrótce ją stracę.

Spędziliśmy razem jeszcze dwa, trzy tygodnie. Potem uzbierałem potrzebną sumę i wyjechałem do pracy w innym mieście. I tam dowiedziałem się, że jej nie ma.

Pamiętam bus, którym wracałem. Wszystko działo się jakby w niepamięci, ale wyraźnie widzę siebie przy oknie i pamiętam łzy, które płynęły gradem. Kiedy przyjechałem, trzeba było przygotować grób. Mężczyźni, którzy mieli go kopać, zdążyli się upić i do niczego już się nie nadawali. Miałem na sobie jasne

spodnie i sweter. Ze złości wziąłem łopatę, wygoniłem ich i zacząłem kopać sam. **Kopałem, płakałem i rozmawiałem z babcią.**

Wtedy postanowiłem zrezygnować z nikotyny — do tego czasu paliłem już około siedem lat, a ona zawsze marzyła, żebym rzucił. Zrezygnowałem też z alkoholu; później raz się załamałem, podczas rozstania z żoną, ale przez większość kolejnych lat nie piłem.

Po latach, siedząc już w Wietnamie, wciąż wspominałem babcię, w myślach z nią rozmawiałem i czasem pytałem ją o radę. Zapragnąłem stworzyć coś, co zachowałoby nie śmierć i nie pogrzeb, lecz to ciepło, które istniało przy niej. Dlatego w wierszu prawie nic się nie dzieje — jest muzyka, ciepła pogawędka, kawa Pele z mlekiem i cukrem, półlitrowy kubek, rodzimy piec, sen i czekanie na kwiecień. **Napisałem ten wiersz nie tylko o babci. Zachowałem miejsce, gdzie duszy było kiedyś spokojnie.**

— — —

Do babci

Może po prostu wszyscy cię już zmęczyli,
jak skrzypiąca huśtawka na podwórku,
jak zasypiające oczy, zamiecie
na miękkim, lecz samotnym łóżku…

Gdyby ktoś zaśpiewał piękną piosenkę
przy gitarze albo, w ostateczności, przy ukulele,
a potem — ciepła pogawędka, i kawa Pele, którą się

piło
z mlekiem i cukrem, i półlitrowy kubek — i wszystko,
tak naprawdę,

przestanie być aż tak ważne. Zasypiam, oddech
ledwie słyszalny…
Syty i głupi, i na piec, rodzimy i ciepły, jak Jemiela,
wgramoliwszy się, utonę we śnie, poplamionym
akwarelą…
Tak przespałbym zimę, marzec, i ocknąłbym się
dopiero w kwietniu,

kiedy wiatr już nie kłuje i ptaki wróciły do domu…

— — —

— Czemu napisałeś akurat o tym? — zapytałem.

— Bo bałem się zapomnieć to uczucie — odpowiedział.

— Nie babcię?

— Nie. Jej i tak nie zapomnę.

— To co?

— Jak przy niej robiło się cicho.

— Mówiła coś szczególnego?

— Nie pamiętam. Na pewno dawała rady. Ale teraz pamiętam nie słowa.

— A co?

— Jak można było przy niej po prostu być.

— Czemu właśnie do niej jechałeś za każdym razem, gdy robiło się ciężko?

Zamyślił się.

— Bo przy niej nie trzeba było na nic zasługiwać.

— Nawet na prawo, żeby zostać?

— Zwłaszcza na nie.

— Napisałeś wiersz o babci?

Pokręcił głową.

— Nie tylko. Napisałem wiersz o domu.

— A gdzie on teraz jest?

Uśmiechnął się.

— Czasem wystarczy otworzyć tę stronę — i znów pojechać do babci.

ROZDZIAŁ 31

A niebo też ma ręce



Niektóre wiersze nie zaczynają się od myśli. Najpierw pojawia się obraz.

Znajomy przysłał mi zdjęcie: jego dłoń z rozstawionymi palcami na tle nieba. Przyjrzałem się i nagle zobaczyłem między palcami jeszcze jedne ręce — niebieskie, niebiańskie. I pojawił się wers: „A niebo też ma ręce”.

Dalej wiersz popłynął niemal sam. Ręce nieba zaczęły żyć własnym życiem: podtrzymują człowieka, zasłaniają słońce, malują zachód, chowają łzy w deszczu, a na końcu stają się rękami anioła i prowadzą tekst do modlitwy. **Metafora nie stoi w**

miejscu — ręce nieba zmieniają funkcję, mogą być silne, poparzone, zmęczone, niemal ludzkie, ale należą do czegoś dużo większego od człowieka.

Niebo towarzyszy człowiekowi przez całe życie — „od chwili, gdy dziadek ciągnął rzepkę, aż po to zawołane «niech ci ziemia lekką będzie»”. Chciałem połączyć początek i koniec niemal brutalnym skokiem: między nimi mieści się całe życie, a niebo pozostaje nad człowiekiem przez cały ten czas. Dusi się razem z ludźmi od dymu i smogu, ale znosi to i nie oskarża — daje oddychać nawet tym, którzy to oddychanie coraz bardziej utrudniają. **Najważniejsze często kryje się pod tym, co najbardziej zwyczajne**: pada deszcz, chmura zasłania słońce — a poetyckie spojrzenie proponuje inną wersję: może ktoś właśnie zasłania nas ręką. Troska przy tym sprawia ból temu, kto się troszczy — niebo głaszcze słońce chmurami aż do oparzeń, ścierając dłonie, i mimo to pracuje dalej.

W przedostatniej strofie pojawia się bezpośrednia instrukcja — powtórzenie samego zdjęcia: podnieść rękę, spojrzeć między palcami, i może na tle chmury pojawią się skrzydła. A finał staje się modlitwą: po tym wszystkim, co się zobaczyło, słowa zaczynają wydawać się zbędne, i zostaje tylko gest — podnieść wzrok, uśmiechnąć się szczerze, zamilknąć.

Wiersz zyskał też własny los: przeszedł przez kilka rąk i głosów i, o ile wiem, znalazł się na festiwalu „Słowiański Bazar” na Białorusi, gdzie ktoś go recytował — sam go tam nie zaniosłem i nie znam tych, którzy przekazywali tekst dalej. **Autor**

zachowuje jeden konkretny moment. A czytelnicy stopniowo uwalniają go od pierwotnego zdjęcia — obraz staje się wspólny.

— — —

A niebo też ma ręce

A niebo też ma ręce.
Tylko nie każdy potrafi je zobaczyć.
Między palcami, dotykając skóry,
wierzy — może zauważysz je kiedyś.

Posiniałymi palcami mocno
trzyma tak, żeby nie upadać na duchu.
Od chwili, gdy dziadek ciągnął rzepkę,
aż po to zawołane „niech ci ziemia lekką będzie”.

Dusząc się od dymu i smogu,
daje radość oddychania bez reszty.
I nie śmie sprzeciwić się Bogu,
chowając łzy niepostrzeżenie w deszczu.

Niebo osłoni słońce rękami —
żebyśmy mogli odpocząć trochę w cieniu.
Będzie głaskać je chmurami,
ścierając dłonie aż do oparzeń.

Namaluje zachód słońca i mgiełkę,
żeby zakochanym było bardziej kameralnie.
O świcie zmieni obrazek,
uśmiechając się do zmęczonych i sennych.

Podnieś rękę do góry śmiało,
rozstawiając odrobinę palce.
Zobaczysz na białym tle —
skrzydła wyciąga do ciebie anioł.

Uśmiechnij się po raz pierwszy szczerze,
wznosząc oczy ku niebiosom.
Mówienie nie całkiem tu na miejscu.
Pomodlę się — usłysz mnie, Ojcze.

— — —

— Naprawdę od razu zobaczyłeś ręce, czy tylko przerwy między palcami? — zapytałem, patrząc na tamto zdjęcie.

— Najpierw przerwy. A potem nie dało się już tego odzobaczyć — odpowiedział. — Wiersz zaczął się nie wtedy, gdy wymyśliłem metaforę, lecz wtedy, gdy zdjęcie przestało być zwyczajne.

— Ale ręce nieba jednak wymyśliłeś ty.

— Zobaczyłem. To nie to samo: kiedy wymyślasz, czujesz, że tworzysz. A tutaj było wrażenie, jakbym zauważył to, co już było na zdjęciu — choć ktoś inny mógł tego nie zobaczyć. Czyli obraz powstał nie w przedmiocie i nie we mnie — gdzieś pomiędzy.

— Jak z tekstem i czytelnikiem.

— Właśnie. Znajomy przysłał połowę. Drugą dodałem ja. Trzecią — słuchacz.

Ponownie przeczytałem pierwszy wers.

— „A niebo też ma ręce” — niemal dziecięce zdanie. Specjalnie dodałeś „też”?

— Oczywiście. Ludzie mają ręce — okazało się, że niebo też. Chciałem poczuć z nim pokrewieństwo, a przy okazji uczynić zjawisko zrozumialszym: człowiekowi łatwiej wyobrazić sobie troskę przez dłoń niż przez ruch mas powietrza.

— Ale wtedy zamienia się to w piękną bajkę.

— Nie widzę problemu, dopóki bajka nie udaje ostatecznego wyjaśnienia. Przecież nikt nie twierdzi, że chmury to dosłownie czyjeś palce.

— A Bóg pojawia się tu całkiem poważnie.

Milczał chwilę.

— To jego obraz. Wtedy pewnie wierzyłem pewniej. Teraz zostawiłbym wszystko tak, jak jest — nawet „nie śmie sprzeciwić się Bogu”. Niebo w tym wierszu jest podporządkowane: wypełnia swoje przeznaczenie, jak człowiek.

— Widziałeś tam też siebie?

— W pragnieniu robienia tego, co powinienem, nawet gdy duszę się dymem. Wtedy o tym nie myślałem — a teraz widzę w tym ryzyko: można nieskończoną cierpliwość usprawiedliwiać przeznaczeniem. Niebo dalej daje powietrze nawet tym, którzy je zatruwają, i nie ma prawa odmówić. Dla ludzi to wygodne. Dla nieba — nie wiem.

— Wychodzi na to, że to obraz człowieka, który dalej pomaga, gdy jest niszczony. Ratownik.

Uśmiechnął się.

— Chyba poeta niemal zawsze trochę pisze o sobie. Podobnie z deszczem — niebo chowa w nim łzy, a ja też często je chowałem, czasem nawet sam tego nie zauważając.

Przeszedłem do rąk zasłaniających słońce.

— Ściera dłonie do oparzeń. Po co dalej głaskać coś, co sprawia ból?

— Tam po prostu chmury zasłaniają słońce — zmarszczył brwi. — Nie zamieniaj wszystkiego w psychoterapię.

— Dobrze, zostawmy dosłowną metaforę. Ale troska u ciebie niemal zawsze wiąże się z autodestrukcją — ciekawy zbieg okoliczności.

Zamyślił się.

— Tak. Teraz może widziałbym w tym też ostrzeżenie: jeśli ciągle zasłaniasz sobą innych przed słońcem, pewnego dnia zostaniesz bez dłoni. A im i tak będzie gorąco, gdy odejdziesz.

Doszliśmy do zachodu słońca.

— Niebo pomaga zakochanym, tworzy atmosferę — jesteś romantykiem.

— Czasami. A świt zmienia obrazek, bo scena się skończyła i uśmiecha się już do sennych.

— Niebo cały czas pracuje. Nawet w nocy?

— Oczywiście.

— To kiedy odpoczywa?

— Może wtedy, gdy nie patrzymy — uśmiechnął się.

— Ale my zawsze gdzieś patrzymy.

— Czyli nie odpoczywa. Zostaw niebo w spokoju — znowu osiąganie.

Roześmialiśmy się, potem spojrzałem na przedostatnią strofę.

— To już instrukcja do zdjęcia: podnieś rękę, rozstaw palce — i zobaczysz.

— Ale zobaczy nie każdy. Potrzebne jest zbiegnięcie tła, chmur, kąta — i chęci.

— Czemu na białym tle pojawiły się skrzydła?

— Pewnie była tam chmura. Obraz sam się dalej przesuwał — nie planowałem z góry, wersy prowadziły dalej.

— Ale ktoś przecież wybierał kolejny wers.

— Ja. Szedłem za skojarzeniem: palce nieba, dłonie, chmury, skrzydła anioła, podniesiona ręka, modlitwa. Jeden obraz zamienia się w drugi bez pełnego zerwania.

— Dobrze to rozłożyłeś.

— A wtedy po prostu pisałem. Właśnie dlatego potem ciekawie na to patrzeć.

Przeczytałem finał.

— „Uśmiechnij się po raz pierwszy szczerze” — czemu pierwszy?

— Może wcześniej były maski, jak w „Szczęśliwy”. A szczery uśmiech pojawia się przed niebem, bo jemu nie trzeba się podobać.

— A potem mówić jest nie na miejscu — a i tak kończysz modlitwą. To też mowa.

— Nie całkiem. W niej się nie tłumaczy — zwracasz się. Nie prosisz o coś konkretnego, chcesz być usłyszany — to, czego się słowami nie powie. Czasem człowiek sam nie wie, o co prosi. Po prostu podnosi wzrok i ma nadzieję, że tam zrozumieją go lepiej niż on sam siebie.

— To przypomina dziecko. I niebo znów staje się figurą rodzica — trzyma, zasłania, maluje, a Bóg jest nad niebem.

Milczał chwilę.

— Chyba było mi ważne, żeby ktoś wielki wszystko trzymał. Człowiekowi w ogóle jest ciężko, jeśli myśli, że sam trzyma wszystko.

— A teraz wierzysz, że nie jesteś sam?

— Czasem. A kiedy nie wierzę — patrzę na niebo.

— I widzisz ręce?

— Już nie zawsze. Obraz stał się znajomy — poezja też z czasem przestaje zaskakiwać, jeśli nie patrzeć na nowo.

Podniósł dłoń. Między palcami było zwyczajne wieczorne niebo.

— Nic — powiedział.

— Poczekaj na chmurę.

— A jeśli nie przyjdzie?

— Czyli dziś ręce wyglądają inaczej — uśmiechnąłem się kpiąco. — Nauczyłeś się ratować własne metafory.

— Muszę. A potem wiersz trafił na „Słowiański Bazar” — o ile pamiętam.

— Widziałeś to wykonanie? Wiesz, kto czytał?

— Dokładnie nie pamiętam. Tak mi przekazano.

— To lepiej nie twierdzić zbyt stanowczo.

— W rozdziale jest napisane: o ile wiem. Ale samo uczucie — zdziwienie, duma — było prawdziwe. Nawet nie brałem w tym udziału, i to było przyjemne: tekst poszedł sam. Najpierw ręka na zdjęciu, potem moja ręka to zapisała, potem cudze ręce przekazywały kartkę — i w końcu znalazł się w czyimś głosie.

— Wychodzi na to, że wiersz też zyskał ręce. Jak się czujesz z tym, że wykonano go bez ciebie?

— Normalnie. Chciałbym znać szczegóły, ale sam fakt cieszył. A gdyby zmieniono wersy — tego już nie wiem. Niech tekst żyje własnym życiem, ale imię autora i same słowa lepiej nie przepisywać bez zgody.

— A czytelnik i tak przepisuje go wewnątrz siebie.

— To co innego — zmienia sens dla siebie, a nie słowa dla wszystkich.

Znów spojrzeliśmy na początek.

— A gdybyś nie zapisał tamtego zdjęcia?

— Po kilku dniach nie pamiętałbym już rąk. Wiersz uratował obraz. A obraz uratował wiersz.

— Jak zrozumieć, że chwila jest warta zapisania?

— Nie da się. Zapisujesz to, co cię zaczepiło, a potem wiele okazuje się słabe. Nie szkoda — uważność trenuje się liczbą prób. Jak mięśnie, tylko nie trzeba znowu doprowadzać do przepukliny.

Roześmialiśmy się.

— To co stało się tu główną lekcją?

— Nie przechodzić obok drugiego obrazu. Pierwsze spojrzenie mówi: „ręka na tle nieba”. Drugie: „między palcami jeszcze jedne ręce”. Poezja czasem żyje w tym drugim.

— A trzecie?

— Może wszystko zniszczyć wyjaśnieniem. Jak my teraz.

Spojrzał na objętość rozdziału.

— Jest takie ryzyko.

— To może się zatrzymajmy? Bez modlitwy?

Podniósł wzrok.

— Ona już tam jest. Między słowami.

Zamilkliśmy. Tym razem niebo nie pokazało ani palców, ani skrzydeł. Po prostu robiło się ciemniej. Ale po tym wierszu już nigdy nie było zwyczajne.